kowboje oceanu

ARTHUR C. CLARKE

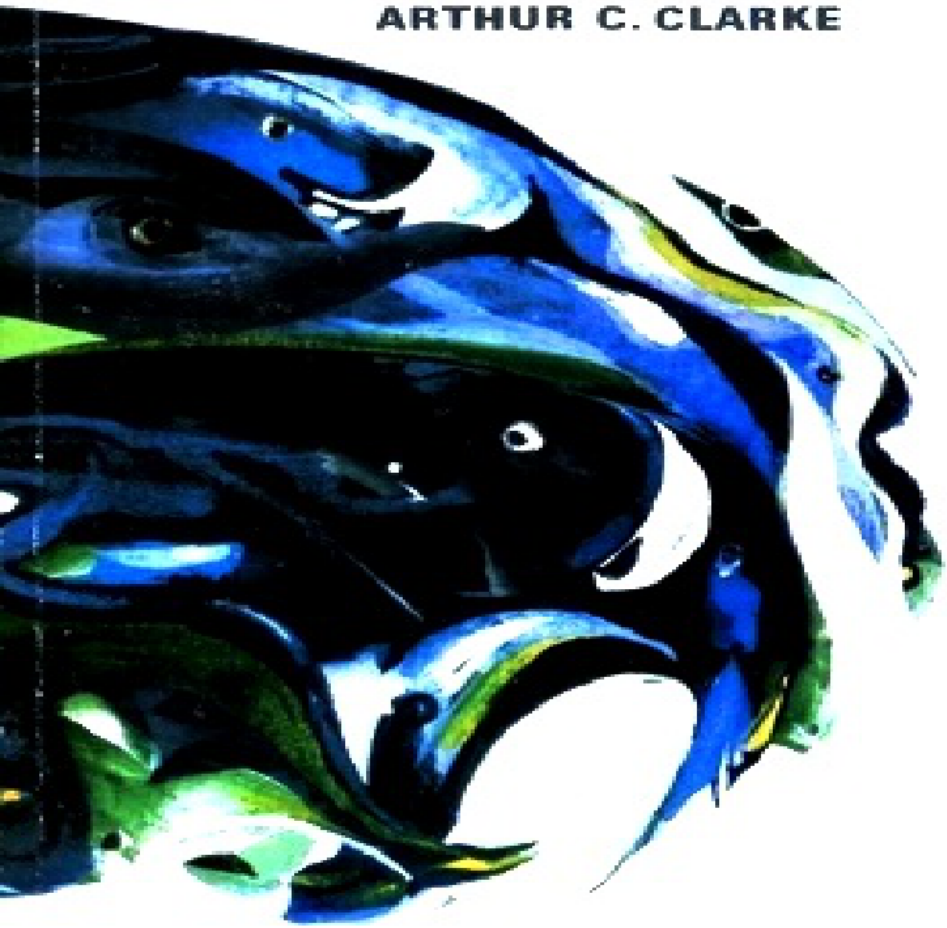

FANTASTYKA · PRZYGODA

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Połowa XXI wieku. Były astronauta rozpoczyna nowe życie jako tytułowy kowboj oceanu - inspektor, pracujący na oceanicznej farmie planktonu i wielorybów. Śledzimy jego karierę jednocześnie będąc świadkami całej masy sytuacji, jakie czekają Człowieka w przyszłym podboju oceanu...

- Arthur C. Clarke
- OD AUTORA
- CZĘŚĆ PIERWSZA — UCZEŃ
- I
- II
- III
- IV
- V
- VI
- VII
- VIII
- IX
- X
- XI
- CZĘŚĆ DRUGA — STRAŻNIK
- XII
- XIII
- XIV
- XV
- XVI
- XVII
- CZĘŚĆ TRZECIA — URZĘDNIK
- XVIII
- XIX
- XX
- XXI
- XXII
- XXIII
- XXIV
- XXV

Arthur C. Clarke
Kowboje oceanu

Mike'owi, który uczył mnie morza

Przełożył Lech Jęczmyk
The Deep Range
Data wydania oryginalnego — 1957
Data wydania polskiego — 1978

OD AUTORA

Pozwoliłem sobie wysunąć w tej powieści przypuszczenia co do maksymalnych rozmiarów pewnych zwierząt morskich, które mogą być kwestionowane przez część biologów. Nie oczekuję jednak takiej krytyki ze strony badaczy podwodnego świata, którzy nierzadko spotykają ryby kilkakrotnie przekraczające rozmiarami największe egzemplarze odnotowane w nauce.

Mam również nadzieją, że Uniwersytet Queenslandu wybaczy mi pewną ekstrapolację jego urządzeń na Wyspie Czapli.

Wszystkie postacie występujące w tej książce, z wyjątkiem wielkiego strzępiela z rozdziału trzeciego, są fikcyjne.

CZĘŚĆ PIERWSZA — UCZEŃ

I

Na pastwiska wdarł się drapieżca. Patrol powietrzny Południowego Pacyfiku wypatrzył martwego wieloryba kołysanego falami i barwiącego morze wokół siebie na czerwono. W ciągu kilku sekund został wprawiony w ruch skomplikowany system alarmowy; od San Francisko do Brisbane ludzie dyżurujący przy mapach przesuwali chorągiewki i mierzyli odległości. Zaś Don Burley, przecierając zaspane oczy, pochylił się nad tablicą kontrolną swojej patrolowej łodzi podwodnej numer pięć, płynącej na głębokości dwudziestu sążni.

Don był zadowolony, że alarm ogłoszono właśnie w jego rewirze; po raz pierwszy od wielu miesięcy zdarzyło się coś naprawdę interesującego. Wpatrywał się w przybory, od których zależało jego życie, jednocześnie wybiegając myślą daleko przed siebie. Co mogło się zdarzyć? Krótki komunikat nie zawierał szczegółów; stwierdzał tylko, że znaleziono świeżego trupa wieloryba, pływającego na powierzchni morza o dziesięć mil za głównym stadem, które wciąż jeszcze uciekało w panice na północ. Najprawdopodobniej stado drapieżnych orek zdołało w jakiś sposób przedrzeć się przez bariery otaczające pastwisko. Jeśli rzeczywiście tak było, Don i pozostali inspektorzy będą mieli pełne ręce roboty.

Konstelacja zielonych światełek na tablicy kontrolnej była widomym symbolem bezpieczeństwa. Dopóki ich wzór nie ulega zmianie, dopóki żadna z tych szmaragdowych gwiazdek nie rozbłyśnie na czerwono, Don i jego mała łódeczka są bezpieczni. Powietrze, paliwo, energia — od tych trzech elementów zależało jego życie. Jeśli zabraknie choć jednego z nich, głębina pochłonie go wraz z jego stalową trumną, jak pochłonęła dwa lata temu Johna Tyndalla. Na razie nie było jednak żadnych powodów do obaw, a poza tym Don uspokajał się myślą, że wypadki, które się przewiduje, nigdy się nie zdarzają.

Pochylił się nad małą tablicą kontrolną i przemówił do mikrofonu. Jego piątka była jeszcze na tyle blisko statku bazy, że łączność radiowa była możliwa; wkrótce będzie musiał przejść na ultradźwięki.

— Kurs dwieście dwadzieścia pięć, szybkość pięćdziesiąt węzłów, głębokość dwadzieścia sążni. Stacja hydroakustyczna nastawiona na obserwację okrężną. Przypuszczalne dotarcie do wyznaczonej strefy — czterdzieści minut. Do czasu wykrycia celu będę się zgłaszał co dziesięć minut. Przechodzę na odbiór.

Potwierdzenie z „Rorquala” było ledwie słyszalne i Don wyłączył radio. Należało się rozejrzeć.

Przygasił światła w kabinie, żeby lepiej widzieć ekrany, włożył polaryzujące okulary i zajrzał w otaczające go głębiny. Upłynęło kilka sekund, zanim dwa obrazy zlały się w jego mózgu w jeden trójwymiarowy.

W takich chwilach Don czuł się bogiem, sprawującym władzę nad dwudziestomilowym obszarem oceanu i przenikającym wzrokiem prawie jeszcze nie zbadane głębie o dwa tysiące sążni pod sobą. Powoli obiegający ekran promień niesłyszalnego dźwięku przeszukiwał świat wokół niego, wypatrując przyjaciół i wrogów w wiecznych mrokach nieprzeniknionych dla światła. Serie Bezdźwięcznych pisków, zbyt wysokie nawet dla uszu nietoperzy, które wynalazły echolokację na miliony lat przed człowiekiem, wybiegały w wodną otchłań; odbite echo wracało i schwytane, a następnie wzmocnione zamieniało się w rozmazane błękitnozielone plamki na ekranie.

Dzięki długiej praktyce Don potrafił bez wysiłku odczytywać ich mowę. O pięćset stóp pod nim rozciągała się aż po granice jego horyzontu Warstwa Rozpraszająca — żywy kożuch pokrywający pół świata. Była to podwodna łąka mórz i oceanów, wznosząca się i opadająca w ślad za słońcem, zawsze na granicy między ciemnością i światłem. W nocy podpływała prawie do powierzchni, ale świt z powrotem spychał ją w głębiny.

Warstwa ta nie stanowiła przeszkody dla jego hydrolokatora. Don przenikał wzrokiem przez ten żywy obłok aż do samego dna oceanu, ale największe głębiny nie budziły jego zainteresowania; stada, których strzegł, i drapieżcy, którzy im zagrażali, należeli do górnych pięter oceanu.

Don wyłączył nadajnik skierowany w dół i skoncentrował promień hydrolokatora na płaszczyźnie poziomej. Rozproszone echo od dna znikło i mógł teraz wyraźniej widzieć to, co się działo wokół niego, w stratosferze oceanu. Ten połyskujący obłok o dwie mile przed nim to ogromna ławica ryb; Don pomyślał, że w Bazie mogą o niej nie wiedzieć, i zrobił notatkę w dzienniku pokładowym. Wokół ławicy widać było pojedyncze większe błyski — to morskie drapieżniki ciągnęły za bydłem, zapewniając nieprzerwany ruch w kręgu życia i śmierci. Ale ten dramat nie był sprawą Dona; on szukał grubszej zwierzyny. Jego łódź zmierzała na zachód, jak stalowa igła, szybsza i groźniejsza od wszystkich drapieżców prujących fale mórz. Ciasna kabina oświetlona teraz jedynie mrugającymi światełkami tablicy kontrolnej pulsowała energią, a potężne turbiny wyrzucały strugi wody. Don spojrzał na mapę i stwierdził, że przebył już połowę wyznaczonej drogi. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie wynurzyć się, aby obejrzeć martwego wieloryba, gdyż na podstawie uszkodzeń ciała mógłby określić rodzaj napastnika. Oznaczałoby to jednak dalszą

zwłokę, a w podobnych" sprawach pośpiech jest najważniejszy.

Odbiornik dalekiego zasięgu zaczął popiskiwać płaczliwie i Don włączył przemiennik. Nie potrafił tak jak niektórzy odczytywać sygnałów na słuch, ale wkrótce zaczęła się wysuwać z otworu taśma z drukowanym tekstem.

> PATROL POWIETRZNY DONOSI STADO 50 DO 100 WIELORYBÓW KIERUNEK 90° (KOŁO GRID REF) X186593 Y432011 STOP PO ZMIANIE KURSU PŁYNĄ Z WIELKĄ SZYBKOŚCIĄ STOP ORKI NIE DOSTRZEŻONE ALE ZAPEWNE SĄ W POBLIŻU STOP „RORQUAL".

Don uznał ten ostatni wniosek za mało prawdopodobny. Gdyby w grę rzeczywiście wchodziły orki — budzące grozę drapieżne wieloryby, na pewno zostałyby dostrzeżone, kiedy wypływają dla zaczerpnięcia powietrza. Poza tym orki nie dałyby się odstraszyć samolotowi patrolowemu od swojej ofiary — ucztowałyby w najlepsze dalej.

Jedno było w tym wszystkim korzystne: spłoszone stado zmierzało teraz w jego stronę. Don właśnie zaczął nanosić koordynaty na siatkę, kiedy zobaczył, że nie jest to już potrzebne. Na brzegu ekranu pojawiła się flotylla niewyraźnych błysków. Wprowadził poprawkę do swego kursu i ruszył prosto na zbliżające się stado.

Pod jednym względem komunikat odpowiadał prawdzie: wieloryby płynęły z niezwykłą dla nich szybkością. W ten sposób znajdzie się wśród nich najdalej za pięć minut. Wyłączył turbiny i zaraz odczuł hamujący napór wody.

Don Burley, zbrojny rycerz, siedział w swojej maleńkiej, mrocznej kabinie sto stóp pod jasnymi falami Pacyfiku i sprawdzał gotowość swojej broni przed oczekującym go pojedynkiem. W takich pełnych napięcia momentach wyczekiwania lubił myśleć o sobie w ten sposób, chociaż nie przyznałby się do tego za nic na świecie. Odczuwał także więź ze wszystkimi pasterzami, jacy od zarania dziejów strzegli swoich stad. Był sir Lancelotem i jednocześnie Dawidem, wypatrującym wśród wzgórz starożytnej Palestyny lwa, zagrażającego stadom jego ojca.

Jednak bliżsi jego sercu i czasom byli mężczyźni, którzy zaledwie kilka pokoleń wcześniej pędzili olbrzymie stada bydła przez prerie Ameryki. Oni rozumieliby jego pracę, chociaż sprzęt, jakim się posługiwał, byłby dla nich czystą magią. Istota pracy była jednak ta sama, zmieniła się tylko skala. To, że zwierzęta pilnowane przez Dona ważyły po sto ton i pasały się na niezmierzonych preriach oceanu, nie miało istotnego znaczenia.

Stado było teraz w odległości niespełna dwóch mil i Don ograniczył działanie hydrolokatora do sektora leżącego bezpośrednio

przed nim. Obraz na ekranie przybrał formę wycinka koła, po którym promień przebiegał z lewa na prawo i z powrotem. Mógł teraz policzyć wszystkie sztuki w stadzie, a nawet określić w przybliżeniu rozmiary poszczególnych zwierząt. Z zawodową wprawą zaczął natychmiast wypatrywać napastników.

Don nie potrafiłby wyjaśnić, co przyciągnęło jego uwagę do czterech błysków na południowym krańcu stada. Były co prawda nieco oddalone od reszty, ale nie więcej niż niektóre inne sztuki. Człowiek, który spędził wiele godzin przed ekranem hydrolokatora, wyrabia sobie jakiś szósty zmysł — potrafi wyczytać z ruchów świecących punkcików więcej, niż, zdawałoby się, jest to możliwe. Don odruchowo wyciągnął dłoń i włączył turbiny.

Mijał teraz stado wielorybów, zmierzające na wschód. Nie obawiał się zderzenia, gdyż wielkie zwierzęta nawet w panice wykrywały jego obecność z równą łatwością jak on ich, i za pomocą podobnych metod. Zastanawiał się, czy włączyć sygnał. Słysząc znajomy dźwięk wieloryby mogły się uspokoić, lecz jednocześnie mógł on spłoszyć wciąż jeszcze nie rozpoznanego wroga.

Cztery echa, które zwróciły jego uwagę, znajdowały się teraz pośrodku ekranu. Pochylony nad ekranem sonaru, jakby chciał siłą woli wyciągnąć z niego wszelką możliwą informacje, szykował się do ataku. Widać było dwa duże echa w pewnej od siebie odległości. Wokół jednego z nich uwijały się dwa mniejsze. Przemknęło mu przez myśl, że może jest już za późno; oczyma wyobraźni widział śmiertelną walkę, toczącą się o niecałą milę od niego. Te dwa mniejsze błyski to muszą być drapieżcy, dopadający wieloryba na oczach jego przerażonego i bezradnego towarzysza, nie rozporządzającego żadną bronią prócz potężnego ogona.

Był już teraz tak blisko, że mógł włączyć wizję. Umieszczona na dziobie kamera telewizyjna usiłowała przeniknąć mrok, lecz jak na razie widać było tylko mgłę planktonu. Nagle w środku ekranu pojawił się wielki, ciemny kształt z dwoma mniejszymi poniżej. Don widział teraz to samo, co pokazał mu hydrolokator z większą precyzją, za to pole widzenia miał bardzo ograniczone.

Natychmiast uświadomił sobie swoją nieprawdopodobną pomyłkę: dwa mniejsze cienie to były cielęta. Po raz pierwszy zdarzało mu się widzieć samice wieloryba z dwojaczkami, chociaż fakty urodzenia więcej niż jednej sztuki nie należały do rzadkości. Widok był fascynujący, ale w obecnej sytuacji znaczyło to, że popełnił błąd i stracił wiele bezcennych minut. Musi od nowa zaczynać poszukiwania.

Odruchowo skierował kamerę w stronę czwartego błysku na ekranie — sądząc z rozmiarów był to niewątpliwie drugi dorosły wieloryb. To dziwne, jak błędne założenie może opóźnić zrozumienie tego, co człowiek widzi; upłynęło kilka sekund, zanim Don zrozumiał,

co ma przed oczami i że przybył jednak we właściwe miejsce.

— O Jezu! — mruknął. — Nie wiedziałem, że one mogą być tak wielkie.

Był to rekin, największy, jakiego kiedykolwiek widział. Szczegóły nie były jeszcze dobrze widoczne, ale mógł należeć tylko do jednego gatunku. Rekin wielorybi i żarłacz olbrzymi mogą osiągnąć podobne rozmiary, ale tamte są nieszkodliwymi roślinożercami. Musiał to być król wszystkich rekinów, **Carchorodon**, czyli żarłacz błękitny. Don usiłował przypomnieć sobie dane dotyczące największych schwytanych przedstawicieli tego gatunku. Około roku 1990 przy brzegach Nowej Zelandii zabito okaz długości pięćdziesięciu stóp; ten musiał być dwukrotnie większy.

Wszystko to przemknęło mu przez myśl w ciągu sekundy i w tej samej sekundzie zobaczył, że drapieżnik rusza do ataku. Ignorując oszalałą matkę zmierzał do jednego z cieląt. Trudno powiedzieć, co nim kierowało: tchórzostwo czy zdrowy rozsądek; możliwe zresztą, że podobne rozróżnienia nie mieściły się w małym i nieprzeniknionym dla człowieka mózgu rekina.

Don mógł zrobić tylko jedno. Wprawdzie dawał w ten sposób szansę mordercy, ale życie cielaka było ważniejsze. Przycisnął guzik syreny i krótki, mechaniczny ryk przeniknął fale.

Ogłuszający dźwięk przeraził zarówno rekina, jak i wieloryby. Rekin wykonał nieprawdopodobnie ostry skręt i Don ledwie utrzymał się w swoim fotelu, kiedy automat gwałtownie zmienił kurs łodzi. Łódź nie ustępowała zwrotnością żadnemu z mieszkańców oceanu o podobnych rozmiarach i teraz klucząc zbliżała się do rekina. Elektroniczny mózg automatycznie prowadził ją na echo hydrolokatora, pozwalając Donowi skupić się wyłącznie na przygotowaniu broni. Całe szczęście, gdyż czekało go teraz bardzo trudne zadanie, jeśli łódź nie utrzyma stałego kursu co najmniej przez piętnaście sekund. W krytycznej sytuacji mógł zawsze użyć swoich rakietek; zrobiłby to na pewno, gdyby znalazł się sam na sam ze stadem orek. Był to jednak sposób krwawy i brutalny, a Don zawsze wolał szpadę od granatów ręcznych.

Dzieliła go teraz od drapieżnika odległość zaledwie pięćdziesięciu stóp, zmniejszająca się z każdą chwilą. Lepsza okazja może się już nie zdarzyć. Przycisnął dźwignię spustową.

Spod brzucha łodzi wyskoczyło coś, co wyglądało jak mała płaszczka. Don zmniejszył szybkość; nie musiał już podpływać bliżej. Mały, ostry pocisk o rozmiarach zaledwie kilku stóp poruszał się szybciej niż jego pojazd i mógł dotrzeć do celu w ciągu kilku zaledwie sekund. Pędząc, pocisk ciągnął za sobą przewód zdalnego sterowania, niczym podwodny pająk swoją sieć. Wzdłuż przewodu płynęła energia poruszająca pocisk oraz sygnały naprowadzające go na cel. Reagował

tak błyskawicznie na wszystkie polecenia, że Don miał uczucie, jakby kierował posłusznym i ognistym rumakiem.

Rekin spostrzegł niebezpieczeństwo w ostatniej sekundzie. Podobieństwo pocisku do pospolitej płaszczki zmyliło go, tak jak sobie to zaplanowali konstruktorzy. Zanim jego mały móżdżek zdążył się zorientować, że płaszczki tak się nie zachowują, pocisk uderzył. Stalowa igła strzykawki, wyrzucona przez ładunek wybuchowy, przebiła zrogowaciałą skórę rekina i olbrzymia ryba rzuciła się jak oszalała. Don cofnął się czym prędzej, gdyż uderzenie takiego ogona potrząsnęłoby nim jak fasolą w puszce i mogło nawet uszkodzić łódź. Teraz musiał tylko czekać, aż trucizna zacznie działać.

Skazany na zagładę morderca skręcał się, usiłując wyszarpnąć z ciała zatrutą strzałę. Don wciągnął pocisk z powrotem na jego miejsce pod dnem łodzi, zadowolony, że odzyskał swoją broń nie uszkodzoną. Jednocześnie obserwował z podziwem i beznamiętną litością, jak potężne zwierzę ulegało paraliżowi.

Jego ruchy były coraz wolniejsze. Pływało bez celu tam i z powrotem i Don musiał pośpiesznie zejść mu z drogi, aby uniknąć zderzenia. Wreszcie zdychający rekin stracił poczucie równowagi i zaczął wypływać na powierzchnię. Don pozostawił go na razie własnemu losowi; musiał zająć się ważniejszymi sprawami.

Odnalazł samicę z dwoma cielakami w odległości niecałej mili i przyjrzał im się dokładnie. Nie były ranne, a co za tym idzie nie musiał wzywać weterynarzy, którzy mając do dyspozycji znakomicie wyposażoną łódź podwodną udzielali wielorybom pomocy we wszystkim: od bólu brzucha do cesarskiego cięcia. Wieloryby nie wykazywały już żadnych oznak zaniepokojenia, a jedno spojrzenie na ekran hydrolokatora powiedziało mu, że reszta stada również zaprzestała ucieczki. Don był ciekaw, czy wiedzą, co się stało; poznano już nieźle ich sposoby porozumiewania się, ale wciąż jeszcze wielu spraw nie udało się wyjaśnić.

— Mam nadzieję, że jesteś mi wdzięczna za to, co dla ciebie zrobiłem — mruknął Don, po czym doszedł do przekonania, że widok miłości macierzyńskiej w pięćdziesięciotonowym wydaniu przekracza jego siły, opróżnił więc zbiorniki balastowe i wynurzył się na powierzchnię. Morze było tak spokojne, że otworzył właz i wysunął głowę z małej wieżyczki. Woda była zaledwie o kilka cali od jego twarzy i od czasu do czasu fala wznosiła się, grożąc wdarciem się do środka. Na szczęście Don tak dokładnie wypełniał sobą otwór, że stanowił doskonały korek.

W odległości może pięćdziesięciu stóp kołysał się na fali szary, podłużny kształt, przypominający odwróconą do góry dnem łódź. Don zmierzył go wzrokiem, zastanawiając się, ile sprężonego powietrza trzeba w niego wpakować, żeby nie zatonął do czasu przybycia statku

gospodarczego. Za kilka minut złoży meldunek przez radio, ale na razie chciał nacieszyć się chłodnym powiewem wiatru, czuć nad głową niebo i patrzeć na słońce, rozpoczynające swoją wspinaczkę ku zenitowi.

Don Burley był jak szczęśliwy rycerz odpoczywający po walce, po tej jedynej walce, którą człowiek będzie musiał toczyć zawsze. Był jednym z obrońców ludzkości przed widmem głodu, które przestało zagrażać światu od czasu, gdy wielkie pola planktonu zaczęły dawać miliony ton białka, a stada wielorybów były posłuszne swoim nowym panom. Człowiek po miliardach lat wygnania wrócił do morza, swojej dawnej ojczyzny, i dopóki ocean nie wyschnie, człowiek nigdy już nie zazna głodu…

Jednak świadomość tego nie była dla Dona główną przyczyną zadowolenia. Lubiłby to zajęcie, nawet gdyby nie miało ono żadnego praktycznego znaczenia. Ze wszystkiego, co życie miało mu do zaofiarowania, nic nie mogło równać się z satysfakcją i chłodnym poczuciem władzy, jakie go przepełniały, kiedy wy ruszał na takie zadanie jak dzisiaj. Władza? Tak, to było właściwe słowo. Ale władzy tej nigdy nie nadużyje, gdyż łączy go zbyt wielkie poczucie wspólnoty ze wszystkimi mieszkańcami morza — nawet tymi, których musi z obowiązku zabijać.

Pozornie Don był teraz całkowicie odprężony, ale wystarczyłaby najmniejsza zmiana na tablicy, aby zareagował natychmiast. Myślami był już na „Rorqualu", gdzie czekało go spóźnione śniadanie. Aby nie tracić czasu, zaczął układać w myśli swój raport. Wiedział, że paru osobom narobi nim kłopotu. Technicy, zajmujący się konserwacją niewidzialnych dźwiękowych i elektrycznych barier, dzielących bezmiar Pacyfiku na poszczególne gospodarstwa, będą musieli szukać dziury; biologowie, utrzymujący autorytatywnie, że rekiny nigdy nie atakują wielorybów, będą musieli poszukać jakiejś wymówki. Don był przekonany, że obie sprawy zakończą się pomyślnie i znowu wszystko będzie szło zgodnie z planem, dopóki ocean nie spłata ludziom kolejnego figla i nie postawi ich przed kolejnym problemem.

W tej chwili jednak najważniejszy był dla Dana inny, czysto ludzki problem, jaki spadł na jego barki w wyniku decyzji podjętych na najwyższych szczeblach. Wszystko zaczęło się od propozycji Departamentu Kosmonautyki, która wpłynęła do Sekretariatu Światowego. Stamtąd dotarła ona drogą służbową do Zgromadzenia Światowego, gdzie znalazła poparcie części senatorów. Tam propozycja przekształciła się w rozkaz i spłynęła w dół przez sekretariat Światowej Organizacji do Spraw Wyżywienia, do Departamentu Morskiego i wreszcie do Sekcji Wielorybów. Cała ta procedura zamknęła się w rekordowo krótkim czasie czterech tygodni.

Don oczywiście nie miał o tym wszystkim pojęcia. Dla niego cała

ta biurokracja na skalę światową streściła się w jednym zdaniu, którym powitał go kapitan, kiedy zjawił się w mesie „Rorquala” na swoje spóźnione śniadanie.

— Jaką pracę? — spytał Don podejrzliwie. Pamiętał jeszcze swój niefortunny występ w roli przewodnika. Przybyły wówczas podsekretarz stanu wyglądał na nieco głupawego i Don odpowiednio go potraktował. Jak się później okazało, wiceminister, który nie przypadkiem zajmował tak odpowiedzialne stanowisko, był człowiekiem niezwykle inteligentnym i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co Don robi.

— Nie wiem, — odpowiedział kapitan — i nie jestem pewien, czy oni sami wiedzą. Pozdrów ode mnie Queensland i trzymaj się z daleka od kasyn gry na Złotym Brzegu.

— Z moją pensją i tak nie mam czego tam szukać — parsknął Don. — Ostatnim razem omal nie wyszedłem z „Paradisu” bez portek.

— Za to za pierwszym razem wygrałeś parę tysięcy.

— Szczęście nowicjusza; to się już nigdy nie powtórzyło. Przegrałem już wszystko, co wtedy wygrałem, i myślę, że czas z tym skończyć. Koniec z hazardem.

— Czy to obietnica? Założę się o pięć dolarów, że jej nie dotrzymasz.

— Zgoda.

— No to płać. Przyjmując zakład przegrałeś.

Don znieruchomiał z uniesioną łyżką planktonowej pożywki, szukając wyjścia z pułapki.

— Spróbuj wyciągnąć ode mnie pieniądze — odpowiedział. — Nie masz świadków, a ja nie jestem dżentelmenem.

Don pośpiesznie dopił kawę, odsunął krzesło i wstał.

— Muszę się zbierać — powiedział. — Trzymaj się, do zobaczenia.

Kapitan „Rorquala” patrzył, jak starszy inspektor wypada z mesy niczym huragan. Przez chwilę było jeszcze słychać jego kroki na korytarzu i znowu zapanowała względna cisza. Kapitan wrócił na swój mostek.

— Trzymajcie się tam, w Brisbane — mruknął pod nosem, po czym zebrał się do nastawiania zegarów i układania zjadliwego memoriału do Kwatery Głównej, z zapytaniem, jak ma kierować statkiem, kiedy trzydzieści procent załogi jest stale na urlopie albo w delegacji służbowej. Jeśli nie wymawiał pracy, to tylko dlatego, że choćby nie wiem jak długo myślał, nie potrafiłby wymyślić dla siebie bar; dziej odpowiedniego zajęcia.

II

Walter Franklin przechadzał się niecierpliwie po pokoju, mimo że czekał zaledwie kilka minut. Obrzucił szybkim spojrzeniem wiszące na ścianach fotografie świata morskich głębin, potem przysiadł na chwilę na skraju stołu i zaczął przerzucać stos czasopism, gazet i raportów, jakie zawsze gromadzą się, w podobnych miejscach. Ilustrowane czasopisma znał dobrze, gdyż przez ostatnie kilka tygodni czytanie było jego jedynym zajęciem, reszta zaś materiałów nie wyglądała zachęcająco. Ktoś musiał zapewne z obowiązku służbowego czytać te pięknie wydrukowane raporty o produkcji żywności; Walter zastanawiał się tylko, czy nieskończone kolumny danych statystycznych nie działają na nich usypiająco. „Neptun", organ Departamentu Morskiego, zapowiadał się nieco ciekawiej, ale ponieważ Walter nie znał Większości osób, o których była w nim mowa, więc i to czasopismo wkrótce odłożył. Nawet Stosunkowo popularne artykuły sprawiały mu wiele trudności, gdyż zakładały znajomość pewnych terminów technicznych, o których nie miał pojęcia.

Obserwująca go spod oka sekretarka musiała zauważyć jego niepokój i zapewne przypisywała go brakowi pewności siebie. Franklin nie bez trudu zmusił się, żeby usiąść w fotelu i skupić się na lekturze wczorajszego numeru „Kuriera Brisbane". Właśnie wczytał — się w artykuł opłakujący stan australijskiego krykieta, kiedy młoda dama, strzegąca drzwi dyrektorskiego gabinetu, uśmiechnęła się słodko i powiedziała:

— Dyrektor prosi.

Walter spodziewał się zastać dyrektora samego lub w towarzystwie sekretarki, ale obecność atletycznie zbudowanego młodego człowieka, który przyglądał mu się spod oka, była dla niego zaskoczeniem. Walter momentalnie zesztywniał, wiedział, że ci dwaj rozmawiali na jego temat, i automatycznie przybrał postawę obronną.

Dyrektor Gary, który znał się na ludziach prawie równie dobrze jak na ssakach morskich, wyczuł natychmiast jego napięcie i postarał się je rozładować.

— A, to ty, Franklin! — zawołał z nieco przesadną serdecznością. — Mam nadzieję, że czujesz się tu dobrze. Czy moi ludzie zajęli się tobą?

Walter nie musiał głowić się nad odpowiedzią, bo dyrektor nie pozwolił mu nawet otworzyć ust.

— Przedstawiam ci Dona Burleya — mówił dalej. — Don jest starszym inspektorem na „Rorqualu" i jednym z naszych najlepszych pracowników. Będzie się tobą opiekował. Don, to jest Walter Franklin.

Wymienili ostrożny uścisk dłoni, mierząc się nawzajem wzrokiem. Potem na twarzy Dona ukazał się wymuszony uśmiech. Był to uśmiech człowieka, który dostał niezbyt przyjemne zadanie, lecz mimo to postanowił wykonać je najlepiej, jak się tylko da.

— Miło mi cię poznać — powiedział Don. — Witamy w Syrenim Patrolu.

Franklin próbował skwitować ten stary dowcip uśmiechem, ale nie bardzo mu to wyszło. Wiedział, że ci ludzie starali się mu pomóc i że powinien okazać im sympatię. Był to jednak głos rozsądku, nie zaś serca; nie potrafił odprężyć się i wyjść im na spotkanie. Obawa przed litością z ich strony i dręczące podejrzenie, że pomimo wszelkich zapewnień dotarły tu jakieś plotki na jego temat, paraliżowały w nim wszelkie przyjazne odruchy.

Don Burley nie zdawał sobie z tego wszystkiego sprawy. Wiedział tylko, że gabinet dyrektora nie jest odpowiednim miejscem do zawierania znajomości z nowym kolegą, i Franklin sam nie wiedział, kiedy znalazł się wśród tłumu na George Street, a zaraz potem w małym barku naprzeciwko, poczty.

Gwar miasta był tu ledwie słyszalny, chociaż przez ściany z kolorowego szkła widziało się sylwetki przechodniów. Przyjemny chłód kontrastował z upałem panującym na ulicach; miejscowi politycy wciąż sprzeczali się o to, czy miasto Brisbane ma otrzymać klimatyzację i z jaką firmą zawrzeć wielomilionowy kontrakt, a na razie mieszkańcy oblewali się potem jak co roku w lecie.

Don Burley zaczekał, aż Franklin wypije swoje pierwsze piwo, po czym zamówił następną kolejkę. Jego nowego ucznia otaczała mgła tajemnicy i Don chciał rozwiać ją możliwie jak najszybciej. Musiał stać za tym ktoś z bardzo wysoko postawionych osobistości, może nawet ze Światowego Sekretariatu. Nieczęsto odrywa się starszego inspektora od pracy po to, żeby niańczył kogoś, kto jest za stary na normalne szkolenie zawodowe. Wyglądało na to, że Franklin przekroczył już trzydziestkę, a nigdy dotychczas nie zdarzało się, żeby kogoś w tym wieku otaczano tak szczególnymi względami.

Jedno nie ulegało wątpliwości: Franklin musiał być kosmonautą — tych facetów poznawało się z daleka. To jednak czyniło sprawę jeszcze bardziej tajemniczą. Don chciał od tego zacząć rozmowę, lecz przypomniał sobie słowa dyrektora: „Nie zadawaj Franklinowi zbyt wielu pytań. Nie znam jego przeszłości, ale proszono mnie usilnie, żeby z nim na ten temat nie rozmawiać".

Don zastanawiał się, co się za tym kryje. Może facet jest pilotem kosmicznym, usuniętym ze służby za jakieś poważne niedopatrzenie? Może na przykład zagapił się i wylądował na Wenus zamiast na Marsie?

— Czy byłeś już kiedyś u nas w Australii? — spytał wreszcie

ostrożnie. Nie był to zbyt szczęśliwy początek i rozmowa mogła od razu na wstępie utknąć w martwym punkcie, ale Franklin odpowiedział niespodziewanie:

— Urodziłem się tutaj.

Don nie należał jednak do ludzi, których łatwo zbić z tropu. Roześmiał się tylko i powiedział tonem wyjaśnienia:

— Nigdy mi niczego nie powiedzą i muszę uczyć się na własnych biedach. Ja urodziłem się po drugiej stronie świata, w Irlandii, ale ponieważ pracuję w oddziale Pacyfiku, Australia stała się jakby moją drugą ojczyzną. Co wcale nie znaczy, abym spędzał wiele czasu na lądzie! W naszej pracy osiemdziesiąt procent życia spędza się w morzu. Wielu pracowników się na to uskarża.

— Mnie to nie przeszkadza — uciął Franklin.

Burley zaczynał się denerwować. Diablo ciężko było wyciągnąć coś z tego faceta. Perspektywa pracy z nim przez kilka najbliższych tygodni nie wyglądała zbyt pociągająco i Don zastanawiał się, za co go los tak pokarał. Mimo to nadal nie dawał za wygraną.

— Dyrektor powiedział mi, że masz dobre przygotowanie naukowe i techniczne, więc pewnie znasz większość rzeczy, których nasi pracownicy uczą się w ciągu pierwszego roku. Czy przeszedłeś jakieś przeszkolenie w sprawach administracyjnych?

— Naszpikowali mnie najrozmaitszymi danymi pod hipnozą, tak że mogę w każdej chwili wygłosić parogodzinny wykład na temat Departamentu Morskiego — jego historii, organizacji i aktualnych zadań — ze szczególnym uwzględnieniem Sekcji Wielorybów. Na razie jednak są to dla mnie tylko puste słowa.

Nareszcie do czegoś doszliśmy, pomyślał Don. Facet potrafi jednak mówić. Jeszcze parę piw i okaże się, że jest człowiekiem.

— To jest właśnie cały kłopot z hipnopedią — zgodził się Don. — Można człowieka napompować informacjami, aż mu zaczną wyłazić uszami i nosem, ale nigdy nie ma pewności, ile on z tego wie naprawdę. Poza tym nikt nie nabędzie w ten sposób umiejętności praktycznych ani właściwych odruchów. Najlepszym sposobem uczenia się pozostaje nadal praktyka.

Don przerwał na chwilę, gdyż jego uwagę odwróciła szczególnie kształtna sylwetka za przezroczystą ścianą. Franklin zauważył to spojrzenie i na jego twarzy ukazał się lekki uśmiech. Po raz pierwszy napięcie pomiędzy nimi osłabło i Don poczuł nadzieję, że może jednak udało mu się nawiązać kontakt z tym zagadkowym facetem, którego oddano mu pod opiekę.

Umoczonym w piwie palcem Don zaczął na plastykowym blacie stolika kreślić mapę.

— To jest nasz teren — zaczął. Nasz główny ośrodek szkoleniowy

dla działalności na wodach płytkich mieści się tutaj, na Archipelagu Koziorożca, mniej więcej czterysta mil na północ od Brisbane i czterdzieści mil od lądu. Tutaj zaczyna się bariera przegradzająca południowy Pacyfik, która ciągnie się na wschód do Nowej Kaledonii i Wysp Fidżi. Kiedy wieloryby wędrują ze swoich pastwisk pod biegunem na północ, aby urodzić swoje małe w tropikach, muszą przepływać przez pozostawione przez nas przejścia. Najważniejsze z naszego punktu widzenia jest przejście koło wybrzeża Queenslandu, przy południowym krańcu Wielkiej Rafy Koralowej. Rafa tworzy jakby naturalny kanał szerokości około pięćdziesięciu mil, ciągnący się prawie do samego równika. Wystarczyło zapędzić tam wieloryby, by uzyskać nad nimi pełna kontrole. Cała sprawa nie wymagała zbyt wielkiego wysiłku, gdyż znaczna część wielorybów wędrowała ta drogą na długo przed pojawieniem się człowieka. Teraz tak przywykły do tego szlaku, że nawet wyłączenie płotu nie zmieniłoby prawdopodobnie trasy ich wędrówek.

— Czy to jest bariera elektryczna? — wtrącił Franklin.

— Nie. Za pomocą pola elektrycznego można dość skutecznie kontrolować wędrówki ryb, ale na wielkie ssaki morskie to nie wystarcza. Podstawą jest tu bariera ultradźwiękowa złożona z nadajników umieszczonych na głębokości pół mili. Możemy też kierować stadami na przejściach, nadając określone sygnały; można na przykład popędzić stado w dowolnym kierunku, puszczając z taśmy głos zaniepokojonego wieloryba. Ostatnio jednak rzadko uciekamy się do tak drastycznych metod, gdyż jak mówiłem, wieloryby są już dobrze wytresowane.

— Doceniam to — powiedział Walter. — Słyszałem nawet, że bariery buduje się bardziej po to, żeby nie wpuszczać innych zwierząt, niż po to, żeby nie wypuszczać wielorybów.

— Jest to w pewnej mierze słuszne, chociaż nadal musimy mieć możliwość spędzania stad w celach ewidencyjnych albo na rzeź. Poza tym płoty nie są doskonałe. W miejscach, gdzie zachodzą na siebie strefy działania dwóch nadajników, bariera jest osłabiona, a czasem musimy wyłączać całe odcinki, aby umożliwić normalną wędrówkę ryb. Zdarza się także, że największe rekiny i orki sforsują barierę i narobią zamieszania. Orki stanowią nasz najpoważniejszy problem. Napadają na stada pasące się w wodach antarktycznych, powodując straty dochodzące do dziesięciu procent pogłowia. Jedynym sposobem jest całkowite wytępienie tych drapieżników, ale na razie nie wiadomo, jak to praktycznie zrealizować. Nie możemy patrolować łodziami całej strefy pływających lodów, chociaż kiedy przypomnę sobie, co taka orka potrafi zrobić z wielorybem, to żałuję, że nie jest to możliwe.

W głosie Burleya słychać było głębokie zaangażowanie — prawie

namiętność — i Franklin spojrzał na niego ze zdziwieniem. „Kowboje oceanu", jak ich oczywiście nazwała romantycznie nastrojona publiczność, wiecznie szukająca sobie nowych bohaterów, nie mieli opinii ludzi skłonnych do wzruszeń. Franklin wiedział oczywiście, że twardzi, mrukliwi i niezbyt skomplikowani bohaterowie, zaludniający kartki współczesnych powieści o pracownikach morza, mają niewiele wspólnego z rzeczywistością, lecz mimo to nie potrafił wyzwolić się od przyjętych schematów. Dona trudno by nazwać mrukliwym, ale pod każdym innym względem pasował jak ulał do utartych wyobrażeń o kowbojach oceanu.

Franklin zastanawiał się, jak ułożą się jego stosunki z nowym przełożonym i w ogóle jak to będzie w nowej pracy. Na razie odnosił się do niej bez entuzjazmu: czas pokaże, czy to się potem zmieni. Było w niej niewątpliwie mnóstwo interesujących, a nawet fascynujących problemów i możliwości, które zajmą jego umysł i pozwolą mu się wyżyć. Na to w każdym razie liczył. Po ostatnim koszmarnym roku życie straciło dla niego dawny smak i nie potrafił już tak jak kiedyś rzucać się z entuzjazmem na każde nowe zadanie.

Wydawało mu się niewiarygodne, by mógł jeszcze odzyskać zapal, jaki kiedyś zaprowadził go tak daleko drogą, na którą już nigdy nie wstąpi. Patrząc na Dona, który mówił ze swadą i spokojem człowieka znającego i lubiącego swoją pracę, poczuł nagle wyrzuty sumienia. Przez niego Don został od tej pracy oderwany i pełnił rolę ni to niańki, ni to przedszkolanki. Gdyby Franklin wiedział, że podobne myśli nawiedziły Burleya, jego sympatia zgasłaby natychmiast.

Musimy łapać autobus na lotnisko — powiedział Don spoglądając na zegarek i pośpiesznie dopijając piwo. — Poranny samolot odlatuje za pół godziny. Mam nadzieję, że twoje rzeczy zostały już wysłane.

— W hotelu powiedzieli mi, że się tym zajmą.

— Dobrze. Sprawdzimy na lotnisku. Idziemy.

W pół godziny później Walter mógł znowu odetchnąć. Wkrótce miał się przekonać, że jest to charakterystyczne dla Burleya: nie przejmować się aż do ostatniej chwili, a potem nagle wybuchnąć gorączkową działalnością. Ten wybuch przeniósł ich z przytulnego baru do jeszcze cichszego wnętrza samolotu. Kiedy zajmowali miejsca, zdarzyło się coś, do czego Don wielokrotnie wracał myślą w ciągu kilku następnych tygodni.

— Siadaj przy oknie — powiedział. — Ja latałem tą trasą dziesiątki razy.

Odmowę Franklina uznał za przejaw uprzejmości i powtórzył propozycję. Dopiero kiedy Walter kilkakrotnie odmówił, za każdym razem z większą stanowczością, a nawet z oznakami zniecierpliwienia, Don zdał sobie sprawę, że zachowanie jego towarzysza nie wynika z uprzejmości. Wyglądało to nieprawdopodobnie, ale Don mógłby

przysiąc, że tamten ma stracha. Co to za facet, który boi się usiąść przy oknie w zwyczajnym samolocie? Wszystkie ponure myśli na temat jego nowego zadania, które częściowo uległy rozproszeniu podczas rozmowy w barze, wróciły teraz z nową siłą.

Miasto i spalona słońcem plaża uciekły w dół, kiedy odrzutowe silniki wyniosły ich lekko w niebo. Franklin wetknął nos w gazetę z nagłym zaciekawieniem, które jednak ani na chwilę nie oszukało Dona. Postanowił trochę poczekać i przeprowadzić eksperyment podczas lotu.

Przemknęły pod nimi Góry Szklarniane — dziwnego kształtu kły sterczące ze zniszczonej erozją równiny. Potem ukazały się małe miasteczka nadbrzeżne, przez które szły w świat bogactwa olbrzymich terenów w głębi kontynentu, zanim rozpoczęto uprawę oceanów. Aż wreszcie — zdawałoby się w kilka zaledwie minut od startu — ukazały się pierwsze wysepki Wielkiej Rafy Koralowej, jak ciemniejsze punkciki w błękitnej mgle zasnuwającej horyzont.

Słońce świeciło prawie prosto w oczy, ale Don potrafił odtworzyć z pamięci szczegóły niewidoczne w blasku bijącym od wody. Widział niskie, zielone wyspy okolone wąskimi pasmami plaż i znacznie szerszymi otoczkami koralowych płycizn. Fale Pacyfiku uderzały nieustannie o rafę każdej z wysepek i na przestrzeni tysiąca mil w kierunku na północ powierzchnię wody znaczyły śnieżne półksiężyce piany.

Sto, a nawet pięćdziesiąt lat temu zaledwie kilka spośród setek tych wysepek było zamieszkanych. Teraz, dzięki rozpowszechnieniu transportu powietrznego, taniej energii i odsalaniu wody morskiej zarówno państwo, jak i prywatni obywatele naruszyli odwieczną dziewiczość raf koralowych.

Kilku szczęśliwców za pomocą sobie tylko wiadomych sposobów zdobyło parę pomniejszych wysepek na własność. Królował tam przemysł rozrywkowo-wypoczynkowy, nie zawsze upiększając dzieło natury. Jednak prawdziwym potentatem na rafach była niewątpliwie Światowa Organizacja do Spraw Wyżywienia ze swoją skomplikowaną hierarchią rybołówstwa, upraw morskich i instytutów naukowych, której zrozumienie, jak powszechnie uważano, przekraczało możliwości ludzkiego umysłu.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedział Burley. — Właśnie przelecieliśmy nad Wyspa Lady Musgrave, gdzie mieści się główna siłownia zachodniego skrzydła bariery. Teraz pod nami są Wyspy Koziorożca: Bocianie Gniazdo, Jedno Drzewo, Północno-Zachodnia" Wilsona i Czapli… ta w środku, pokryta zabudowaniami. Ta wieża to administracja, tam jest basen i akwarium, a tam, spójrz, tam widać kilka naszych łodzi podwodnych, przycumowanych do mola, sięgającego aż do skraju rafy.

Mówiąc to wszystko Don kątem oka obserwował Franklina. Ten pochylił się w stronę okna, udając, że słucha objaśnień swego towarzysza, lecz Burley mógł przysiąc, że nie patrzy na rozpościerającą się pod nimi panoramę raf i wysepek. Na jego twarzy malowało się napięcie i wysiłek, a oczy miały wyraz nieobecny, jakby zmuszał się, aby nic nie widzieć.

Z mieszaniną pogardy i litości Don stwierdził objawy, choć nie znał przyczyn. Franklin cierpiał na lęk przestrzeni; należało więc pożegnać się z teorią, że był kosmonautą. Kim więc był! W każdym razie nie sprawiał wrażenia człowieka, z którym chciałoby się dzielić ciasne pomieszczenie dwuosobowej szkolnej łodzi podwodnej…

Koła samolotu dotknęły lotniska Wyspy Czapli, czyli prostokąta spalonego i wyrównanego koralu. Franklin od momentu, kiedy mrużąc oczy wyszedł z samolotu na zalane słońcem lotnisko, przeszedł gwałtowną przemianę. Don widział nieraz pasażerów cierpiących na morską chorobę, którzy doznawali podobnie nagłego uzdrowienia, gdy tylko poczuli pod nogami stały grunt. Jeżeli Franklin jest takim samym marynarzem jak lotnikiem, pomyślał Don, to moja zwariowana misja nie potrwa dłużej niż kilka dni i będę mógł wrócić do swojej pracy. Nie znaczyło to wcale, że Don chciał wracać natychmiast; na wyspie można było przyjemnie spędzić czas pod warunkiem, że człowiek potrafi sobie radzić z biurokracją, której nigdy nie brakowało w Kwaterze Głównej.

Mikrobus wiózł ich droga między rzędami pisonii, których gęste listowie chroniło przed słońcem. Droga miała niecałe ćwierć mili długości, mimo że przecinała całą wyspę od przystani i zakładów naprawczych na zachodnim krańcu do zespołu budynków administracyjnych na wschodzie. Dwie części wyspy przedzielał wąski pas dżungli, którą pieczołowicie zachowano w stanie nienaruszonym. Don z czułością wspominał jej fascynujące ścieżki i ukryte polanki.

Administracja była uprzedzona o przybyciu Franklina i poczyniła niezbędne przygotowania. Umieszczono go osobno, wprawdzie nieco niżej od stałych pracowników jak Burley, ale za to o całe niebo powyżej zwykłych uczniów przechodzących tu szkolenie. Najdziwniejsze, że dostał osobny pokój, na co nawet wyżsi urzędnicy nie zawsze mogli liczyć, kiedy odwiedzali wyspę. Don, który obawiał się, że będzie musiał dzielić pokój ze swoim tajemniczym podopiecznym, przyjął to z wielką ulgą. Niezależnie od wszystkich innych czynników w grę wchodziły pewne jego plany natury romantycznej.

Odprowadził Franklina do małego, ale ładnego pokoiku na pierwszym piętrze skrzydła przeznaczonego dla uczniów, skąd roztaczał się widok na rafę, ciągnącą się w kierunku wschodnim po sam horyzont. Na podwórku grupa uczniów w przerwie pomiędzy

zajęciami gwarzyła z instruktorem w stopniu inspektora, którego Don pamiętał z widzenia. Przyjemnie jest, pomyślał, wracać do szkoły, kiedy, już zna się odpowiedzi na wszystkie pytania.

— Będzie ci tu chyba wygodnie — powiedział do Franklina, który był zajęty rozpakowywaniem swego bagażu. — Niezły widok, co?

Takie poetyckie zachwyty nie leżały w naturze Dona, ale kusiło go, żeby zobaczyć, jak Franklin zareaguje na widok rozpościerającej się przed nim połaci upstrzonego koralami oceanu. Z pewnym rozczarowaniem stwierdził, że Franklin zareagował normalnie; wyjrzał przez okno i z wyraźną przyjemnością podziwiał błękit i zieleń wody, po której wzrok ślizgał się ku niezmierzonym przestrzeniom Pacyfiku. Widocznie wysokość trzydziestu stóp nie była dla niego problemem.

Dobrze mi tak, pomyślał sobie Don, nie trzeba się nad nim znęcać. Nie wiem, co mu jest, ale na pewno nie ułatwia mu to życia.

— Zostawię cię teraz, żebyś mógł się rozpakować — powiedział, podchodząc do drzwi. — Obiad będzie za pół godziny w mesie, w budynku, który mijaliśmy po drodze. Do zobaczenia.

Franklin kiwnął głową obojętnie, zajęty układaniem koszul i bielizny na łóżku. Chciał być sam w chwili, kiedy przygotowywał się do nowego życia, na które przystał bez szczególnego entuzjazmu.

W dziesięć minut po odejściu Burleya rozległo się pukanie do drzwi i cichy głos spytał:

— Czy mogę wejść?

— Kto tam? — spytał Franklin, w pośpiechu doprowadzając pokój do porządku.

— Doktor Myers.

Nazwisko nic mu nie mówiło, ale skrzywił się w gorzkim, uśmiechu na myśl, że pierwszą wizytę na nowym miejscu składa mu właśnie doktor. Domyślał się, co to za doktor.

Myers był krępym, sympatycznym brzydalem po czterdziestce, z niepokojąco przenikliwym spojrzeniem, które kłóciło się nieco z jego uprzejmym i przyjaznym sposobem bycia.

— Przepraszam, że dopadam cię tak od razu na wstępie — powiedział tonem wyjaśnienia. — Musiałem to zrobić teraz, bo dzisiaj po południu lecę do Nowej Kaledonii i nie będzie mnie przez tydzień. Profesor Stevens prosił mnie, żebym się z tobą zobaczył i przekazał ci pozdrowienia. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń do mego biura.

Franklin był pełen podziwu dla zręczności, z jaką Myers uniknął wszelkich niebezpiecznych momentów. Nie powiedział na przykład „Omówiłem twój przypadek z profesorem Stevensem". Nie zaproponował też wprost swojej opieki; dał do zrozumienia, że Franklin w zasadzie już jej nie potrzebuje i potrafi dać sobie radę sam.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział szczerze. Czuł, że polubi

doktora Myersa i że nie będzie miał nic przeciwko nadzorowi, jakiemu go tu niewątpliwie poddadzą.

— Proszę mi powiedzieć — dodał — co ludzie tutaj wiedzą na mój temat?

— Nic poza tym, że mają pomóc ci możliwie jak najszybciej zdobyć kwalifikacje inspektora. Nie jest to pierwszy przypadek tego rodzaju, zdarzały się już podobne przyśpieszone kursy. Mimo to będziesz oczywiście wzbudzać ciekawość i to może być twoim największym problemem.

— Burley już teraz umiera z ciekawości.

— Czy mogę dać ci pewną radę?

— Ależ oczywiście, proszę bardzo.

— Będziesz pracować z Donem przez dłuższy czas. Byłoby lepiej, gdybyś opowiedział mu o wszystkim, gdy tylko uznasz to za stosowne. Jestem pewien, że spotkasz się ze zrozumieniem. Albo, jeśli wolisz, ja mogę mu powiedzieć.

Franklin potrząsnął głową, nie znajdując odpowiednich słów. Nie była to kwestia logiki, gdyż wiedział, że Myers ma rację. Wcześniej czy później wszystko wyjdzie na jaw i odkładanie nieuniknionych wyjaśnień może tylko pogorszyć sprawę. Jednak jego poczucie równowagi psychicznej i szacunku dla samego siebie było jeszcze tak kruche, że nie potrafił wyobrazić sobie pracy z człowiekiem znającym jego tajemnicę.

— Dobrze. Decyzja należy do ciebie. Życzę powodzenia i miejmy nadzieję, że nasze kontakty będą miały charakter czysto towarzyski.

Długo jeszcze po wyjściu Myersa Franklin siedział na skraju łóżka, patrząc na morze, które miało stać się jego nowym miejscem pracy. Będzie mu potrzebne powodzenie, którego życzył mu doktor, ale najważniejsze, że zaczynało się w nim budzić na nowo zainteresowanie życiem. Nie tylko dlatego, że ludzie chętnie śpieszyli mu z pomocą; w ciągu ostatnich kilku miesięcy miał tej pomocy aż nadto. Po prostu zaczął wreszcie czuć, że sam da sobie radę i potrafi znaleźć nowy cel w życiu.

Walter ocknął się z zamyślenia i spojrzał na zegarek. Spóźnił się już o dziesięć minut na obiad, co nie było dobrym początkiem nowego życia. Wyobraził sobie Dona Burleya niecierpliwiącego się w mesie i zastanawiającego się, co się mogło stać.

— Idę, mistrzu — powiedział Walter, włożył marynarkę i wyszedł z pokoju. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu zdobył się na żart.

III

Franklin zobaczył po raz pierwszy Indrę Langenburg, jak umazana we krwi po łokcie grzebała we wnętrznościach dziesięciostopowego rekina, którego przed chwilą wypatroszyła. Wielka bestia leżała odwrócona do słońca swoim białym brzuchem na plaży, którą Franklin wybrał sobie na miejsce porannej przechadzki. Z paszczy rekina zwisał jeszcze kawał grubego łańcucha; widocznie złapano drapieżnika w nocy i pozostawiono na brzegu.

Franklin przyglądał się przez chwilę dziwnemu zestawieniu pięknej dziewczyny i martwej bestii, po czym powiedział:

— Muszę przyznać, że nie lubię takich widoków przed śniadaniem. Co ty tu robisz?

Brązowa, owalna twarz z bardzo poważnymi oczami zwróciła się w jego stronę. Długi na stopę., ostry jak brzytwa nóż, który był sprawcą tych jatek, nie przestał ani na chwilę działać wśród chrzęści i wnętrzności.

— Piszę pracę — odpowiedział mu głos równie poważny jak spojrzenie — na temat zawartości witamin w wątrobie rekina. Trzeba do tego dużo rekinów; to jest mój trzeci w tym tygodniu. Może chcesz trochę zębów na pamiątkę? Mam ich bardzo dużo.

Podeszła do głowy potwora i wsunęła nóż do paszczy, która była rozwarta dzięki włożonemu klockowi. Szybki ruch dłoni i z paszczy rekina zaczął, się wyłaniać sznur śmiercionośnych trójkątnych zębów, niczym piła łańcuchowa zrobiona z kości.

— Nie, dziękuję — powiedział Franklin pośpiesznie. — Nie przeszkadzaj sobie w pracy.

Wyglądała na jakieś dwadzieścia lat. Franklin nie był zdziwiony tym, że na tak małej wysepce spotkał nieznajomą dziewczynę, gdyż pracownicy naukowi ze Stacji Badawczej nie mieli zbyt wielu kontaktów z administracją i ośrodkiem szkoleniowym.

— Jesteś tutaj nowy, prawda? — spytała unurzana we krwi uczona wrzucając z wyraźną satysfakcją wielki płat wątroby do wiadra. — Nie widziałam cię na ostatnim wieczorku tanecznym w Kwaterze Głównej.

Pytanie sprawiło Franklinowi przyjemność. Dobrze było spotkać kogoś, kto nic o nim nie wiedział i nie starał się dociekać przyczyn jego obecności na wyspie. Czuł, że po raz pierwszy od czasu swego przyjazdu może rozmawiać swobodnie i bez skrępowania.

— Tak, przyjechałem tutaj na szkolenie. A ty od jak dawna tu jesteś?

Przeciągał rozmowę po to tylko, aby dłużej być w jej towarzystwie, a ona niewątpliwie zdawała sobie z tego doskonale

sprawę.

— Oj, prawie miesiąc — odpowiedziała nonszalancko. Jeszcze jedno plaśnięcie i wiadro było prawie pełne. — Przyjechałam tutaj z Uniwersytetu Miami.

— Jesteś Amerykanką?

— Nie; moimi przodkami byli Holendrzy, Birmańczycy i Szkoci, mniej więcej w równych proporcjach. Aby sprawa była nieco bardziej skomplikowana, urodziłam się w Japonii — wyjaśniła dziewczyna z powagą.

Franklin zastanawiał się przez chwilę, czy z niego nie żartuje, lecz w twarzy dziewczyny nie było ani cienia przewrotności. Wygląda na bardzo miłe dziecko, pomyślał sobie, ale przecież nie mogę stać tutaj i rozmawiać przez cały dzień. Miał tylko czterdzieści minut na śniadanie, a o dziewiątej rozpoczynały się poranne zajęcia z podmorskiej nawigacji.

Wkrótce zapomniał o spotkaniu, gdyż ciągle spotykał nowe twarze i krąg jego znajomych rozszerzał się nieustannie. Przyśpieszone szkolenie nie pozostawiało mu wiele czasu na życie towarzyskie, co przyjmował z wdzięcznością; uwolniło go to od ciężaru wspomnień z łatwością, która go mile zaskoczyła. Widocznie jednak ci, którzy go tutaj przysłali, dobrze wiedzieli, co robią.

Cała wiedza empiryczna — statystyki, dane liczbowe, znajomość administracji — została mu prawie bezboleśnie wstrzyknięta pod hipnozą. Potem długie posiedzenia, w czasie których magnetofon zadawał mu pytania, a potem sam dawał odpowiedzi i sprawdzał, czy wiadomości zostały rzeczywiście przyswojone, a nie wyleciały natychmiast drugim uchem, jak to się czasem zdarzało.

Don Burley nie miał nic wspólnego z tą częścią szkolenia, ale ku swojemu niezadowoleniu nie miał wolnego czasu, gdy Franklinem zajmowali się inni. Szef skorzystał skwapliwie z okazji, że Don znowu wpadł w jego pazury, i z wielkim taktem oraz wdziękiem „zaproponował" mu prowadzenie w wolnych chwilach wykładów na trzech kursach szkoleniowych. Przyparty do muru przez przełożonego Don nie miał innego wyjścia, jak zgodzić się, robiąc dobrą minę do złej gry. Tak więc jego pobyt na wyspie trudno było nazwać wakacjami.

Za to nie ziściły się jego obawy co do Franklina; można z nim było wytrzymać, jeśli nie wnikało się w jego sprawy osobiste. Był wybitnie inteligentny i miał za sobą przeszkolenie techniczne, pod pewnymi względami przewyższające umiejętności Dona, Rzadko trzeba mu było wyjaśniać coś więcej niż raz i zanim jeszcze doszło do pierwszych prób na urządzeniach treningowych, Don zorientował się, że jego uczeń ma wszelkie dane na „rasowego" pilota. Miał sprawne dłonie, reagował szybko i dokładnie i miał ten trudny do określenia

spokój, który pozwala odróżnić pilota najwyższej klasy od po prostu dobrego.

Don wiedział jednak, że sama wiedza i umiejętności nie wystarczają. Potrzebne było coś jeszcze i na razie nie można było odgadnąć, czy Franklin to posiada. Dopiero obserwując reakcję swego ucznia na pierwsze zanurzenie w głębiny oceanu Don dowie się, czy cały ten wysiłek ma jakiś sens.

Franklin musiał się nauczyć tylu rzeczy, że wydawało się niemożliwe, aby ktoś mógł to opanować w ciągu dwóch miesięcy, jak tego wymagał program. Don przeszedł normalny półroczny kurs i nie mógł jakoś pogodzić się z myślą, że ktoś może opanować ten sam materiał w czasie trzykrotnie krótszym, nawet przy specjalnym instruktorze. Przecież samą mechanikę — budowę różnych typów łodzi podwodnych — wkuwało się co najmniej przez dwa miesiące, mimo pomocy najlepszych instruktorów. On tymczasem musiał w takim samym okresie nauczyć Franklina zasad sztuki żeglarskiej i nawigacji podwodnej, podstaw oceanografii, podmorskiej łączności oraz ichtiologii w niemałym zakresie, psychologii zwierząt morskich i oczywiście cetologii. Jak na razie Franklin nigdy jeszcze nie widział wieloryba żywego ani martwego i Don z niecierpliwością oczekiwał pierwszej konfrontacji. Obserwując ucznia w takiej chwili można było dowiedzieć się wszystkiego o jego przydatności do zawodu.

Mieli za sobą dwa tygodnie wspólnej ciężkiej pracy, kiedy Don po raz pierwszy wziął Franklina pod wodę. Do tego czasu ustaliły się ich wzajemne stosunki: były przyjazne, a jednocześnie chłodne. Poufałość ograniczała się do tego, że mówili do siebie „Don” i „Walt”. Burley nadal nie wiedział nic o przeszłości Franklina, chociaż ukuł sobie na własny użytek kilka teorii. Najbardziej skłaniał się ku hipotezie, że jego uczeń jest wyjątkowo uzdolnionym kryminalistą, który został całkowicie wyleczony i teraz przechodzi rehabilitacje. Zastanawiał się nawet, czy Franklin mógł być mordercą, co było intrygującym przypuszczeniem, i żywił cichą nadzieję, że ta właśnie hipoteza jest prawdziwa.

Franklin nie zachowywał się już tak dziwnie, jak podczas pierwszego spotkania, chociaż niewątpliwie widać po nim było zwiększone napięcie nerwowe. Ponieważ jednak zdarzało się to nawet najlepszym inspektorom, Don nie przejmował się tym zbytnio. Jego zaciekawienie przeszłością Franklina również nieco zmalało, gdyż miał zbyt wiele zajęć, aby o tym myśleć. Życie nauczyło go cierpliwości, a nie wątpił, że prędzej czy później dowie się całej prawdy. Był prawie pewien, że raz czy dwa Franklin szykował się, aby mu coś wyznać, lecz cofnął się w ostatniej chwili. W obu wypadkach Don udawał, że nic nie zauważył, i nadal utrzymywali we wzajemnych stosunkach z góry ustalony bezosobowy ton.

Był piękny poranek i tylko lekka fala poruszała powierzchnię oceanu, kiedy weszli na wąskie molo, sięgające aż do skraju rafy. Był przypływ i cała rafa znajdowała się pod woda, której głębokość nie przekraczała jednak pięciu — sześciu stóp, tak że widać było każdy szczegół dna. Franklin i Burley zaledwie raczyli spojrzeć na to naturalne akwarium, nad którym przechodzili. Był to dla nich zbyt dobrze znany widok; poza tym wiedzieli, że prawdziwe piękno i cuda raf koralowych kryją się w głębszych wodach, dalej w morzu.

W odległości dwustu jardów od brzegu koralowy krajobraz gwałtownie zapadał się w głębinę, lecz molo szło jeszcze dalej, opierając się na coraz to wyższych słupach, aż wreszcie kończyło się platformą, na której wznosiło się kilka budynków. Podjęto tu bohaterski i trzeba przyznać uwieńczony powodzeniem wysiłek, aby uniknąć brudu i chaosu panującego zazwyczaj w stoczniach i na nabrzeżach; nawet dźwigi zostały zaprojektowane tak, aby nie raziły oka. Rząd Stanu Queensland po długich debatach wydzierżawił Archipelag Koziorożca Światowej Organizacji do Spraw Wyżywienia, pod warunkiem jednak, że nie ucierpi na tym piękno wysepek. Trzeba przyznać, że warunku tego na ogół dotrzymano.

— Zamówiłem dwie torpedy — powiedział Burley, kiedy zeszli po schodach na końcu mola i przekroczyli podwójne drzwi wielkiej śluzy powietrznej. Franklin usłyszał pstryknięcie w uszach, które przystosowywały się do zwiększonego ciśnienia; domyślił się, że muszą być ze dwadzieścia stóp pod powierzchnią wody. Znajdowali się w jasno oświetlonym pomieszczeniu, zawalonym wszelkiego rodzaju podwodnym ekwipunkiem — od zwykłych aparatów tlenowych do skomplikowanych urządzeń napędowych. Dwie zamówione przez Dona torpedy leżały w swoich łożyskach na pochylni schodzącej do wody. Pomalowane były na kolor jasnożółty, zarezerwowany dla sprzętu szkoleniowego, i Don spojrzał na nie z niechęcią.

— Już od paru lat nie używałem czegoś takiego — odezwał się do Franklina. — Dasz sobie z tym radę lepiej ode mnie. Ja, kiedy już mam wejść do wody, wolę poruszać się siłą własnego napędu.

Rozebrali się do kąpielówek i koszulek i zapięli na sobie szelki akwalungów. Don wziął do ręki mały, ale zaskakująco ciężki plastykowy cylinder i podał go Franklinowi.

— To jest właśnie ten aparat do regulacji ciśnienia, o którym ci mówiłem — powiedział. — Zawarte w nim powietrze pod ciśnieniem tysiąca atmosfer jest cięższe od wody i dlatego potrzebne są te dodatkowe zbiorniki balastowe. Urządzenie samoregulujące działa bardzo sprawnie; w miarę zużycia powietrza zbiorniki balastowe stopniowo napełniają się wodą, tak że cały cylinder jest zawsze

wyważony na zero. W przeciwnym razie wyrzuciłoby cię na powierzchnię jak korek.

Spojrzał na wskaźniki ciśnienia i kiwnął aprobująco głową.

— Są napełnione prawie do połowy — powiedział. — To więcej, niż nam potrzeba. Taki zbiornik solidnie napompowany wystarcza na cały dzień siedzenia pod wodą, a my nie będziemy dłużej niż godzinę.

Założyli nowe, przykrywające całą twarz maski, już wcześniej sprawdzone i dopasowane. Na okres ich pobytu tutaj maski te będą czymś równie prywatnym, jak szczoteczki do zębów, gdyż nie ma dwóch twarzy zupełnie identycznych, a najmniejsza nawet szczelina może stać się przyczyną fatalnych następstw.

Po sprawdzeniu zapasów powietrza i podwodnych krótkofalówek Don i Walter położyli się na płask, każdy na swojej wysmukłej torpedzie, kryjąc głowy za niskimi przezroczystymi osłonami, chroniącymi przed naporem wody, kiedy będą płynąć z szybkością dochodzącą do trzydziestu węzłów. Franklin wsunął stopy w strzemiona, wyczuwając palcami pedał gazu i dźwignię uruchamiającą wsteczny bieg. Mały drążek sterowy, pozwalający kierować torpedą jak samolotem, mieścił się przed jego twarzą pośrodku pulpitu sterowniczego, który oprócz tego miał jedynie kilka przełączników, kompas oraz wskaźniki prędkości, głębokości i stanu baterii.

Don udzielał Franklinowi ostatnich instrukcji, kończąc słowami:

— Trzymaj się o dwadzieścia stóp w prawo ode mnie, tak żebym mógł cię mieć cały czas na oku. Gdyby stało się coś takiego, że będziesz musiał wypuścić torpedę z rąk, to na litość boską wyłącz silnik. Nie chcemy, żeby buszowała po całej rafie. Gotowe?

— Gotowe — odpowiedział Franklin do swego mikrofonu.

— W porządku. Ruszamy.

Torpedy ześliznęły się lekko po pochylni i znaleźli się pod wodą. Nie było to dla Franklina czymś zupełnie nowym, gdyż podobnie jak większość ludzi na świecie próbował płetwonurkowania, a nawet pływał w akwalungu, aby przekonać się, na czym to polega. Kiedy mała turbina odezwała się za jego plecami, a ściany podwodnej komory zaczęły umykać do tyłu, nie czuł nic, poza przyjemnym podnieceniem.

Z chwilą gdy wydostali się spod filarów mola na otwarte wody, zrobiło się wokół nich jaśniej. Widoczność nie była zbyt dobra — nie więcej niż trzydzieści stóp — ale Don wiedział, że na pełnym morzu będzie lepiej. Skierował teraz swoją torpedę pod kątem prostym do skraju rafy, płynąc ku głębszym wodom z niewielką szybkością pięciu węzłów.

— Największym niebezpieczeństwem — odezwał się głos Dona w nausznikach Franklina — jest możliwość wpakowania się na coś przy zbyt dużej szybkości. Trzeba dużego doświadczenia, aby nauczyć się

właściwie oceniać odległości pod wodą. O, widzisz?

Don skręcił gwałtownie, aby wyminąć wielką bryłę koralu, która nagle wyrosła tuż przed nimi. Franklin pomyślał sobie, że jeśli ten pokaz był zaplanowany, to Don rzeczywiście pięknie wyliczył moment. Kiedy mijali te żywą górę w odległości nie większej niż dziesięć stóp, zauważył niezliczone stada jaskrawo ubarwionych ryb, przypatrujących im się z pozorną obojętnością. Widocznie zdążyły się już tak przyzwyczaić do torped i łodzi podwodnych, że nie reagowały na ich widok. Zresztą cała ta strefa stanowiła ścisły rezerwat i ryby nie miały powodu do obaw.

Po kilku minutach jazdy ze zwiększoną szybkością znaleźli się na szerszych wodach kanału, oddzielającego wyspę od pierścienia raf. Mieli teraz miejsce na wykonywanie ewolucji i Franklin w ślad za swoim nauczycielem robił całe serie skrętów, pętli i zygzaków, tracąc w końcu wszelkie poczucie kierunku. Czasami pikowali w dół, do rozciągającego się o sto stóp poniżej dna, a potem, niczym ryby latające, wyskakiwali na powierzchnię, aby zorientować się w położeniu. Don przez cały czas prowadził komentarz, przerywany pytaniami, aby sprawdzić, jak Franklin reaguje na jazdę.

Było to niezwykle przyjemne przeżycie. Tutaj, w kanale, woda była znacznie czystsza i widoczność sięgała stu stóp. W pewnej chwili wjechali w środek ogromnej ławicy makreli, które towarzyszyły im zaciekawione, dopóki nie zwiększyli szybkości. Nie widzieli nigdzie rekinów i Franklin dał wyraz swemu zdziwieniu z tego powodu.

— Trudno je zobaczyć, kiedy się płynie torpedą — wyjaśnił Don — bo odstrasza je hałas silnika. Jeśli chcesz poznać miejscowe rekiny, będziesz musiał popływać tradycyjnie albo wyłączyć silnik i zaczekać, aż podpłyną, żeby ci się przyjrzeć.

W oddali zamajaczył niewyraźnie jakiś ciemny masyw, zmniejszyli więc szybkość i powoli zbliżali się do niewielkiego łańcucha koralowych wzgórz, wznoszącego się na dwadzieścia do trzydziestu stóp nad dnem.

— Tu gdzieś mieszka pewien mój stary znajomy — powiedział Don. — Ciekawe, czy jest w domu. Ostatni raz widzieliśmy się przed czterema laty, ale dla niego to nie jest długo. Mieszka tutaj już od kilku stuleci.

Opływali teraz skraj wielkiego, porośniętego zielenią koralowego grzyba i Franklin wpatrywał się w cień pod jego kapeluszem. Było tam kilka sporych głazów i para wytwornych aniołów morskich, które stawały się prawie niewidoczne, kiedy zwracały się do niego swoją płaską stroną. Nie potrafił jednak dostrzec niczego, co usprawiedliwiałoby zainteresowanie Dona.

Franklin poczuł dreszcz niepokoju, kiedy jeden z głazów poruszył się, na szczęście nie w jego kierunku. Największa ryba, jaką widział w

życiu — długością dorównująca torpedzie, lecz znacznie grubsza — wpatrywała się w niego swoimi wyłupiastymi oczami. Nagle ryba groźnie rozwarła paszczę i Franklin poczuł się jak Jonasz w decydującym momencie swojej kariery. Przez chwilę widział grube, ciemnogranatowe wargi, a za nimi rząd zaskakująco drobnych zębów; potem potężne szczęki zatrzasnęły się tak, że prawie poczuł prąd wyrzucanej spomiędzy nich wody.

Don robił wrażenie zadowolonego ze spotkania, które widocznie przypominało mu dni, kiedy sam był tutaj uczniem.

— To miło zobaczyć znowu starego Ciamkacza! Czyż nie jest piękny? Siedemset pięćdziesiąt funtów, jeśli nie więcej. Udało nam się odnaleźć go na zdjęciach robionych tu przed osiemdziesięciu laty i był już wtedy niewiele mniejszy. To cud, że uniknął kusz płetwonurków, zanim ten teren objęto ochroną.

— Mnie dziwi raczej to, że ocaleli płetwonurkowie — wtrącił Franklin.

— On nie jest w gruncie rzeczy niebezpieczny. Strzępicie interesują się tylko tym, co potrafią przełknąć w całości — te ich śmieszne ząbki nie bardzo nadają się do gryzienia, a dorosły mężczyzna to trochę za dużo jak na jeden kąsek. Na to musimy zaczekać jeszcze ze sto lat.

Pożegnali gigantycznego strzępiela, nadal czuwającego u wejścia do swojej groty, i popłynęli dalej skrajem rafy. Przez następne dziesięć minut nie widzieli nic ciekawego prócz wielkiej płaszczki, która leżała na dnie i na ich widok poderwała się, pośpiesznie machając skrzydłami. Kiedy odpływała, wyglądała jak dokładna kopia wielkich samolotów typu delta, jakie królowały przez pewien czas w przestworzach, sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat temu. To dziwne, pomyślał Franklin, jak natura potrafiła przewidzieć tyle wynalazków człowieka — na przykład dokładny kształt pojazdu, którym teraz jechał, a nawet zasadę odrzutu, za pomocą której się poruszał.

— Mam zamiar opłynąć rafę dookoła — powiedział Don — co zajmie nam około czterdziestu minut. Jak się czujesz?

— Doskonale.

— Nie masz kłopotów z uszami?

— Z początku miałem coś z lewym, ale już mi przeszło.

— W porządku. Płyń za mną, ale nieco wyżej, tak żebym mógł cię widzieć w lusterku. Kiedy płynąłeś z mojej prawej strony, cały czas bałem się, że na ciebie wpadnę.

W nowym ustawieniu ruszyli na wschód wzdłuż nieregularnego konturu rafy, utrzymując stałą szybkość dziesięciu węzłów. Don był zadowolony z wyprawy; wszystko wskazywało na to, że Franklin czuje się pod wodą doskonale — chociaż ostatecznym sprawdzianem mogło być tylko zachowanie się w nieprzewidzianej sytuacji. Ten punkt był

w programie następnej lekcji; Franklin nie podejrzewał nawet, że nieprzewidziana sytuacja została już przewidziana.

IV

Dni na wyspie niczym się od siebie nie różniły. Pogoda ustaliła się na czas dłuższy, słońce wschodziło i zachodziło na bezchmurnym niebie. O nudzie jednak nie mogło być mowy, gdyż nauka i liczne inne zajęcia wypełniały każdą chwilę.

Stopniowo, w miarę jak jego umysł wchłaniał nową wiedzę i nabywał nowych kwalifikacji, Franklin uwalniał się od prześladującej go zmory przeszłości. Don porównywał go w myśli do zbyt silnie ściśniętej sprężyny, którą teraz zaczęto popuszczać. Wciąż jednak od czasu do czasu jego podopieczny zdradzał oznaki nerwowości i zniecierpliwienia tam, gdzie zdawałoby się, nie było ku temu żadnych przyczyn, a raz czy dwa takie wybuchy spowodowały nawet przerwy w programie szkolenia. Jedna z nich wynikła częściowo z winy Dona i myśl o tym nie dawała mu spokoju.

Jego umysł pracował nieco ciężko owego ranka, po wieczorze spędzonym w towarzystwie chłopców, którzy właśnie na zakończenie szkoleniu otrzymali warunkowo stopnie młodszych instruktorów i byli niezwykle dumni ze srebrnych delfinów na swoich bluzach. Nie można było powiedzieć, że Don miał kaca, ale myślenie szło mu z trudem, a tu jak na złość program przewidywał subtelności podwodnej akustyki. Nawet w szczytowej formie Don zbywał ten temat wykrętem: „Matematyka nigdy nie była moją specjalnością, ale jeśli weźmiecie krzywe ściśliwości i temperatury, to otrzymacie…”

Większość uczniów zadowalała się tym wyjaśnieniem, ale nie Franklin, który wykazywał denerwujące zamiłowanie do wdawania się w zbędne szczegóły. Teraz też zaczął wykreślać krzywe i rozwiązywać równania różniczkowe, gdy tymczasem Don, chcąc ukryć swoją niewiedzę, palił papierosa. Wkrótce Franklin przekonał się, że zadanie przekracza jego siły, i zwrócił się o pomoc do nauczyciela. Skołowany i uparty tego ranka Don nie przyznał szczerze, że sam też nie wie, i w rezultacie Franklin doszedł do przekonania, że Don nie chce mu pomóc. Uniósł się gniewem i wyszedł obrażony, Don zaś powlókł się do apteczki. Czekało go tam rozczarowanie: cały zapas proszków od bólu głowy został już zużyty przez wczorajszych absolwentów.

Na szczęście jednak podobne wypadki były rzadkie, gdyż obaj mężczyźni nauczyli się wzajemnego szacunku i sztuki robienia drobnych ustępstw — rzeczy niezbędnych w każdym zespole. Jednak wśród reszty personelu i wśród uczniów Franklin nie cieszył się sympatią. Wynikało to częściowo z tego, że unikał bliższych kontaktów z ludźmi, co wśród małej społeczności wyspy zyskało mu opinie zarozumialca. Niechęć innych uczniów budziły także jego szczególne przywileje, zwłaszcza osobny pokój. Personel zaś,

uskarżając się na dodatkową pracę z jego powodu, w gruncie rzeczy miał mu za złe to, że tak mało o nim wie. Don kilkakrotnie nie bez zdziwienia stwierdził, że występuje w obronie Franklina.

— To nie jest zły chłopak, trzeba go tylko bliżej poznać — mówił. — Jeżeli nie chce opowiadać o swojej przeszłości, to jego sprawa. Mnie wystarcza fakt, że cieszy się poparciem wielu osób z administracji. A poza tym, kiedy ukończy kurs, będzie lepszym inspektorem niż połowa z tu obecnych.

To ostatnie przyjęto z jawnym niedowierzaniem i ktoś zapytał:

— Czy wypróbowałeś już na nim jakieś sztuczki?

— Nie, ale mam zamiar. Obmyśliłem jedną niezłą. Opowiem wam, jak sobie z tym poradzi.

— Stawiam pięć do jednego, że stchórzy.

— Przyjmuję. Zacznij składać pieniądze.

Franklin nie miał pojęcia o ciążącej na nim odpowiedzialności, kiedy wraz z Donem wyruszał z garażu na swoją drugą podwodną wyprawę, i nie podejrzewał, że przygotowano dla niego specjalną atrakcję. Tym razem natychmiast po oderwaniu się od mola ruszyli w kierunku południowym, płynąc na głębokości trzydziestu stóp. Po kilku minutach przepłynęli wąskim kanałem, przebitym w rafie, aby mniejsze statki mogły dopływać do Stacji Badawczej, i okrążyli komorę obserwacyjną, z której wnętrza uczeni mogli wygodnie obserwować dno morskie. Nie było tam teraz nikogo, kto mógłby ich zobaczyć przez okna z grubego szkła; niespodziewanie Franklin przyłapał się na tym, że myśli, co też może teraz porabiać mała specjalistka od rekinów.

— Popłyniemy na Rafę Wistari — powiedział Don. — Zrobimy dziś ćwiczenia praktyczne z nawigacji.

Torpeda Dona skręciła na zachód, wskazując nowy kurs w kierunku głębszych wód. Widzialność nie była dobra tego dnia — poniżej trzydziestu stóp — i łatwo można się było zgubić. Po chwili zwolnił i krążąc prawie w miejscu wydawał Franklinowi polecenia.

— Chcę, żebyś teraz utrzymywał kurs przez minutę, przy szybkości dwudziestu węzłów, a przez następną minutę kurs 010 przy tej samej szybkości. Spotkamy się na miejscu. Zrozumiałeś?

Franklin powtórzył zadanie, po czym uzgodnili czas na swoich zegarkach. Plan Dona był dość oczywisty; wytyczył swemu uczniowi trasę wzdłuż dwóch boków równobocznego trójkąta, a sam niewątpliwie chciał popłynąć wolno wzdłuż trzeciego boku i zjawić się w wyznaczonym punkcie.

Ustaliwszy dokładnie kierunek, Franklin nacisnął dźwignię gazu i poczuł rosnący napór wody, kiedy torpeda skoczyła w błękitną mgłę. Potem jedynie równomierny nacisk strumienia wody na jego częściowo obnażone nogi pozwalał odczuć szybkość; gdyby nie szyba

ochronna, prąd wody oderwałby go od torpedy natychmiast. Od czasu do czasu ukazywało mu się dno morskie — które tutaj, w kanale pomiędzy wielkimi rafami, było monotonne i bez wyrazu — a raz zaskoczył ławice ryb, które rozpierzchły się w popłochu na jego widok.

Nagle Franklin po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest sam pod wodą, otoczony ze wszystkich stron przez żywioł, który ma się stać jego miejscem pracy. Ocean utrzymywał go i chronił, ale wystarczy, aby popełnił błąd albo uszkodził sprzęt, i zginie w ciągu dwóch, najwyżej trzech minut. Myśl o tym nie przerażała go; dominowało w nim poczucie wzrastającej pewności siebie, wynikające z opanowania tajników nowego zawodu. Zdawał sobie sprawę, jak wiele wymaga od człowieka ocean, i chciał stawić czoło temu wyzwaniu. Poczuł nagły przypływ radości, gdyż zrozumiał, że znowu ma jakiś cel w życiu.

Właśnie minęła pierwsza minuta, zmniejszył wiać szybkość do czterech węzłów. Przebył już trzecią część mili i powinien popłynąć wzdłuż drugiego boku trójkąta, aby spotkać się z Donem w umówionym miejscu.

W momencie gdy przesunął drążek na prawą burtę, poczuł, że coś jest nie w porządku. Torpeda kołysała się ciężko, nie słuchając zupełnie steru. Zredukował szybkość do zera i pojazd, pozbawiony wszelkiej siły napędowej, zaczął powoli opadać na dno.

Franklin leżał nieruchomo na grzbiecie swego krnąbrnego wierzchowca, próbując analizować sytuację. Był nie tyle przestraszony, co zły, że nie może dokończyć ćwiczenia. Wzywanie Dona nie miało sensu, gdyż był on zbyt daleko — ich małe radiostacje miały pod wodą zasięg nie przekraczający kilkuset jardów. Co robić?

Jego umysł błyskawicznie rozpatrzył kilka możliwych wariantów działania i większość z nich od razu odrzucił. Nie mógł zreperować torpedy, gdyż wszystkie mechanizmy były zapieczętowane, a poza tym i tak nie miał narzędzi. Ponieważ nie działały oba stery — kierunkowy i głębokościowy — awaria musiała być poważna i Franklin nie mógł stwierdzić, jakie jeszcze mechanizmy uległy uszkodzeniu. Był teraz na głębokości około pięćdziesięciu stóp i opadał ze wzrastającą szybkością. Widział już płaskie, piaszczyste dno i przez moment musiał walczyć z automatycznym odruchem, aby nacisnąć guzik opróżniający komory balastowe, i wypłynąć na powierzchnię. Była to najgłupsza rzecz, jaką mógł zrobić, chociaż dążenie do słońca i powietrza było naturalne, kiedy pod wodą zdarzały się jakieś kłopoty. Jednak na dnie miał czas, aby się zastanowić nad dalszym działaniem, zaś na powierzchni prąd mógł go zanieść o wiele mil od celu. Wprawdzie będąc na powierzchni mógł nawiązać kontakt radiowy ze stacją, ale Franklin chciał sam dać sobie radę bez żadnej pomocy z zewnątrz.

Torpeda opadła na dno wznosząc chmurę piasku, która wkrótce została uniesiona lekkim prądem. Nie wiadomo skąd, pojawił się mały strzępiel, przypatrując się intruzowi swoimi wytrzeszczonymi oczami. Franklin nie miał czasu zajmować się gapiami. Ostrożnie ześliznął się ze swego pojazdu i przesunął się w stronę. sterów. Bez płetw miał poważnie ograniczoną ruchliwość pod wodą, ale na szczęście torpeda miała wystarczającą liczbę uchwytów, aby poruszać się wokół niej bez trudu.

Tak jak się obawiał — choć nie potrafił tego wyjaśnić — oba stery zawisły bezwładnie. Poruszane ręką nie stawiały żadnego oporu. Zastanawiał się, czy nie da się dołączyć do nich linek i sterować torpedą ręcznie. Miał w kieszonce kawałek linki nylonowej i nóż, ale nie widział sposobu przywiązania linki do gładkich, opływowych łopatek sterów.

Wyglądało na to, że będzie musiał iść do domu piechotą. Nie powinno to być zbyt trudne — mógł puścić motor na małych obrotach i pozwolić, aby torpeda ciągnęła go po dnie, kierowana po prostu siłą mięśni. Będzie to wprawdzie prymitywne rozwiązanie, ale teoretycznie chyba możliwe. Poza tym nie potrafił wymyślić nic lepszego.

Spojrzał na zegarek; upłynęło zaledwie kilka minut od czasu, kiedy powinien skręcić, czyli miał nie więcej niż minutę. Don nie ma na razie powodu do niepokoju, ale za kilka minut zacznie szukać swego zbłąkanego ucznia. Może najlepiej będzie zostać na miejscu i zaczekać na Dona, który prędzej czy później powinien się zjawić…

W tym momencie w umyśle Franklina zrodziło się podejrzenie, które prawie natychmiast ustąpiło miejsc pewności. Przypomniał sobie zasłyszane strzępki rozmów i to, że zachowanie Dona przed dzisiejszą wycieczką było… nieco podejrzane, jakby szykował w tajemnicy jakiś kawał.

To musiało być właśnie to. Torpeda została uszkodzona rozmyślnie. Najprawdopodobniej Don krążył teraz gdzieś na granicy widzialności, czekając na to, co on zrobi, i gotów pośpieszyć z pomocą, gdyby w grę wchodziło niebezpieczeństwo. Franklin rozejrzał się szybko dookoła, żeby zobaczyć, czy nie czai się gdzieś w mroku druga torpeda, i bez zdziwienia przekonał się, że nie ma po niej ani śladu. Burley jest za sprytny, żeby dać się tak łatwo złapać. To zmienia sytuacje całkowicie, pomyślał Franklin. Teraz musi nie tylko wyplątać się z kłopotów, ale także w miarę możliwości odegrać się na Donie.

Franklin wrócił na swoje miejsce i zapuścił silnik. Lekki nacisk na dźwignię gazu i torpeda zakołysała się niecierpliwie, wznosząc z dna chmurą piasku. Kilka prób wykazało, że można w ten sposób popychać pojazd po dnie, chociaż trzeba było stale regulować środek ciężkości, żeby torpeda ani nie zakopywała się dziobem, ani nie

zadzierała go do góry. Franklin pomyślał sobie, że będzie to długa droga do domu, ale skoro nie ma innego wyjścia…

Zrobił tak zaledwie kilkanaście kroków w asyście gromady zadziwionych ryb, kiedy nagle zaświtał mu nowy pomysł. Wydawało się to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, ale co szkodzi spróbować. Franklin położył się na torpedzie w normalnej pozycji, przesuwając się nieco w tył i w przód, aż wyregulował środek ciężkości. Następnie skierował dziób nieco ku górze, włączył jedną czwartą mocy silnika i rozłożył ręce.

Wymagało to ciągłego napięcia mięśni i błyskawicznych reakcji, aby kontrolować ciągłe skoki torpedy. Przeprowadziwszy kilka prób stwierdził, że można sterować za pomocą rąk, chociaż to równie trudne jak jazda na rowerze „bez trzymanki". Przy szybkości pięciu węzłów powierzchnia dłoni wystarczała do kontrolowania ruchów pojazdu.

Franklin był zadowolony z siebie i zastanawiał się, czy ktoś już przed nim jeździł w ten sposób na torpedzie. Dla próby zwiększył szybkość do ośmiu węzłów, ale dłonie i przedramiona nie wytrzymywały nacisku wody i musiał z powrotem zmniejszyć szybkość, zanim nie stracił panowania nad pojazdem.

Właściwie nie ma powodu, pomyślał, żeby; nie zjawić się w umówionym punkcie, na wypadek, gdyby Don czekał tam na niego. Spóźni się o parę minut, ale przynajmniej udowodni, że potrafi wykonać zadanie pomimo trudności, które — jak się domyślał — raczej nie były dziełem przypadku.

Kiedy stwierdził, że Dona nie ma w umówionym miejscu, domyślił się, co się stało. Jego nieoczekiwana ruchliwość musiała zaskoczyć Burleya, który stracił go z oczu w podwodnym mroku. Może go teraz szukać! Franklin dla zasady wysłał sygnał radiowy, ale nie usłyszał w odpowiedzi głosu instruktora. „Wracam do domu!" krzyknął. Don musiał być gdzieś dalej niż o ćwierć mili i zapewne z coraz większym niepokojem szukał swego zbłąkanego ucznia.

Nie miało sensu komplikować sobie nawigacji i pozostawać dłużej pod wodą. Franklin skierował swój pojazd ku powierzchni i stwierdził, że znajduje się o niecałe tysiąc jardów od przystani. Obciążając tył torpedy i utrzymując dziób nad powierzchnią pomknął niczym ślizgacz i po pięciu minutach był na miejscu.

Gdy tylko torpeda przeszła kąpiel antykorozyjną, obowiązkową dla wszelkiego sprzętu używanego w słonej wodzie morskiej, Franklin zabrał się do niej. Kiedy zdjął płytę zamykającą dostęp do korony sterowania, przekonał się, że był to szczególny egzemplarz. Bez schematu przełączeń trudno było zorientować się we wszystkich funkcjach zdalnie sterowanego urządzenia przekaźnikowego, ale niewątpliwie miało ono ciekawy repertuar możliwości. Mogło na

przykład wyłączać silnik, opróżniać lub napełniać zbiorniki balastowe oraz blokować ster kierunkowy i głębokościowy. Franklin podejrzewał, że kompas i głębokościomierz również mogły być wyłączane w miarę potrzeby. Ktoś wyraźnie nie żałował czasu i starań, aby zrobić z tej torpedy prawdziwą pułapkę dla zbyt pewnych siebie uczniów…

Przykręcił płytę z powrotem i zameldował swój powrót oficerowi dyżurnemu.

— Widzialność bardzo słaba — powiedział zgodnie z prawdą. — Straciłem kontakt z Donem i pomyślałem, że najlepiej będzie tu wrócić. Myślę, że Don też zgłosi się niedługo.

W mesie zapanowało niemałe zdziwienie, kiedy Franklin zjawił się bez swego instruktora, spokojnie usiadł w kącie i zabrał się do czytania gazety. W czterdzieści minut później wielkie trzaśniecie drzwiami obwieściło przybycie Dona. Na obliczu inspektora odmalowała się zarazem ulga i zakłopotanie, kiedy rozejrzał się po sali i dostrzegł swego ucznia, który w odpowiedzi posłał mu najniewinniejsze spojrzenie i spytał:

— Dlaczego tak późno?

Burley odwrócił się do swoich kolegów i wyciągnął rękę.

— Płacić, chłopcy! — zarządził.

Dużo czasu zajęło mu dojście do tego wniosku, ale teraz już wiedział, że zaczyna lubić Franklina.

V

Indra pomyślała sobie, że dwaj mężczyźni, oparci o poręcz nad głównym basenem akwarium, nie wyglądają na uczonych, tak często odwiedzających ich ośrodek. Dopiero kiedy podeszła bliżej i mogła im się lepiej przyjrzeć, uświadomiła sobie, kto to jest. Ten wielki to starszy inspektor Burley, więc ten drugi musi być jego tajemniczym uczniem, przechodzącym intensywne szkolenie indywidualne. Słyszała kiedyś jego nazwisko, ale wyleciało jej z pamięci, gdyż nie miała nic wspólnego ze sprawami szkolenia specjalistów. Jako pracownik naukowy spoglądała z pewną wyższością na czysto praktyczną działalność Sekcji Wielorybów — chociaż gdyby ją ktoś wprost oskarżył o taki intelektualny snobizm, na pewno zaprotestowałaby z oburzeniem.

Była już zupełnie blisko, kiedy zdała sobie sprawę, że już spotkała tego niższego, Franklin przyglądał się jej z pewnym zakłopotaniem, jakby chciał sobie przypomnieć, skąd ją zna.

— Cześć! — powiedziała podchodząc do nich. — Pamiętasz mnie? Jestem tą dziewczyną, która kolekcjonuje rekiny.

Franklin uśmiechnął się i powiedział:

— Oczywiście, że pamiętam: do dzisiaj robi mi się niedobrze. Mam nadzieję, że znalazłaś mnóstwo witamin.

Mimo to wyraz zakłopotania — charakterystyczny dla ludzi, którzy na próżno szukają czegoś w pamięci — nie znikał z jego twarzy. Sprawiał przez to wrażenie zagubionego i zmartwionego, i Indra poczuła przypływ sympatii, który ją zaniepokoił. Podczas pobytu na wyspie kilkakrotnie udało jej się bez wysiłku obronić przed zaangażowaniem uczuciowym i teraz też powtórzyła sobie w myśli swoje twarde postanowienie: „Najpierw magisterium…”

— Widzę, że się znacie — powiedział Don z zazdrością. — Mógłbyś mnie przedstawić.

Indra uznała, że Dona nie trzeba się obawiać. Ten zacząłby z nią flirtować od razu, jak przystało na prawdziwego „kowboja”. Nie miała zresztą nic przeciwko temu: mimo że takie blond-bestie nie były w jej typie, uczucie, że jest się ośrodkiem zainteresowania, zawsze sprawia przyjemność. Poza tym wiedziała, że tu nie ma ryzyka poważniejszego zaangażowania. Z Franklinem natomiast czuła się znacznie mniej pewnie.

Rozmawiali tak we trójkę, przekomarzając się i obserwując jednocześnie wielkie ryby i delfiny, krążące powoli w owalnym basenie. Główne akwarium ośrodka było właściwie sztuczną laguną, w której przypływ morza dwukrotnie w ciągu dnia wymieniał wodę przy niewielkiej tylko pomocy stacji pomp. Basen podzielony był siatką

drucianą na szereg przegród, z których spoglądały na siebie złowrogo okazy nie nadające się do wspólnego pomieszczenia; mały rekin lamparci z nieodłączną podnawką przyklejoną do grzbietu patrolował swoją podwodną klatkę nie odrywając wzroku od apetycznego pompano paradującego po drugiej stronie siatki. Jednak w niektórych przegrodach mieszkali zaskakujący współlokatorzy. Jaskrawe langusty, wyglądające jak spryskane farbą ogromne krewetki, pełzały zaledwie o kilka cali przed nieustannie rozwartą paszczą wielkiej, odrażającej mureny. Stadko palczaków, jak sardynki, które uciekły z puszki, przepływało tuż przed nosem ćwierćtonowego strzępiela, mogącego połknąć je wszystkie za jednym zamachem.

Była to mała oaza spokoju, jakże różna od pola bitwy na rafie. Wystarczyłoby jednak, aby obsługa laboratorium zapomniała w odpowiednim czasie nakarmić to bractwo, a harmonia prysłaby i w ciągu kilku godzin liczba mieszkańców akwarium uległaby gwałtownemu zmniejszeniu.

Najwięcej mówił Don; wyglądało, jakby zapomniał zupełnie, że przyprowadził tu Franklina dla obejrzenia filmów o wielorybach. Wyraźnie starał się zrobić wrażenie na dziewczynie i nie zdawał sobie sprawy z tego, że ona przejrzała go na wylot. Franklin natomiast orientował się doskonale w sytuacji i widać było, że go to bawi. W pewnej chwili, kiedy Don perorował na temat pełnego trudów życia szeregowego „kowboja oceanu", Indra i Franklin wymienili porozumiewawcze uśmiechy ludzi, których łączy wspólna mała tajemnica. W tym momencie Indra uznała, że ostatecznie praca magisterska nie jest najważniejszą rzeczą pod słońcem. Wciąż pamiętała, żeby nie dać się wciągnąć, ale czuła, że musi poznać bliżej Franklina. Jak ma na imię? Walter? Nie było to jej ulubione imię, ale ostatecznie może być.

Don, święcie przekonany, że podbija kolejne serce niewieście, nie zdawał sobie zupełnie sprawy z głębokich nurtów uczuciowych kłębiących się wokół niego, lecz omijających go całkowicie. Kiedy nagle zorientował się, że są już o dwadzieścia minut spóźnieni na umówioną godzinę w sali projekcyjnej, zwalił winę na Franklina, który przyjął wymówkę dobrodusznie i jakby z roztargnieniem. Przez całe przedpołudnie był myślami daleko, ale Don niczego nie zauważył.

Pierwszy etap nauki został praktycznie rzecz biorąc zakończony; Franklin opanował podstawowe elementy zawodu inspektora i brakowało mu jedynie doświadczenia, jakie może dać tylko długotrwała praktyka. Prawie pod każdym względem przeszedł oczekiwania Dona, częściowo na skutek dobrego przygotowania ogólnego, częściowo zaś na skutek wrodzonej inteligencji. Było w nim jeszcze coś ponadto: jakaś siła i zdecydowanie, czasami aż budzące lęk. Mogło się wydawać, że pomyślne ukończenie tego kursu było dla

niego sprawą życia lub śmierci. Wprawdzie zaczął nie najlepiej; przez kilka pierwszych dni był apatyczny i jak się wydawało, zupełnie nie zainteresowany zdobywaniem nowego zawodu. Później jednak ożywił się ulegając urokom i romantyce oraz nieograniczonym możliwościom żywiołu, który chciał sobie podporządkować. Mimo że Don nie był skory do takich poetycznych porównań, myślał nieraz o Franklinie jak o człowieku budzącym się z długiego i męczącego snu.

Prawdziwym egzaminem było pierwsze zejście pod wodę z torpedami. Franklin może już nigdy nie korzystać z torpedy — chyba że dla zabawy; są to jednostki bliskiego zasięgu i stosowane wyłącznie na wodach płytkich. Jako inspektor będzie pracował w przytulnej i suchej kabinie łodzi podwodnej. Ale jeśli człowiek nie czuje się swobodnie i pewnie — oczywiście nie nazbyt pewnie — kiedy jest bezpośrednio zanurzony w wodzie — to nie będzie z niego żadnego pożytku w tej pracy, niezależnie od wszystkich innych jego umiejętności.

Franklin przeszedł również z wynikiem zadowalającym próby na dekompresję oraz na zwiększoną dozę azotu i dwutlenku węgla. Burley umieścił go w „komorze tortur", gdzie lekarze stopniowo zwiększali ciśnienie, pozorując zanurzenie. Zachowywał się całkowicie normalnie aż do głębokości stu pięćdziesięciu stóp; potem jego reakcje uległy zwolnieniu i nie potrafił rozwiązać prostych zadań na dodawanie. Przy trzystu stopach zachowywał się jak lekko pijany i zaczął opowiadać kawały, z których sam zaśmiewał się do łez, a które wcale nie śmieszyły tych, co byli na zewnątrz — ku jego zawstydzeniu, kiedy pozwolono mu później przesłuchać taśmę. Na głębokości trzystu pięćdziesięciu stóp był jeszcze przytomny, ale nie reagował na głos Dona, nawet kiedy ten zaczął mu wymyślać najgorszymi słowami. Na czterystu stopach stracił przytomność do reszty i stopniowo doprowadzono ciśnienie do normalnego.

Mimo że nie będzie miał okazji ich używać, wypróbowano również jego reakcję na specjalne mieszanki do oddychania, które umożliwiają człowiekowi zachowanie świadomości i zdolności do pracy na dużo większych głębokościach. W rzeczywistości, kiedy będzie zanurzał się w głębiny, nie będzie używać akwalungów, ale będzie siedział wygodnie w swojej łodzi podwodnej, oddychając normalnym powietrzem pod normalnym ciśnieniem. Jednak inspektor musi być majstrem do wszystkiego w sprawach podwodnych, gdyż nigdy nie wiadomo, jaki sprzęt może mu być potrzebny w razie awarii.

Burley nie obawiał się już — jak to było na początku — myśli, że będzie musiał siedzieć w dwuosobowej ćwiczebnej łodzi podwodnej z Franklinem. Mimo powściągliwości Franklina i aury tajemniczości, jaka go nadal otaczała, byli teraz kolegami i rozumieli się wzajemnie

w pracy. Nie zostali jeszcze przyjaciółmi, ale osiągnęli stadium, które można określić jako wzajemna tolerancja i szacunek.

Podczas pierwszego rejsu łodzią podwodną krążyli po płytkich wodach między Wielką Rafą Koralową a lądem, gdzie Franklin zapoznawał się ze sterowaniem i przede wszystkim z przyrządami nawigacyjnymi. Don mówił, że kto potrafi prowadzić łódź tutaj, w labiryncie raf i wysepek, ten potrafi prowadzić ją wszędzie. Jeśli nie liczyć szarży na Wyspę Bocianiego Gniazda z szybkością sześćdziesięciu węzłów, to Franklin dawał sobie radę zupełnie nieźle. Jego palce zaczęły się poruszać po skomplikowanym pulpicie sterowniczym z ostrożną precyzją, która — jak wiedział Don — wkrótce przerodzi się w automatyzm. Obserwacja wielkiej liczby zegarów i ekranów stanie się czymś podświadomym, tak że nie będzie sobie nawet zdawał sprawy, że je widzi — dopóki coś nie zwróci jego uwagi.

Don stawiał przed Franklinem coraz bardziej skomplikowane zadania. Musiał na przykład odbywać skomplikowane rejsy wyłącznie na wyczucie i dopiero na końcu określał swoją pozycję za pomocą hydrolokatora, aby sprawdzić, czy znajdują się we właściwym miejscu. Dopiero kiedy Don uzyskał całkowitą pewność, że jego uczeń opanował prowadzenie łodzi, wyruszyli na głębokie wody, poza granicę szelfu kontynentalnego.

Kierowanie łodzią patrolową to był tylko początek; teraz trzeba się było uczyć widzieć i czuć za pomocą jej organów zmysłowych oraz wyciągać odpowiednie wnioski z informacji dostarczanych przez liczne instrumenty, nieustannie badające podwodny świat. Najważniejszym chyba zmysłem był ultradźwiękowy hydrolokator. W całkowitych ciemnościach lub w mętnej wodzie potrafił wykryć z wielką dokładnością przeszkody w zasięgu do dziesięciu mil. Mógł z równą łatwością pokazać zarys dna oceanu, jak i każdą rybę, począwszy od dwóch-trzech stóp długości, która pojawiła się w promieniu pół mili. Wieloryby i inne wielkie zwierzęta morskie były wykrywane w całym zasięgu hydrolokatora z bezbłędną dokładnością.

Wzrok odgrywał tu znacznie mniejszą rolę. Czasami — na pełnym oceanie, z dala od nieprzerwanego deszczu cząsteczek spłukiwanych z lądu — widoczność sięgała dwustu stóp — ale były to rzadkie przypadki. W płytkich wodach przybrzeżnych oko kamery telewizyjnej rzadko sięgało dalej niż na pięćdziesiąt stóp, ale za to dawało obraz bardziej szczegółowy niż wszystkie inne organy zmysłowe łodzi podwodnej.

A przecież łódź musiała nie tylko widzieć i czuć, musiała także działać. Franklin miał do opanowania cały arsenał narzędzi i broni, takich jak świdry do pobierania próbek z dna morskiego, przyrządy pomiarowe do kontrolowania zagród, różne próbniki, przyrządy do

bezbolesnego cechowania wielorybów, sondy elektryczne służące do odstraszania zbyt natrętnych mieszkańców głębin oraz niezwykle rzadko używane małe torpedy i pociski paraliżujące, które w ciągu kilku sekund mogły powalić największe z morskich bestii.

W codziennych wyprawach w głąb Pacyfiku Franklin uczył się posługiwać tymi nowymi dla siebie narzędziami. Czasami przepływali przez barierę i wtedy Franklin miał uczucie, że jej nieustanny, wysoki pisk przenika go do szpiku kości. Bariera rozciągała się już wokół połowy kuli ziemskiej i jej głęboko zanurzone generatory wysyłały ku powierzchni wiązki ultradźwięków.

Czy w poprzednich stuleciach ktoś mógł sobie coś podobnego wyobrazić? — myślał Franklin. Pod pewnymi względami było to może największe i najśmielsze ze wszystkich przedsięwzięć człowieka. Morze, dla którego od zarania wieków człowiek był igraszką, zostało wreszcie ujarzmione. Nawet podbój kosmosu nie potrafił zaćmić tego zwycięstwa.

A jednak nigdy nie mogło stać się ono zwycięstwem ostatecznym. Morze czekało i co roku żądało ofiar. Podczas wizyty w Kwaterze Głównej Franklin zauważył mimochodem tablicę pamiątkową. Było tam już wiele nazwisk i było miejsce na wiele nowych.

Stopniowo Franklin zaczął dochodzić do porozumienia z morzem. Mimo że miał niewiele czasu na lektury inne niż ściśle fachowe, pogrążył się w „Moby Dicku", zwanym pół żartem, pół serio biblią Sekcji Wielorybów. Wiele z tego wydawało mu się nudne i tak dalekie od jego świata, że nie wywoływało w nim żadnego oddźwięku. Jednak miejscami archaiczna, dźwięczna proza Melville'a potrącała jakąś strunę w jego sercu i pozwalała mu lepiej zrozumieć ocean, który on także musi się nauczyć kochać i nienawidzić.

Don Burley — ten nie przejmował się „Moby Dickiem" i często pokpiwał z tych, którzy go cytowali.

— Moglibyśmy nauczyć Melville'a paru rzeczy — powiedział kiedyś protekcjonalnym tonem.

— To prawda — odpowiedział mu Franklin — ale czy potrafiłbyś wbić harpun w grzbiet kaszalota z otwartej łodzi?

Don nic nie odpowiedział. Był na tyle uczciwy, by przyznać, że nie potrafił na to odpowiedzieć.

Był za to coraz bliższy znalezienia odpowiedzi na inne pytanie. Obserwując, jak Franklin opanowuje nowe umiejętności z szybkością, która zapewni mu stopień starszego inspektora nie dalej niż za cztery-pięć lat, Don nie miał wątpliwości co do poprzedniego zawodu swego ucznia. Jeśli Franklin chciał to utrzymać w tajemnicy — cóż, była to jego sprawa. Don czuł się nieco urażony takim brakiem zaufania, ale pocieszał się, że wcześniej czy później Franklin mu się zwierzy.

Jednak to nie Don pierwszy dowiedział się prawdy. Przez czysty

przypadek osobą tą stała się Indra.

VI

Spotykali się teraz przynajmniej raz dziennie w mesie, ale Franklin nie uczynił jeszcze nieodwołalnego, prawie bezprecedensowego kroku i nie przesiadł się do stołu, przy którym jadali pracownicy naukowi. Równałoby się to płomiennym oświadczynom i wywołałoby falę plotek jak wyspa długa i szeroka, chociaż byłyby to plotki nie usprawiedliwione. Jeśli chodzi o Indrę i Franklina, to nadużywane określenie „jesteśmy po prostu przyjaciółmi" najzupełniej odpowiadało prawdzie.

Jednak prawdą było także, że ich wzajemna sympatia stale się pogłębiała i że zauważyli to prawie wszyscy z wyjątkiem Dona. Indra kilkakrotnie słyszała od swoich kolegów, że pod jej wpływem „topnieje góra lodowa", i czuła się tym pochlebiona. Nieliczni, którzy byli z Franklinem na bardziej zażyłej stopie, ostrzegali go żartobliwie przed Donem, przypominając mu, że starsi inspektorzy muszą podtrzymywać swoją reputację pożeraczy serc. Franklin odpowiadał nieco wymuszonym uśmiechem, ukrywającym uczucia, których sam nie chciał do końca analizować.

Samotność, chęć ucieczki od wspomnień, klapa bezpieczeństwa chroniącego przed atmosferą napięcia, w jakiej pracował — wszystkie te czynniki były co najmniej równie ważne, jak normalne uczucia mężczyzny do interesującej dziewczyny. Nie wiedział, czy ta sympatia przerodzi się w coś poważniejszego, i nie był wcale pewien, czy tego pragnie.

Podobnie było z Indra, chociaż jej dawne postanowienie zaczęło słabnąć. Czasami pozwalała sobie nawet na marzenia, w których jej kariera zawodowa nie grała wcale najważniejszej roli. Kiedyś oczywiście wyjdzie za mąż i jej wybrany będzie bardzo podobny do Franklina. Jednak nadal jeszcze broniła się przed myślą, że może to być właśnie on.

Romantyczne spotkania na wyspie utrudniał fakt, że było tu zbyt wiele ludzi na zbyt małej przestrzeni. Nawet pozostawione fragmenty dziewiczego lasu nie zapewniały odosobnienia. Wieczorem, kiedy się wędrowało ścieżkami, oświetlając sobie drogę w obawie przed sterczącymi gałęziami, trzeba było niezwykle taktownie posługiwać się latarką. Zazwyczaj okazywało się przy tym, że najlepsze zakątki były już zajęte, co było przyczyną wielkiego rozczarowania wobec braku innych możliwości.

Spryciarze ze stacji badawczej mieli jednak swoje sposoby. Wszystkie nawodne i podwodne jednostki pływające należały do administracji, chociaż udostępniono je pracownikom naukowym do celów służbowych. Jednak na skutek jakiegoś ginącego w pomroce

dziejów niedopatrzenia laboratorium rozporządzało własną prywatną flotą, składającą się z barkasa i dwóch katamaranów. Nikt nie wiedział na pewno, czyją stanowiły własność, ale można było zauważyć, że zawsze, kiedy przyjeżdżała komisja inwentaryzacyjna, wychodziły w morze.

Małe katamarany oddawały duże usługi naukowcom, gdyż ich zanurzenie nie przekraczało sześciu cali i mogły bezpiecznie działać na terenie raf. Przy pełnym wietrze osiągały z łatwością szybkość do dwudziestu węzłów i często urządzano między nimi wyścigi. A kiedy nie były wykorzystywane do pracy, uczeni wyprawiali się nimi na pobliskie rafy i wysepki, aby popisać się swoimi umiejętnościami żeglarskimi przed zaprzyjaźnionymi osobami — z reguły płci odmiennej.

Było nawet nieco dziwne, że łajby zawsze wracały z tych wypraw wraz z załogą, bez szwanku, jeśli nie liczyć strat moralnych; pewien starszy inspektor, rzeczywiście nie pierwszej już młodości, nie mógł po takiej wycieczce zejść z łodzi o własnych siłach i zarzekał się, że już nigdy więcej nie da się namówić na pływanie po powierzchni morza.

Kiedy Indra zaproponowała Franklinowi wycieczkę na Wyspę Bocianiego Gniazda, zgodził się bez wahania. Zaraz jednak spytał ostrożnie, kto będzie kierował łodzią.

Indra zrobiła urażoną minę.

— Oczywiście ja — powiedziała. — Robiłam to dziesiątki razy. — Sprawiała wrażenie, jakby czekała, aż ktoś spróbuje podać w wątpliwość jej umiejętności, ale Franklin wiedział, że nie należy tego robić. Indra, jak miał okazję stwierdzić, była bardzo zrównoważoną dziewczyną, może nawet zbyt zrównoważoną. Jeśli powiedziała, że coś potrafi, to znaczyło, że potrafi.

Należało ustalić jeszcze jedno. Łódka zabierała cztery osoby; kim będzie pozostała dwójka?

Trudno powiedzieć, czy decyzja w tej sprawie wyszła od Indry, czy od Franklina. Wisiała ona niejako w powietrzu, kiedy rozważali różne kandydatury, zaczynając od Dona i dokonując przeglądu koleżanek Indry z laboratorium. W pewnej chwili umilkli oboje i zapanowała na chwilę znamienna cisza, jak to się czasem zdarza w pokoju pełnym rozgadanych ludzi.

W tej nagłej ciszy każde z nich uświadomiło sobie, że myślą o tym samym i że rodzi się pomiędzy nimi coś nowego. Nie zabiorą nikogo na Bocianie Gniazdo; po raz pierwszy będą tylko we dwoje — rzecz niemożliwa na wyspie. Prowadziło to do jedynego logicznego wniosku, którego nie chcieli uznać nawet wobec samych siebie, gdyż umysł ludzki ma nieograniczoną zdolność do oszukiwania się.

Było już dobrze po południu, kiedy wreszcie udało im się wymknąć. Franklin miał wyrzuty sumienia w stosunku do Dona i

zastanawiał się, jaka będzie jego reakcja, kiedy dowie się o ich wycieczce. Na pewno poczuje się dotknięty, ale na szczęście nie należy do ludzi, którzy długo żywią urazę, i przyjmie to, jak przystało mężczyźnie.

Indra pomyślała o wszystkim. Jedzenie, napoje, krem do opalania, ręczniki — nie przeoczyła niczego, co może się przydać na takiej wyprawie. Franklin był pełen podziwu dla jej przezorności i przyłapał się na myśli, że byłoby dobrze mieć taką gospodarną kobietę w do mu. Zaraz jednak odegnał tę myśl, powtarzając sobie, że zbyt energiczne kobiety rzadko bywają szczęśliwe, chyba że mogą kierować nie tylko swoim życiem, lecz i życiem męża.

Wiał silny wiatr od lądu i łódka skakała po falach jak żywa. Franklin nigdy jeszcze nie pływał na żaglówce i był zachwycony. Odchylił się na wytarte, ale wygodne oparcie, patrząc, jak Wyspa Czapli oddala się z zaskakującą szybkością. Widok podwójnego, pienistego śladu, znaczącego ich trasę, i napiętej, wypełnionej energią krzywizny żagla działał uspokajająco. Franklin nie bez żalu pomyślał sobie, jakby to było dobrze, gdyby wszystkie stworzone przez człowieka maszyny mogły być tak proste i wydajne. Cóż za kontrast pomiędzy tą łódką a nagromadzeniem skomplikowanych mechanizmów w łodzi podwodnej, którą się teraz uczy kierować! Smutek trwał krótko; trzeba pogodzić się z myślą, że są zadania, których nie można rozwiązać za pomocą prostych środków.

Z lewej burty mieli teraz długi rząd zaokrąglonych koralowych głazów, wyrzuconych przez sztormy na skraj Rafy Wistari. Fale rozbijały się tutaj o podwodny parapet z nie słabnącą furią, która nigdy nie zrobiła na Franklinie takiego wrażenia jak teraz. Widział je wprawdzie niejednokrotnie, ale nigdy z tak bliska i z tak kruchej Łupiny.

Pasmo spienionej wody wyznaczającej skraj rafy zostało za rufą; teraz musieli po prostu czekać, aż wiatry zaniosą ich do celu. Nawet gdyby wiatr ucichł — na co się nie zanosiło — mogli kontynuować wycieczkę na małym silniczku strugowodnym, do którego uciekano się tylko w ostatecznym wypadku, było bowiem sprawą honoru, aby wracać z nie naruszonym zapasem paliwa.

Mimo że po raz pierwszy byli sam na sam, żadne z nich nie odczuwało potrzeby słów. Zapanowało między nimi milczące porozumienie, którego nie chcieli naruszać słowami, ciesząc się wspólnie spokojem i pięknem otwartego morza. Otaczały ich dwie półkule nieskazitelnego błękitu, spojone ginącym w mglistej oddali horyzontem i reszta świata przestała istnieć. Nawet czas jakby się zatrzymał; Franklin czuł, że mógłby tak leżeć wiecznie, poddając się leniwemu kołysaniu łodzi, która bez wysiłku ślizgała się po falach.

Po chwili wyłoniła się przed nimi niska, ciemna chmura, która po

dalszej chwili okazała się porośniętą drzewami wyspą z wąskim pasmem piaszczystej plaży i nieodłącznym obramowaniem rafy. Indra poruszyła się i zajęła się prowadzeniem łodzi, Franklin zaś z pewnym niepokojem śledził linię fal załamujących się na rafie, która zdawała się otaczać wyspę nieprzerwanym pierścieniem.

— Jak się tam dostaniemy? — spytał.

— Od zawietrznej; fale będą tam mniejsze i chyba przypływ jest na tyle wysoki, że uda nam się przeskoczyć ponad rafą. Jeśli nie, to zarzucimy kotwicę i przejdziemy na wyspę w bród.

Franklin nie był zachwycony tak lekkomyślnym podejściem do sprawy, która wydała mu się wcale poważna, ale nie pozostało mu nic innego, jak wierzyć, że Indra wie, co robi. Jeśli się pomyli, będą musieli przepłynąć kawałek, co nie kryje w sobie specjalnego niebezpieczeństwa, a potem czekać cierpliwie na ratunek, w nadziei, że ktoś z pracowników laboratorium zacznie ich szukać.

Albo było to łatwiejsze, niż wyglądało dla niewprawnego oka, albo Indra rzeczywiście była żeglarzem wysokiej klasy. Popłynęli wokół wyspy do miejsca, gdzie fale nie łamały się tak gwałtownie. Tam Indra skierowała dziób łodzi ku wyspie i popłynęli wprost na brzeg.

Nie było żadnych odgłosów szorowania po koralu i zdzierania plastyku. Katamaran niczym ptak przeleciał nad ostrym grzbietem rafy, wyraźnie widocznym tuż pod spienioną powierzchnią wody. Przeskoczywszy niebezpieczną strefę znaleźli się na spokojnej powierzchni laguny, zbliżając się do plaży ze wzrastającą szybkością. Na kilka sekund przed zderzeniem Indra zrzuciła główny żagiel. Łódź z miękkim odgłosem uderzyła o piasek i osiadła na łagodnie wznoszącym się brzegu, do połowy długości wynurzona z wody.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała Indra. — Bezludna wyspa do wynajęcia.

Franklin jeszcze nigdy nie widział jej w tak pogodnym i swobodnym nastroju; uświadomił sobie, że ona również pracuje w napięciu i cieszy się, że udało jej się wyrwać na kilka godzin z kołowrotu codziennych obowiązków. A może to jego obecność zmieniła poważną studentkę w pełną życia dziewczynę? Niezależnie od przyczyny zmiana przypadła mu do gustu.

Wysiedli z łodzi i przenieśli swoje rzeczy na plażę, w cień kokosowych palm, które sprowadzono na te wyspy dopiero w ubiegłym stuleciu, aby urozmaicić florę, zdominowaną przez pizonie i pandany na szczudłowatych korzeniach. Wyglądało, że ktoś był tu niedawno, gdyż z morza w głąb wyspy prowadziły dziwne ślady, jakby małego pojazdu gąsienicowego. Musiały one stanowić niezłą zagadkę dla kogoś, kto nie wiedział, że wielkie żółwie morskie przypływają tu składać jaja.

Po zabezpieczeniu łódki Indra i Franklin wyruszyli na obchód wyspy. To prawda, że wszystkie wyspy koralowe są do siebie podobne; ten sam wzorzec powtarza się niezmiennie z niewielkimi odmianami. Ale nawet jeśli się o tym wie i lądowało się na dziesiątkach takich wysepek, to każda z nich korci do sprawdzenia, czy i tu jest tak samo.

Rozpoczęli podróż dookoła swojego małego światka, idąc wzdłuż wąskiego pasma plaży pomiędzy morzem a lasem. Od czasu do czasu robili krótkie wypady w głąb wyspy, specjalnie usiłując zabłądzić w gęstwinie, tak aby móc udawać, że są gdzieś w sercu Afryki, a nie co najwyżej o sto jardów od morza.

Raz zaczęli odgarniać dłońmi piasek na wydmie w miejscu, gdzie kończyły się ślady jednego z żółwi. Zrezygnowali, kiedy wygrzebali dołek głęboki na dwie stopy i nie znaleźli ani śladu miękkich, skórzastych jaj. Z poważnymi minami stwierdzili, że widocznie żółwica zostawiła fałszywe ślady dla zmylenia przeciwników. Przez następne dziesięć minut rozbudowali tę fantazję w całą teorię na temat inteligencji gadów, za którą Indra na pewno nie dostałaby stopnia naukowego.

Wreszcie nadszedł moment, kiedy ich dłonie, złączone, gdy Franklin pomagał Indrze pokonać odcinek ostrych koralowych skałek, nie rozłączyły się, chociaż dalej droga była już dobra. Szli bez słowa, świadomi swojej bliskości tak jak nigdy dotąd.

Od czasu do czasu zatrzymywali się, kiedy ich uwagę zwróciła jakaś osobliwość świata zwierzęcego lub roślinnego i w ten sposób obejście wysepki zajęło im prawie dwie godziny. Kiedy doszli cło łódki, oboje byli już porządnie głodni, więc Franklin zabrał się skwapliwie do rozpakowywania koszyka z zapasami, Indra zaś rozpaliła kuchenkę.

— Zaraz zaparzę ci herbaty po australijsku — powiedziała.

Franklin uśmiechnął się tym swoim krzywym, zagadkowym uśmiechem, który tak lubiła.

— Nie będzie to dla mnie taka znów nowość — powiedział. — Ostatecznie urodziłem się tutaj.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, które stopniowo przekształciło się w pretensję.

— No wiesz, mogłeś mi powiedzieć! Prawdę mówiąc, myślą, że… — urwała, jakby nagle zmusiła się do milczenia, i nie dokończone zdanie zawisło w powietrzu. Chciała powiedzieć, że już najwyższy czas, aby opowiedział jej coś o sobie i skończył z tą dziecinną skrytością.. To nie wypowiedziane oskarżenie sprawiło, że zaczerwienił się i przez chwilę czuł, że opuszcza go beztroski nastrój, jakiego zaznał po raz pierwszy od wielu miesięcy. Potem nagle uderzyła go myśl, która nigdy dotychczas nie przyszła mu do głowy,

myśl, stanowiąca zagrożenie ich przyjaźni. Indra była kobietą i uczoną, powinna więc być podwójnie ciekawa. Jak to się stało, że nigdy nie spytała go o przeszłość? Mogło być tylko jedno wyjaśnienie. Doktor Myers, który miał nad nim dyskretny nadzór, musiał się przed nią wygadać.

Jego nastrój pogorszył się jeszcze, kiedy uświadomił sobie, że Indra czuła pewnie dla niego litość i podobnie jak wszyscy zastanawiała się, co mu się właściwie przydarzyło. Z goryczą pomyślał, że miłość oparta na litości jest dla niego nie do przyjęcia.

Indra zdawała się nie zauważać tego nagłego ponurego zamyślenia i rozterki, w jakiej znalazł się Franklin. Była całkowicie pochłonięta napełnianiem kuchenki w sposób nieco prymitywny polegający na ściąganiu paliwa rurką z baku silnika na łodzi i Franklina tak ubawiły jej kolejne niepowodzenia, że zapomniał o swoich ponurych myślach. Kiedy wreszcie Indra rozpaliła kuchenkę, wyciągnęli się w cieniu palmy i jedli kanapki, czekając, aż zagotuje się woda. Słońce zniżało się już ku zachodowi i Franklin uświadomił sobie, że prawdopodobnie nie uda im się wrócić przed zapadnięciem zmroku. Na szczęście noc nie będzie ciemna, gdyż księżyc zbliżał się do pełni i powrót na Wyspę Czapli nawet bez pomocy latarni morskiej nie powinien im sprawić trudności.

Zaparzona w czajniku herbata była znakomita, choć niewątpliwie stare wygi z australijskich szlaków uznałyby ją za zbyt anemiczną. Kiedy odpoczywali po posiłku, ich dłonie znowu podążyły ku sobie. Franklin pomyślał, że teraz powinien być zupełnie szczęśliwy, a jednak trapiło go coś, czego sam nie potrafił nazwać.

Próbował ignorować i zepchnąć na dno podświadomości niepokój, który w nim narastał od kilku minut. Wiedział, że to śmieszne i zupełnie nie uzasadnione obawiać się czegoś na tej bezludnej i spokojnej wyspie, ale gdzieś głęboko w labiryncie jego mózgu odzywały się dzwonki alarmowe, których znaczenia nie potrafił zrozumieć.

Był wdzięczny Indrze, że wyrwała go z zamyślenia. Wpatrując się w niebo na zachodzie, jakby czegoś tam szukała, spytała:

— Czy to prawda, że jeśli wie się, gdzie jej szukać, to można zobaczyć Wenus w dzień? Wczoraj po zachodzie świeciła tak jasno, że można było w to prawie uwierzyć.

— To prawda — odpowiedział Franklin. — Nie jest to nawet takie trudne. Cały problem polega na tym, żeby wiedzieć, gdzie się teraz powinna znajdować, potem można już ją bez trudu wypatrzyć.

Franklin oparł się o pień palmy, osłonił oczy przed blaskiem zachodzącego słońca i zaczął przeszukiwać niebo bez większej nadziei na odnalezienie drobnego świecącego punkcika. W ostatnich tygodniach nieraz widział Wenus, królującą na wieczornym niebie, ale

niełatwo było ustalić jej położenie w stosunku do słońca, kiedy oba ciała znajdowały się nad horyzontem.

Nagle zupełnie niespodziewanie dostrzegł pojedynczą srebrną gwiazdkę na tle mleczno-błękitnego nieba.

— Znalazłem! — zawołał wyciągając rękę.

Indra zmrużywszy jedno oko spojrzała we wskazanym kierunku, ale początkowo nic nie widziała.

— Pewnie coś ci wpadło do oka — drażniła go.

— Nie, to nie złudzenie. Przypatrz się dobrze — odpowiedział Franklin, bojąc się choć na chwilę stracić z oczu mikroskopijną gwiazdkę, którą z takim trudem odnalazł.

— Ale Wenus nie może być w tym miejscu — zaprotestowała Indra. — To za daleko na północ.

Franklin natychmiast zrozumiał, że Indra ma rację. Gdyby miał jakiekolwiek wątpliwości, to mógł się teraz przekonać, że gwiazda, na którą patrzył, przesuwa się szybko po niebie w kierunku na wschód, zaprzeczając w ten sposób prawom rządzącym pozostałymi ciałami niebieskimi.

To, na co patrzył, było stacją kosmiczną, największym ze sztucznych satelitów Ziemi, krążącym po swojej orbicie na wysokości tysięcy mil. Próbował oderwać wzrok i wyzwolić się z hipnotycznego uroku tej stworzonej przez człowieka, nie mrugającej gwiazdy. Miał uczucie, że idzie skrajem przepaści; strach przed nieskończoną pustką, w której zawieszone są światy, zaczął przenikać jego umysł, grożąc szaleństwem.

Na pewno opanowałby się, gdyby nie zbieg okoliczności. Z nagłą jasnością, z jaką pamięć czasami odpowiada na uporczywie powtarzane pytanie, zrozumiał, co go tak dręczyło od kilkunastu minut. To zapach paliwa, którym Indra napełniała kuchenkę — charakterystyczny, ostry zapach syntenu. I natychmiast zwaliło się na niego wspomnienie sytuacji, w której po raz ostatni czuł ten aż nazbyt znajomy zapach.

Synten — początkowo używany jako paliwo do rakiet — obecnie wyszedł z użycia, podobnie jak wszystkie paliwa chemiczne, i stosowano go wyłącznie w urządzeniach pomocniczych, na przykład do napędu skafandrów kosmicznych.

Skafandry kosmiczne.

To było już ponad jego siły; atak z dwóch stron złamał jego opór. Wzrok i węch zawiodły go jednocześnie. W ciągu kilku sekund troskliwie zbudowane tamy, które miały chronić jego umysł, zwaliły się pod naporem narastającej fali strachu.

Poczuł, że Ziemia wraz z nim wiruje w przestrzeni kosmicznej. Miał uczucie, że wiruje coraz szybciej na swojej osi, próbując wyrzucić go niczym kamień z procy. Z gardłowym krzykiem przekręcił się na

brzuch, ukrył twarz w piasku i wczepił się rozpaczliwie w szorstki pień palmy. Nic mu to nie pomogło; nadal spadał bez końca… Główny mechanik Franklin, zastępca dowódcy „Arcturusa”, był znowu w kosmosie i przeżywał swój upiorny sen, którego miał nadzieję nigdy już nie oglądać.

VII

Wstrząśnięta i zaskoczona Indra siedziała patrząc bezmyślnie na tarzającego się w piasku i płaczącego jak skrzywdzone dziecko Franklina. Po chwili współczucie i zdrowy rozsądek podpowiedziały jej, co ma robić; rzuciła się do niego i objęła jego wstrząsane płaczem

— Walter! — zawołała. — Nic ci nie jest, nie masz się czego bać!

Kiedy to mówiła, słowa wydały jej się płaskie i głupie, ale były to jedyne słowa, jakie przyszły jej do głowy. Franklin jakby nie słyszał; nadal drżał cały i kurczowo obejmował pień palmy. Przykro było patrzeć na mężczyznę, którego strach doprowadził do takiego stanu, pozbawiając go wszelkiej godności i dumy. Schylając się nad nim Indra usłyszała, że wśród szlochów Franklin wymawia czyjeś imię, i nawet w takiej chwili nią potrafiła opanować ukłucia zazdrości, gdyż było to imię kobiety. Cichym, ledwie słyszalnym szeptem Franklin wymawiał imię „Irena!" i potem znowu wybuchał płaczem.

Było to coś, co przekraczało medyczne umiejętności Indry. Po chwili wahania podbiegła do łodzi i rozpieczętowała znajdującą się tam apteczkę. Była w niej między innymi fiolka silnych proszków uspokajających, z wyraźnym napisem „Nie więcej niż jedną pastylkę". Indra nie bez trudu zmusiła Franklina do przełknięcia proszka, a potem objęła go ramionami, czując, jak drżenie stopniowo ustępuje.

Trudno jest wyznaczyć granicę pomiędzy współczuciem i miłością, ale jeśli taka granica istnieje, to Indra przekroczyła ją podczas tych chwil milczącego czuwania przy Franklinie. To, co się z nim stało, nie wywołało w niej wstrętu; domyślała się, że tylko naprawdę okropne przeżycia mogły go doprowadzić do takiego stanu. Cokolwiek to było, Indra postanowiła, że musi pomóc Franklinowi wyzwolić się z tego.

Franklin uspokoił się zupełnie, nie tracąc przytomności. Nie opierał się, kiedy Indra odwróciła go na wznak, i przestał kurczowo ściskać pień drzewa, ale jego wzrok był pusty, a wargi poruszały się bezdźwięcznie.

— Jedziemy do domu — szepnęła Indra, jakby pocieszała przestraszone dziecko. — Chodź, już jest wszystko dobrze.

Pomogła mu się podnieść — wstał bez sprzeciwu. Potem, poruszając się jak automat, pomógł jej nawet spakować rzeczy i zepchnąć katamaran na wodę. Wyglądał teraz prawie normalnie, tyle że nic nie mówił, a z jego spojrzenia wyzierał rozdzierający serce smutek. Odpłynęli z wyspy pod żaglami i z zapuszczonym silnikiem, gdyż Indra nie chciała tracić ani sekundy. Nawet teraz nie przyszło jej do głowy, że może jej zagrażać jakieś niebezpieczeństwo; z dala od ludzi, sam na sam z kimś, kto może być szaleńcem. Myślała jedynie o

tym, żeby jak najszybciej oddać Franklina w ręce lekarzy.

Szybko zapadał zmrok. Słońce dotknęło już horyzontu i od wschodu następowały ciemności. Kolejno zapalały się latarnie morskie na lądzie i na poszczególnych wysepkach. Zaś na zachodzie jaśniej od nich wszystkich błyszczała Wenus, która nie wiadomo dlaczego stała się przyczyną tego wszystkiego…

Franklin wreszcie przerwał milczenie. Mówił jakby z trudem, ale zupełnie do rzeczy.

— Bardzo cię przepraszam — powiedział. — Obawiam się, że zepsułem ci całą wycieczkę.

— Nie bądź niemądry — odpowiedziała. — To nie twoja wina. Nie przejmuj się niczym i nie mów nic, jeśli nie masz ochoty.

Zamilkł i nie odzywał się już do końca podróży. Kiedy Indra chciała wziąć go za rękę, zesztywniał, dając do zrozumienia, że wolałby uniknąć kontaktu. Poczuła się urażona, ale posłuchała jego nie wypowiedzianego życzenia. Zresztą i tak miała dość roboty, aby orientując się według latarni odnaleźć krętą trasę pomiędzy rafami.

Nie spodziewała się, że będą wracać tak późno. Wprawdzie wschodzący księżyc oświetlał powierzchnię morza, ale wiatr przybrał na sile i fale rozbijające się o Rafę Wistari pojawiały się niebezpiecznie blisko w upiornych, białych szeregach. Indra nie spuszczała ich z oka, starając się jednocześnie śledzić mrugające światło latarni na końcu mola. Dopiero kiedy rozróżniła w mroku samo molo i szczegóły wybrzeża wyspy, odetchnęła i mogła znowu zająć się Franklinem.

Wyglądał zupełnie normalnie teraz, kiedy przywiązali katamaran i szli w stronę budynków laboratorium. Indra nie widziała jego twarzy, ponieważ ta część wybrzeża nie była oświetlona, a korony palm zasłaniały światło Księżyca, ale sądząc z głosu, odzyskał całkowicie panowanie nad sobą.

— Dziękuję ci za wszystko, Indro. Jestem ci bardzo wdzięczny za to, co dla mnie zrobiłaś.

— Zaprowadzę cię teraz prosto do doktora Myersa. Musisz z nim porozmawiać.

— Nie, on tu nic nie pomoże. Czuję się teraz zupełnie dobrze, to się już nie powtórzy.

— Myślę jednak, że powinieneś się z nim zobaczyć. Zaprowadzę cię do twojego pokoju, a potem pójdę po niego.

Franklin gwałtownie potrząsnął głową.

— Bardzo cię proszę, żebyś tego nie robiła. Obiecaj mi, że do niego nie pójdziesz.

Targana sprzecznymi uczuciami Indra naradzała się ze swoim sumieniem. Wiedziała, że najrozsądniej byłoby obiecać i nie dotrzymać. Z drugiej strony, jeśli tak zrobi, Franklin może jej tego nigdy nie przebaczyć. Wreszcie wybrała drogę pośrednią.

— A czy obiecujesz, że pójdziesz do niego sam?

Franklin zawahał się przez moment. Nie chciał na pożegnanie skłamać tej dziewczynie, którą przecież mógł pokochać, ale z drugiej strony wiedział, co musi zrobić.

— Pójdę do niego rano. Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Odszedł zdecydowanym krokiem, zanim Indra zdążyła się odezwać.

Patrzyła, jak znika w ciemnościach, a w jej sercu ścierały się radość i niepokój: radość, że znalazła miłość, i niepokój, ponieważ ich szczęściu zagrażały niezrozumiałe siły. Niepokój przybrał formę dręczącego pytania: czy nie powinna, nawet wbrew woli Franklina, upierać się przy natychmiastowej wizycie u doktora Myersa?

Nie miałaby kłopotu z odpowiedzią, gdyby mogła zobaczyć, że Franklin zawraca w oświetlonym blaskiem Księżyca lesie i jak lunatyk podąża w stronę doków, z których wyruszał na swoje podmorskie wyprawy.

Logiczna część jego umysłu była teraz tylko biernym narzędziem emocji, podporządkowanych jednemu celowi. Przeżył zbyt wielki wstrząs, aby kierować się rozsądkiem, jak zranione zwierzę myślał tylko o tym, żeby uciszyć swój ból. Podążał tam, gdzie zaznał jedynych chwil spokoju i radości.

Doszedł aż na koniec mola nie spotkawszy po drodze żywej duszy i zszedł do hangaru łodzi podwodnych, dwadzieścia stóp pod powierzchnią morza. Starannie wykonał wszystkie czynności, jak podczas poprzednich zanurzeń. Odczuł wyrzuty sumienia, że instytucja straci cenny sprzęt i jeszcze cenniejszy wysiłek, który włożono w jego szkolenie, ale to nie była jego wina i zresztą nie miał innego wyjścia.

Torpeda prawie bezdźwięcznie prześliznęła się przez podwodne wrota i ruszyła na pełne morze. Franklin nigdy jeszcze nie wypływał w nocy. Po zmroku działały jedynie zamknięte łodzie podwodne, gdyż nocna nawigacja wiązała się z niebezpieczeństwem, na które szaleństwem byłoby narażać bezbronnego człowieka. Dla Franklina — kiedy wybierał znajomy kurs na kanał, prowadzący poza rafy ku oceanowi — nie miało to żadnego znaczenia.

Ból jakby nieco ucichł, co wcale jednak nie wpłynęło na jego decyzję. Tu było jego miejsce, tu znalazł radość i tu znajdzie zapomnienie.

Otoczył go ciemnogranatowy świat, którego nie mogło rozjaśnić blade światło Księżyca. Wokół niego przemykały dziwne kształty, niczym fosforyzujące duchy. Byli to stali mieszkańcy rafy, zaciekawieni albo spłoszeni szumem motoru. W dole widział cienie na tle jeszcze głębszego mroku; to koralowe wzgórza i doliny, wśród których zdołał się już zadomowić. Żegnał się z nimi w myśli, ale w

jego sercu nie było już miejsca na żale.

Teraz, kiedy jego los był przesądzony, nie miało sensu dłużej zwlekać. Nacisnął dźwignię gazu do końca i torpeda skoczyła jak koń spięty ostrogami. Pędził w głąb oceanu z szybkością niedostępną żadnemu mieszkańcowi mórz, pozostawiając daleko w tyle wyspy Wielkiej Rafy.

Raz tylko spojrzał w górę, na świat, z którym się rozstawał. Woda była fantastycznie przezroczysta, tak że płynąc na głębokości stu stóp widział srebrny szlak Księżyca na powierzchni morza — coś, co niewiele ludzi miało okazję oglądać. Mógł dostrzec nawet mglistą, tańczącą plamę światła samego Księżyca, załamywaną przez powierzchnię wody, zastygającą w wyraźny, czysty obraz, wtedy gdy fala ustawiała się pod odpowiednim kątem.

Raz pognał za nim wielki rekin — największy, jakiego widział w życiu. Ogromny, opływowy kształt wyłonił się niespodziewanie z fosforyzującego mroku tuż przed nim, ale Franklin nie próbował nawet go omijać. Ocierając się prawie o niego ujrzał błysk nieludzkiego oka, ukośne szpary skrzelowe oraz nieodłączną asystę ryby-pilota i podnawki. Kiedy obejrzał się za siebie, stwierdził, że rekin płynie za nim, nie wiadomo czym powodowany: ciekawością, głodem czy popędem płciowym. Franklin nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Rekin utrzymywał się w jego polu widzenia przez blisko minutę, aż wreszcie pozostał w tyle, nie nadążając za torpedą. Po raz pierwszy spotykał rekina, który w ten sposób reagował; zwykle płoszyły się na odgłos motoru. Widocznie prawa rządzące rafą w ciągu dnia przestawały obowiązywać po zapadnięciu ciemności.

Ukryty za półokrągłą szybą, chroniącą go przed naporem wody, pędził wśród nocy, która pokrywała połowę kuli ziemskiej. Nawet teraz kierował torpedą zręcznie i umiejętnie; wiedział doskonale, gdzie się znajduje, kiedy dotrze do celu i jak głębokie są wody, na które teraz wpływa. Za kilka minut zacznie gwałtownie opadać w dół, nadszedł więc czas ostatecznego pożegnania z rafą.

Skierował dziób torpedy nieznacznie w dół i jednocześnie zmniejszył szybkość do jednej czwartej. Wściekły napór wody zelżał; Franklin wraz z torpedą zjeżdżał teraz łagodnie długim, niewidzialnym zboczem, którego końca już nie zobaczy.

W miarą tego, jak przykrywała go coraz grubsza warstwa wody, blask Księżyca stawał się coraz słabszy. Celowo odwracał wzrok od oświetlonego głębokościomierza i unikał myśli o tych dziesiątkach metrów wody nad głową. Całym ciałem odczuwał wzrastające z każdą minutą ciśnienie, ale nie sprawiało mu to przykrości. Oddawał się dobrowolnie w ofierze morzu — wielkiej macierzy wszelkiego życia.

Ciemności były teraz zupełne. Był sam, pędząc przez noc tak obcą i gęstą, jakiej próżno by szukać na lądzie. Od czasu do czasu widział

pod sobą — odległości nie potrafił określić — drobne rozbłyski światła. To nieznani mieszkańcy otwartego morza Krzątali się wokół swoich niezrozumiałych spraw. Czasami zapalały się całe galaktyki światełek, aby po chwili zgasnąć. Możliwe, że nasza Galaktyka, pomyślał Franklin, też nie jest bardziej długowieczna ani ważniejsza, kiedy spojrzy się na nią z punktu widzenia wieczności.

Odczuwał już skutki narkozy azotowej. Żaden człowiek, który znalazł się na tej głębokości tylko w akwalungu ze sprężonym powietrzem, nie wrócił na powierzchnię, aby opowiedzieć swoje wrażenia. Oddychał powietrzem pod prawie dziesięciokrotnym ciśnieniem, a torpeda nadal kierowała się w stronę mrocznych otchłani. Cała odpowiedzialność, wszelkie żale i lęki zostały wyparte z jego świadomości przez błogą euforię, która wypełniała wszystkie komórki jego mózgu.

A jednak ostatnią myślą był żal. Było — mu żal Indry, że musi od początku zacząć szukać szczęścia, które mogła znaleźć u jego boku.

Potem było już tylko morze i bezmyślna maszyna sunąca coraz wolniej w głąb, ku granicy stu sążni i coraz dalej od brzegów.

VIII

W pokoju było czworo ludzi i wszyscy milczeli. Główny instruktor zagryzał nerwowo wargi. Don Burley siedział przygnębiony, Indra z trudem powstrzymywała się od płaczu. Jedynie doktor Myers zdawał się panować nad nerwami, chociaż i on przeklinał w duchu niezrozumiałego pecha, który stał się przyczyną nieszczęścia. Mógłby przysiąc, że Franklin jest na najlepszej drodze do całkowitego wyzdrowienia i najgorsze ma już za sobą. A tu nagle coś takiego!

— Możemy zrobić tylko jedno — przerwał nagle milczenie główny instruktor. — Wysłać wszystkie jednostki podwodne na poszukiwania.

Don Burley poruszył się ostrożnie, jakby dźwigał na ramionach wielki ciężar.

— Minęło dwanaście godzin — powiedział. — Przez ten czas mógł oddalić się o pięćset mil, a na stacji mamy zaledwie sześciu kwalifikowanych pilotów.

— Wiem, że oznacza to szukanie igły w stogu siana, ale jest to jedyne, co możemy zrobić.

— Czasami kilka minut zastanowienia może zaoszczędzić wiele godzin niepotrzebnej pracy — odezwał się doktor Myers. — Za waszym pozwoleniem chciałbym jeszcze zamienić kilka słów na osobności z koleżanką Langenburg.

— Proszę bardzo, jeśli ona nie ma nic przeciwko temu.

Indra bezwolnie skinęła głową. Zadręczała się myślą, że to ona jest wszystkiemu winna, przez to, że nie poszła do doktora natychmiast po powrocie na wyspę. Intuicja, która ją wtedy zawiodła, teraz mówiła jej, że nie ma już żadnej nadziei ratunku. Mogła się tylko modlić, aby i tym razem przeczucie ją omyliło.

— Posłuchaj, Indro — zaczął doktor Myers łagodnie, kiedy dwaj mężczyźni wyszli z pokoju — jeśli chcemy pomóc Franklinowi, musimy trzymać nerwy na wodzy i starać się odgadnąć, co on mógł zrobić. I przestań robić sobie wyrzuty: to nie jest twoja wina. Myślę, że w ogóle nie ma w tym niczyjej winy.

Równie dobrze można by winić mnie, dodał w myśli. Ale kto mógł przypuścić? Tak mało wiemy o astrofobii, nawet teraz… tym bardziej że to nie moja specjalność.

Indra zmusiła się do uśmiechu. Jeszcze do wczoraj wydawało się jej, że jest bardzo dorosła i potrafi dać sobie radę w każdej sytuacji. Ale od wczoraj zmieniło się bardzo wiele.

— Proszę mi powiedzieć, co jest Walterowi. Myślę, że to mi bardzo pomoże.

Było to sensowne i rozsądne; doktor Myers już wcześniej

postanowił to zrobić.

— Dobrze, ale proszę pamiętać, że są to wiadomości ściśle poufne, dla dobra Waltera. Zdradzam je tylko ze względu na wyjątkowość sytuacji. Istnieje możliwość, że znając te fakty będziesz nam mogła pomóc.

Do zeszłego roku Walter był wysokiej klasy kosmonautą. Służył jako główny inżynier na statku utrzymującym komunikację pomiędzy Ziemią a Marsem, co jak wiesz, jest bardzo odpowiedzialnym stanowiskiem. A był to przecież dopiero początek jego kariery.

Podczas podróży nastąpiła jakaś awaria i trzeba było wyłączyć napęd jonowy. Walter wyszedł na zewnątrz w skafandrze kosmicznym, aby dokonać naprawy, i nie było w tym wszystkim nic nadzwyczajnego. Jednak w czasie pracy zawiódł skafander. Nie, to nie było rozdarcie. Nastąpiło zablokowanie urządzenia napędowego skafandra i nie mógł wyłączyć silniczka rakietowego, umożliwiającego poruszanie się w próżni.

W ten sposób zaczął oddalać się od statku ze wzrastającą szybkością. Na domiar złego startując uderzył o jakąś część statku i uszkodził sobie antenę radiową. Tak więc nie mógł porozumieć się z resztą załogi: nie mógł ani wezwać pomocy, ani usłyszeć, czy koledzy coś robią, aby go ratować. Po kilku minutach stracił statek z oczu i został zupełnie sam, o miliony mil od Ziemi.

Nikt, kto nie znalazł się w podobnej sytuacji, nie potrafi sobie wyobrazić, co to oznacza. Możemy próbować, ale nie możemy postawić się w sytuacji człowieka całkowicie izolowanego, zawieszonego w pustce otoczonej gwiazdami i nie wiedzącego, czy ma szansę ratunku. Żaden zawrót głowy, jakiego można dostać na Ziemi, nie może się z tym równać — nawet najgorsza choroba morska, a to przecież też potrafi złamać człowieka.

Pomoc przyszła po czterech godzinach. Był właściwie całkowicie bezpieczny, o czym chyba doskonale wiedział — ale niczego to nie zmieniało. Na ekranie radarowym statku śledzono go przez cały czas, ale nie mogli pośpieszyć mu z pomocą do czasu naprawy uszkodzenia. Kiedy wreszcie sprowadzono go na pokład statku, był… no, powiedzmy, że był w dość opłakanym stanie.

Najlepsi psychologowie świata pracowali nad nim prawie przez rok i jak widzimy, nie wyleczyli go do końca. Oprócz tego w grę wchodzi czynnik, wobec którego psychologowie byli bezsilni.

Myers przerwał, zastanawiając się, jak Indra przyjmie te wiadomości i jak może się to odbić na jej uczuciu do Franklina. Wyglądało na to, że pierwszy wstrząs już minął; dzięki Bogu nie należała do tych histerycznych osób, z którymi tak trudno dojść do porozumienia.

— Widzisz, rzecz w tym, że Walter był żonaty. Jego żona i

rodzina, którą bardzo kochał, mieszkała na Marsie. Żona należała do drugiej generacji kolonistów, a dzieci oczywiście do trzeciej. Oznacza to, że były poczęte, urodzone i spędziły całe życie w warunkach marsjańskiej siły ciążenia i nie mogły nigdy przybyć na Ziemię, gdzie zostałyby zgniecione trzykrotnie zwiększoną wagą własnego ciała.

Jednocześnie Walter nie mógł już wrócić w kosmos. Psychologowie mogli co najwyżej liczyć na to, że uda im się doprowadzić go do takiego stanu, aby mógł funkcjonować normalnie tu, na Ziemi. Nigdy jednak nie potrafi już znieść stanu nieważkości ani świadomości, że otacza go pustka kosmosu. Tak więc był skazany na zamknięcie w swoim własnym świecie i na wieczną rozłąkę z rodziną. Zrobiliśmy dla niego wszystko, co było w naszej mocy, i myślę, że zrobiliśmy niemało. Pracując tutaj mógł wykorzystać swoje umiejętności, ale skierowaliśmy go tutaj również z powodów natury psychologicznej, uważając, że właśnie ta praca będzie mu odpowiadać i pomoże mu odbudować jego życie. Myślę, Indro, że znasz te powody równie dobrze jak ja, a może lepiej. Jako biolog morza wiesz doskonale, jakie więzy łączą nas z oceanem. Nie mamy takich więzów z przestrzenią kosmiczną i dlatego dopóki pozostaniemy ludźmi, nie będziemy się tam nigdy czuć jak u siebie w domu.

Obserwowałem Franklina podczas jego pobytu tutaj; on wiedział o tym i nie miał nic przeciwko temu. Czuł się z każdym dniem lepiej i zaczynał lubić swoją pracę. Don był bardzo zadowolony z jego postępów — mówił, że Walter jest jego najlepszym uczniem. A kiedy dowiedziałem się proszę mnie nie pytać skąd! — że widuje się was razem, byłem szczerze uradowany, bo przecież musiał odbudowywać swoje życie we wszystkich dziedzinach. Mam nadzieję, że nie będziesz miała mi za złe tego, co mówię, ale kiedy dowiedziałem się, że Walter spędza wszystkie wolne chwile z tobą, zrozumiałem, że przestał już żyć tylko przeszłością.

A teraz nagle to załamanie! Muszę przyznać, że jest to dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Mówisz, że zobaczyliście stację kosmiczną, ale to nie wydaje mi się wystarczającym powodem. Walter przyjechał tu z ostrym przypadkiem lęku przestrzeni, ale wyleczył się z tego prawie całkowicie. Poza tym widywał pewnie stację dziesiątki razy rano lub wieczorem. Musiało tam być coś jeszcze, o czym nie wiemy.

Doktor Myers umilkł raptownie, jakby nagle przyszło mu coś do głowy, i spytał cicho:

— Powiedz mi, Indro, czy kochaliście się tam na wyspie?

— Nie — odpowiedziała bez wahania i bez śladu zawstydzenia. — Nic takiego nie miało miejsca.

Trudno było w to uwierzyć, ale doktor wiedział, że to prawda, gdyż wyczuł w głosie Indry niewątpliwy odcień żalu.

— Zastanawiałem się, czy nie dręczyło go poczucie winy w

stosunku do żony. Niezależnie od tego, czy zdaje sobie z tego sprawę, prawdopodobnie przypominasz mu żonę, i to go początkowo pociągało w tobie. Zresztą ta linia rozumowania i tak nie pozwoli wyjaśnić jego postępku, dajmy więc temu spokój.

Wiemy tylko, że Walter przeżył atak choroby, i to bardzo ostry. Dając mu środek uspokajający postąpiłaś najlepiej, jak można było w tej sytuacji postąpić. Czy jesteś zupełnie pewną, że kiedy przywiozłaś go z powrotem, nie zdradzał niczym swoich planów?

— Jestem pewna. Powiedział tylko „Nie mów doktorowi Myersowi". Twierdził, że w niczym nie możesz mu pomóc.

Myers pomyślał ponuro, że to może być prawda i myśl ta nie zwiastowała niczego dobrego. Jest tylko jeden powód, dla którego człowiek ucieka przed jedyną osobą, która może mu pomóc. Widocznie uznał, że nie ma już dla niego ratunku.

— Ale obiecał — mówiła dalej Indra — że przyjdzie do ciebie rano.

Myers nie odpowiedział. Teraz już oboje wiedzieli, że ta obietnica była tylko wykrętem.

Indra rozpaczliwie szukała jeszcze jakiejś nadziei.

— Przecież gdyby chciał popełnić… coś drastycznego, zostawiłby jakiś list — powiedziała drżącym głosem, jakby sama nie wierzyła do końca w to, co mówi.

Myers spojrzał na nią ze smutkiem, nie mając już żadnych wątpliwości.

— Jego rodzice nie żyją — odpowiedział. — Z żoną pożegnał się już dawno. Do kogo miał pisać?

Indra z rozpaczą uświadomiła sobie, że doktor ma rację. Możliwe, że ona była jedynym człowiekiem na świecie, dla którego Franklin żywił jakieś uczucie. A z nią przecież się pożegnał…

Doktor Myers wstał z ociąganiem.

— Jedyne, co możemy zrobić — powiedział — to przystąpić do poszukiwań. Istnieje szansa, że postanowił się wyładować i pognał przed siebie na pełny gaz, a rano następnego dnia wróci zawstydzony. Takie rzeczy już się tu zdarzały.

Doktor poklepał Indrę po ramieniu i pomógł jej wstać.

— Nie trać nadziei. Zrobimy wszystko, co możliwe — powiedział, choć w głębi serca wiedział, że jest już za późno. Było za późno już od wielu godzin i uruchamiano całą akcję poszukiwań tylko dlatego, że są sytuacje, kiedy nikt nie myśli o kierowaniu się logika.

Razem poszli do pokoju, w którym czekali główny instruktor i Don Burley. Doktor Meyers otworzył drzwi i stanął w progu jak rażony gromem. Przez chwilą pomyślał, że przybyło mu dwóch nowych pacjentów albo że on sam zwariował. Don i główny instruktor, niepomni na różnicę rangi i hierarchię służbową, stali objęci

ramionami i trzęśli się w histerycznym śmiechu. Tak, nie ulegało wątpliwości, że to był śmiech. Histeryczny śmiech, spowodowany rozładowaniem napięcia.

Doktor Myers przypatrywał się tej nieprawdopodobnej scenie przez jakieś pięć minut. Kiedy wreszcie oderwał od nich wzrok, dostrzegł leżący na podłodze telegram, który widocznie wypadł z ręki jednemu z tych szaleńców. Nie pytając o pozwolenie podniósł kartkę papieru.

Musiał przeczytać ją kilka razy, zanim dotarł do niego sens depeszy. I wtedy on także zaczął się śmiać tak, jak mu się to nie zdarzało od lat.

IX

Kapitan Bert Darryl miał nadzieję, że będzie to spokojna podróż. Jeśli istnieje na świecie jakaś sprawiedliwość, to chyba należy mu się wreszcie trochę spokoju. Ostatnim razem zdarzyła się ta nieprzyjemna historia z glinami w Mackay; poprzednio była nie zaznaczona na mapie skała koło Wyspy Jaszczurki; a jeszcze przed tym, do licha, ten w gorącej wodzie kąpany młody głupek ustrzelił harpunem piętnastostopowego rekina tygrysiego i potem jeździł za nim po całym dnie.

Na oko sądząc jego klienci byli tym razem ludźmi rozsądnymi. Oczywiście Biuro Turystyki zawsze zapewniało, że przysyłają ludzi odpowiedzialnych i wypłacalnych, ale mimo to czasami trafiały do niego zadziwiające typy. Trzeba było jednak zarobić na kawałek chleba, a utrzymanie tego pudła w stanie używalności taż kosztowało niemało.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy jego klienci nazywali się zawsze Jones, Robinson, Brown i Smith. Kapitan Bert uważał, że to głupi pomysł, ale Biuro tego żądało. Oczywiście zgadywanie, kim oni są naprawdę, też miało swój urok. Niektórzy byli tak ostrożni, że nosili na twarzy gumowe maski w czasie całej wyprawy — nawet pod maskami do nurkowania. Musiały to być jakieś grube ryby, które bały się, że zostaną rozpoznane. Wyobraźcie sobie na przykład skandal, gdyby przyłapano sędziego Sądu Najwyższego albo sekretarza Departamentu Kosmonautyki na kłusownictwie w rezerwacie! Na samą myśl o tym kapitan Bert zachichotał.

Jego mała pięcioosobowa łódź podwodna znajdowała się w odległości czterdziestu mil od pierścienia raf, szukając przejścia od strony oceanu. Oczywiście działanie w pobliżu Wysp Koziorożca, w sercu terytorium wroga, było ryzykowne, ale tutaj można było znaleźć największe ryby, właśnie dlatego, że tu miały najlepszą ochronę. Trzeba ryzykować, jeśli chce się zadowolić klienta…

Kapitan Bert jak zwykle starannie opracował taktykę. W nocy nie było patroli, a w razie czego jego hydrolokator dalekiego zasięgu uprzedziłby go, dając czas do ucieczki. Tak więc mógł bezpiecznie podkradać się nocą, żeby dotrzeć w upatrzone miejsce przed świtem i wypuścić swoją niecierpliwą sforę z pierwszymi promieniami słońca. Kapitan będzie leżał na dnie, utrzymując z nimi kontakt radiowy. Jeśli wypłyną poza zasięg radiostacji, będą mogli kierować się impulsem hydrolokatora. A jeśli oddalą się na tyle, że stracą i ten kontakt, to tym gorzej dla nich. Kapitan poklepywał się po kieszeni, w której spoczywały bezpiecznie cztery urzędowe oświadczenia, zwalniające go od wszelkiej odpowiedzialności, gdyby coś przytrafiło się Smithowi,

Brownowi, Jonesowi i Robinsonowi. Czasami nachodziły go wątpliwości, czy ma to jakieś znaczenie, skoro nie są to ich prawdziwe nazwiska, ale Biuro zapewniło go, że może się nie martwić. Zresztą kapitan Bert nie należał do tych, którzy się — zbytnio przejmują, bo gdyby tak było, to już dawno zmieniłby profesję. Na razie S., J., R. i B. leżeli na swoich kojach, dokonując ostatniego przeglądu ekwipunku, który przyda im się po wschodzie słońca. Smith i Jones mieli nowiutkie strzelby, z których nikt jeszcze nie strzelał, a ich pasy obwieszone były wszelkimi możliwymi przyrządami do podmorskich polowań. Kapitan Bert przyglądał im się ironicznie, gdyż obaj reprezentowali doskonale znany mu gatunek klientów. Ci faceci tak przejmowali się swoim sprzętem, że w rezultacie nigdy nie korzystali ze swoich strzelb ani aparatów fotograficznych. Będą obijać się beztrosko wokół rafy i narobią tyle szumu, że wszystkie ryby w promieniu mili będą wiedziały, co się święci. Ich piękne strzelby, które potrafią przebić na wylot ważącego pół tony rekina z odległości pięćdziesięciu stóp, prawdopodobnie nigdy nie wystrzelą. Zresztą dla nich nie ma to większego znaczenia; będą i tak zadowoleni z siebie.

Co innego Robinson. Jego kusza miała co najmniej pięć lat i była lekko wyszczerbiona. Widać było, że umie się z nią obchodzić i nieraz jej używa. Nie należał on do tych zwariowanych sportowców, którzy muszą natychmiast kupować ostatni model, jak kobiety, starające się za wszelką cenę nadążać za modą. Kapitan Bert był przekonany, że Robinson przyniesie największą zdobycz.

Towarzysz Robinsona Brown był jedynym, którego kapitan nie potrafił rozgryźć. Dobrze zbudowany mężczyzna po czterdziestce, o zdecydowanych rysach, był najstarszym z myśliwych i jego twarz wydawała się jakby znajoma. Był zapewne jakimś wysokim urzędnikiem, który czuł potrzebę porozrabiania od czasu do czasu. Kapitan Bert, którego natura nie zniosłaby pracy w instytucjach Rządu Światowego ani w ogóle w żadnej instytucji, rozumiał go doskonale.

Mieli teraz pod sobą przeszło tysiąc stóp wody i wciąż jeszcze wiele mil dzieliło ich od rafy, ale w tego rodzaju pracy obowiązywała nieustanna czujność i kapitan Bert z rzadka tylko pozwalał sobie oderwać wzrok od ekranów i zegarów tablicy kontrolnej, aby spojrzeć, jak jego niewielka załoga przygotowuje się do porannych łowów. Dlatego też prawie natychmiast zauważył małe, ale wyraźne echo na ekranie hydrolokatora.

— Wielki rekin na horyzoncie, chłopcy — ogłosił wesoło. Wszyscy rzucili się do ekranu.

— Skąd wiadomo, że to rekin? — spytał któryś.

— To prawie pewne. Wieloryb nie mógłby wypłynąć na zewnętrzną stronę rafy.

— Czy to aby nie łódź podwodna? — spytał czyjś

podenerwowany głos.

— Na pewno nie. Łódź podwodna dałaby dziesięciokrotnie większe echo. Nie wpadajcie w panikę.

Pytający umilkł zawstydzony. Przez następne kilka minut wszyscy w milczeniu obserwowali echo zbliżające się do środka ekranu.

— Minie nas w odległości nie większej niż ćwierć mili — powiedział Smith. — Może by tak zmienić kurs i zobaczyć, czy uda się go dogonić?

— Beznadziejna sprawa. Ucieknie, jak tylko usłyszy nasze motory. Jeśli staniemy, może podpłynąć, żeby nas obwąchać, ale co z tego? I tak nie dobierzecie się do niego. Jest noc, a on płynie na głębokości dla was niedostępnej.

Ich uwagę odwróciła wielka ławica ryb — prawdopodobnie tuńczyków, jak oświadczył kapitan — która pojawiła się w południowym sektorze ekranu. Kiedy ławica znikła, godnie wyglądający Brown powiedział z zastanowieniem:

— Gdyby to był rekin, to chyba zmieniłby już kierunek.

Kapitan Bert pomyślał sobie to samo i zaczynał mieć wątpliwości.

— Myślę, że przyjrzymy mu się z bliska — powiedział. — Co nam to szkodzi?

Kapitan zmienił nieco kurs. Dziwne echo podążało niezmiennie w tym samym kierunku. Poruszało się zupełnie wolno i zbliżenie się do niego na odległość umożliwiającą bezpośrednią obserwację nie było trudne. W odpowiednim momencie kapitan Bert włączył kamerą i reflektor ultrafioletowy i… jęknął.

— Wpadliśmy, chłopcy. To glina.

Rozległy się cztery jednoczesne jęki i chóralne „Ale przecież mówiłeś…” Kapitan uciszył ich kilkoma starannie dobranymi słowami i nadal wpatrywał się w ekran.

— Coś tu nie gra — powiedział. — Miałem wtedy rację. To nie jest łódź podwodna, to torpeda. Wykryć nas nie może, bo nie ma tam odpowiednich urządzeń. Ale co on u diabła robi tutaj po nocy?

— Lepiej uciekajmy! — zawołało kilka wystraszonych głosów.

— Cisza! — ryknął kapitan Bert. — Dajcie mi pomyśleć. — Spojrzał na głębokościomierz. — Do licha — mruknął, tym razem cicho. — Idziemy na głębokości stu sążni. Jeśli ten facet nie oddycha jakąś specjalną mieszanką, to znaczy, że jest gotowy.

Wpatrywał się z bliska w ekran telewizora; trudno było powiedzieć coś na pewno, ale wyglądało, że postać leżąca na wolno płynącej torpedzie jest podejrzanie nieruchoma. Tak, teraz nie miał już wątpliwości. Bezwładnie zwisająca głowa zdradzała, że człowiek jest nieprzytomny albo martwy.

— Będzie cholerny kłopot — oświadczył kapitan — ale nie mamy innego wyjścia. Trzeba wziąć tego faceta na pokład.

Ktoś usiłował protestować, ale zaraz umilkł. Kapitan miał niewątpliwie rację. Trzeba tak zrobić, a później działać w zależności od sytuacji.

— Jak to zrobić? — spytał Smith. — Nie możemy przecież wyjść z łodzi na tej głębokości.

— Trudna sprawa — przyznał kapitan. — Całe szczęście, że płynie tak wolno. Spróbuję go podnieść.

Zbliżył się do torpedy z niezwykłą ostrożnością manipulując sterami. Nagle rozległ się głośny stuk i wszyscy zerwali się z miejsc. Tylko kapitan nie drgnął, gdyż on jeden wiedział, co się stanie.

Odchylił się w fotelu i westchnął z ulgą.

— Udało się za pierwszym razem! — powiedział z dumą. Torpeda z bezwładną postacią w uprzęży przekręciła się do góry dnem. Teraz jednak nie płynęła już w dół, ale zaczęła się powoli wznosić ku odległej powierzchni.

Tak popychana dotarła do granicy dwustu stóp; przez ten czas kapitan wydał szczegółowe polecenia. Wyjaśnił swoim pasażerom, że istnieje jeszcze szansa, iż pilot torpedy żyje. Gdyby jednak wydobyto go teraz na powierzchnię, umrze na pewno w rezultacie choroby kesonowej po zmianie ciśnienia z dziesięciu atmosfer do jednej.

— Będziemy musieli potrzymać go trochę na głębokości około dwustu stóp, a potem zaczniemy poddawać go dekompresji w naszej śluzie. Kto z was go ściągnie? Mnie nie wolno odejść od sterów.

Nikt nie wątpił, że był to jedyny powód i że kapitan bez wahania wyszedłby na zewnątrz, gdyby ktoś z obecnych mógł go zastąpić przy sterach. Po chwili milczenia odezwał się Smith:

— Ja schodziłem do trzystu stóp na zwykłym powietrzu.

— Ja również — wtrącił Jones. — Oczywiście nie w nocy — dodał po namyśle.

Kapitan postanowił uznać to za formę zgłoszenia się na ochotnika. Obaj wysłuchali w skupieniu instrukcji z takimi minami, jakby mieli iść do ataku na bagnety, włożyli akwalungi i bez entuzjazmu weszli do śluzy powietrznej.

Na szczęście obaj mieli dobre przygotowanie i kapitan mógł w ciągu paru minut dać pełne ciśnienie.

— W porządku, chłopcy — powiedział. — Otwieram właz. Szczęśliwej drogi!

Światło reflektora bardzo by im się przydało, niestety było ono specjalnie filtrowane, aby nie przepuszczać światła widzialnego. Kapitan obserwował ich na ekranie, jak podpływają do torpedy z pochodniami, żarzącymi się słabo niczym robaczki świętojańskie. Smith, wychylony z otworu śluzy, kierował Jonesem za pomocą liny. Zarówno łódź, jak torpeda płynęły szybciej niż człowiek, należało więc wyprzedzić torpedę i tak manewrować ciągnionym na linie Jonesem,

aby mógł ją schwytać. Nie musiało to być dla niego zbyt przyjemne, ale na szczęście już przy drugiej próbie udało mu się przechwycić torpedę.

Reszta była stosunkowo prosta. Jones wyłączył silnik torpedy i kiedy oba pojazdy zatrzymały się, Smith popłynął mu z pomocą. Obaj wyplątali pilota torpedy z uprzęży i przyholowali go do łodzi. Maska na jego twarzy by nadal szczelna, istniała więc nadzieja ratunku. Niełatwo było przeciągnąć bezwładne ciało przez wąski otwór włazu i Smith musiał zostać przez jakiś czas na zewnątrz, czując się przeraźliwie samotny i opuszczony.

I w ten sposób, kiedy po półgodzinie Walter Franklin otworzył oczy, stwierdził ze zdumieniem, że leży na koi w małej, turystycznej łodzi podwodnej, otoczony przez pięciu mężczyzn. Najdziwniejsze było to, że czterech z nich miało twarze zawiązane chustkami, tak że widział tylko ich oczy…

Spojrzał na piątego, na jego pobrużdżoną zmarszczkami twarz, szpakowatą czuprynę, rzadką kozią bródkę. Nawet bez tej wymiętoszonej marynarskiej czapki widać było, kto tu jest kapitanem.

Potworny ból głowy utrudniał Franklinowi skupienie myśli. Z największym trudem wydobył z siebie słowa:

— Gdzie ja jestem?

— Mniejsza o to, kolego — odpowiedział ten z bródką. — To my chcemy wiedzieć, co u diabła robiłeś na głębokości stu sążni ze zwykłym akwalungiem. O, do licha, znowu zemdlał!

Kiedy Franklin odzyskał przytomność po raz drugi, czuł się już znacznie lepiej i zaczął się interesować tym, co się wokół niego dzieje. Zapewne niezależnie od tego, kim byli ci ludzie powinien odczuwać dla nich wdzięczność, na razie jednak świadomość, że został uratowany, nie wywoływała w nim żadnych uczuć.

— Po co to? — spytał, wskazując na konspiracyjne chusty. Kapitan odwrócił głowę od tablicy kontrolnej i spytał:

— Jeszcze nie wiesz, gdzie jesteś?

— Nie.

— Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, kim jestem?

— Przykro mi, ale nie wiem.

Chrząknięcie kapitana mogło być oznaką zarówno niedowierzania, jak i rozczarowania.

— Widocznie jesteś jednym z nowych. Nazywam się Bert Darryl i jesteś na pokładzie „Lwa Morskiego”. Ci dwaj dżentelmeni narażali życie, żeby cię wyciągnąć.

Franklin spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył dwa czarne trójkąty.

— Dziękuję — powiedział i zamilkł nie mając pojęcia, co tu jeszcze dodać. Teraz wiedział już, gdzie jest, i mógł się domyślić biegu

wydarzeń.

Więc tak wyglądał słynny — słowo to nabierało różnego znaczenia w ustach różnych ludzi — kapitan Darryl, którego ogłoszenia widziało się na stronicach wszystkich czasopism poświęconych sportom wodnym. Kapitan Darryl, organizator pasjonujących podwodnych polowań; nieustraszony i doświadczony myśliwy i równie doświadczony i nieustraszony kłusownik, którego bezkarność od dawna była źródłem cynicznych uwag wśród inspektorów. Kapitan Darryl — jeden z ostatnich wielkich romantyków w naszym nieromantycznym wieku, jak powiadają niektórzy. Kapitan Darryl — wielki szarlatan, jak mówią inni…

Franklin rozumiał teraz, dlaczego pozostali członkowie załogi są zamaskowani. Było to widocznie jedno z nielegalnych przedsięwzięć kapitana i Franklin słyszał, że w takich wypadkach jego klientami bywają najwyżej postawione osobistości. Tylko takich zresztą było stać na podobne wyprawy; utrzymanie „Lwa Morskiego" musiało kosztować niemało, mimo że kapitan Darryl znany był z tego, że nigdy nie płacił gotówką i miał długi we wszystkich portach od Darwinu do Sydney.

Franklin patrzył na otaczające go anonimowe postacie i zastanawiał się, kto to może być i czy rozpoznałby kogoś z nich. Nie wysilano się zbytnio, aby ukryć potężne kusze na grubą zwierzynę, złożone na jednej z koi. Ciekawe, gdzie kapitan wiózł swoich klientów i na co mieli polować? Zresztą w tej sytuacji lepiej przymknąć oczy i wiedzieć jak najmniej.

Kapitan Darryl doszedł do tego samego wniosku.

— Zdajesz sobie chyba sprawę, kolego — powiedział przez ramię, zasłaniając jednocześnie starannie tablicę, z której można by odczytać położenie statku — że twoja obecność na pokładzie jest cokolwiek kłopotliwa. Mimo to nie mogliśmy pozwolić ci zginąć, chociaż zasłużyłeś na to za swoje głupie numery. Problem polega na tym, co robić z tobą dalej?

— Możecie mnie wysadzić na Wyspie Czapli. Chyba nie jesteśmy zbyt daleko? — Franklin uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że nie traktuje tej propozycji poważnie. Aż dziwne, jak lekko i pogodnie było mu na sercu; może to tylko czysto fizyczna reakcja organizmu, a może rzeczywiście cieszył się, że będzie miał okazję jeszcze raz rozpocząć życie od nowa.

— Masz wymagania! — burknął kapitan. — Ci dżentelmeni nie po to zapłacili za polowanie, żeby wasi harcerze popsuli im całą zabawę.

— Mogą zdjąć te swoje chustki. Nie jest im zbyt wygodnie, a ja ich nie wydam, nawet jeśli któregoś rozpoznam.

Z pewnym ociąganiem pasażerowie zdjęli chustki. Franklin z ulgą przekonał się, że nie zna nikogo z nich ani osobiście, ani z fotografii.

— Jest tylko jedno wyjście — powiedział kapitan. — Musimy cię gdzieś wysadzić, zanim przystąpimy do dzieła.

Podrapał się w głowę, dokonując w myśli przeglądu znanej mu do najdrobniejszego szczegółu mapy Archipelagu Koziorożca i podjął decyzję.

— Do rana i tak się ciebie nie pozbędziemy, więc będziecie musieli spać na zmianę. Jeśli chcesz się na coś przydać, to możesz popracować w kambuzie.

— Rozkaz — odpowiedział dziarsko Franklin.

Świtało, kiedy dopłynął do piaszczystej plaży, zataczając się wyszedł na brzeg i zdjął płetwy. (To moja zapasowa para. Nie zapomnij mi ich odesłać — powiedział kapitan Darryl, pomagając mu wcisnąć się do komory śluzowej).

Gdzieś tam, za rafami, „Lew Morski" kontynuował swój podejrzany rejs i myśliwi szykowali się do wypłynięcia. Mimo że było to sprzeczne z jego zasadami i obowiązkami służbowymi, Franklin życzył im powodzenia.

Kapitan obiecał za cztery godziny zawiadomić Brisbane, skąd wiadomość zostanie natychmiast przekazana na Wyspę Czapli. Widocznie zapas tych czterech godzin pozwoli kapitanowi i jego klientom zrealizować swoje plany i wynieść się poza wody Światowej Organizacji.

Franklin wyszedł na plażę, zdjął oporządzenie i mokre ubranie, a potem położył się i patrzył na wschód słońca, którego już nie spodziewał się zobaczyć. Miał cztery godziny na to, żeby uporządkować myśli i na nowo przygotować się do życia. Było to aż za dużo, bo decyzję podjął już kilka godzin temu.

Jego życie nie było już teraz czymś, czym może szastać do woli; zwrócili mu je z narażeniem własnego życia ludzie, których nigdy nie widział i których nigdy więcej nie spotka.

X

— Zdajesz sobie oczywiście sprawę — mówił doktor Myers — że jestem tylko zwykłym lekarzem, a nie jakimś autorytetem w psychiatrii, będę więc musiał odesłać cię do profesora Stevensa i jego wesołej gromadki.

— Czy to jest naprawdę konieczne?

— Nie sądzę, ale nie mogę brać na siebie odpowiedzialności. Gdybym miał żyłkę hazardzisty, tak jak Don, to przyjąłbym każdy zakład, że to się już u ciebie nie powtórzy. Lekarzy jednak nie stać na gry hazardowe, a poza tym myślę, że dobrze ci zrobi, jeśli wyjedziesz stąd na kilka dni.

— Za dwa-trzy tygodnie kończę kurs. Czy nie można zaczekać do tego czasu?

— Nie kłóć się nigdy z lekarzem, Walt, bo go i tak nie przegadasz. Zresztą o ile znam się na matematyce, półtora miesiąca to nie są dwa-trzy tygodnie. Kurs może parę dni zaczekać; nie sądzę, aby profesor Stevens długo cię tam zatrzymywał. Prawdopodobnie zmyje ci dobrze głowę i odeśle z powrotem. A na razie chciałbym — jeśli pozwolisz — wyjaśnić kilka spraw.

— Proszę bardzo.

— Po pierwsze, wiemy, dlaczego miałeś atak w danej chwili. Węch jest tym zmysłem, który bardzo łatwo wywołuje skojarzenia, i teraz, kiedy powiedziałeś mi, że komory śluzowe statków kosmicznych zawsze pachną syntenem, cała historia nabrała sensu. Miałeś pecha, że poczułeś ten zapach akurat wtedy, kiedy patrzyłeś na stację kosmiczną; sam bywam nieraz jak zahipnotyzowany, kiedy widzę to diabelstwo pędzące po niebie niczym jakiś zwariowany meteor.

Ale to jeszcze nie wyjaśnia wszystkiego. Musiałeś być, powiedzmy, pobudzony emocjonalnie, żeby tak zareagować. Powiedz mi… czy masz przy sobie fotografię żony?

Franklin był zupełnie zbity z tropu tym niespodziewanym i pozornie bezsensownym pytaniem.

— Mam — powiedział. — A dlaczego pytasz?

— Nieważne. Mogę zobaczyć?

Po długich poszukiwaniach, które Myers od razu uznał za udawane, Franklin unikając wzroku doktora podał mu fotografię.

Myers przyjrzał się kobiecie, rozłączonej z mężem prawami bardziej bezwzględnymi niż wszystkie najsurowsze prawa pisane przez ludzi. Była drobna, ciemnowłosa i miała błyszczące, piwne oczy. Jedno spojrzenie powiedziało doktorowi wszystko, co chciał wiedzieć, ale długo jeszcze wpatrywał się w zdjęcie z mieszaniną ciekawości i współczucia. Zastanawiał się, jak też daje sobie radę żona Franklina.

Czy ona również odbudowuje od podstaw swoje życie na tej dalekiej planecie, z którą jest na zawsze związana prawami genetyki i grawitacji? Nie, na zawsze nie jest odpowiednim słowem, bo może przecież bezpiecznie przylecieć na Księżyc, gdzie siła grawitacji jest podobna, jak na jej rodzimej planecie. Tylko że to też nie miałoby większego sensu, bo Franklin nie potrafi znieść nawet krótkiej podróży z Ziemi na Księżyc.

Doktor Myers z westchnieniem zwrócił zdjęcie. Nawet w najdoskonalszym systemie społecznym, w najbardziej pokojowym i sprawiedliwym świecie, będą istnieć nieszczęścia i tragedie. A w miarę tego, jak człowiek będzie rozciągać swoją władzę nad wszechświatem, wyłonią się nowe problemy i nowe źródła nieszczęść. Właściwie, jeśli nie brać pod uwagę szczegółów, to nie było w tej sprawie nic nowego. Od niepamiętnych czasów ludzie przeżywali tragedię rozłąki z ukochanymi albo na skutek złośliwości losu, albo swoich bliźnich.

— Posłuchaj, Walt — powiedział doktor Myers. — Wiem o tobie kilka rzeczy, których nie wie profesor Stevens, niech więc to, co powiem, będzie moim wkładem w twoje leczenie.

Niezależnie od tego, czy uświadamiasz to sobie, czy nie, Indra przypomina ci twoją żonę. Dlatego właśnie wywołała początkowo twoją sympatię. Jednocześnie jednak to uczucie sympatii zrodziło konflikt uczuć, gdyż nie chciałbyś zdradzić kogoś, kto — wybacz mi proszę brutalną szczerość — dla ciebie tak jakby umarł. Czy zgadzasz się z moją analizą?

Franklin milczał przez dłuższą chwilę, aż wreszcie powiedział:

— Myślę, że coś w tym jest. Ale co mam robić?

— Może zabrzmi to cynicznie, ale jest stare powiedzonko, które pasuje jak ulał do twojej sytuacji: „Wolność to uświadomiona konieczność”. Z chwilą kiedy uznasz, że pewne elementy twego życia są od ciebie niezależne i musisz je po prostu przyjąć, przestaniesz buntować się przeciwko nim. Nie oznacza to wcale kapitulacji; zaoszczędzisz dzięki temu energię na bitwy, które będziesz musiał stoczyć i które możesz wygrać.

— Co myśli o mnie Indra?

— Jeśli chcesz wiedzieć, ta szalona dziewczyna jest w tobie zakochana. Najlepsze, co możesz zrobić, to postarać się wynagrodzić jej przeżyte cierpienia.

— Sądzisz więc, że powinienem ożenić się po raz drugi?

— Sam fakt, że możesz zadać takie pytanie, jest dobrą oznaką, ale nie mogę odpowiedzieć ci prostym „tak” lub „nie”. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby umożliwić ci rozpoczęcie na nowo życia, zawodowego. Jeśli chodzi o twoje życie uczuciowe, nasze możliwości są znacznie mniejsze. Oczywiście byłoby wysoce pożądane, abyś nawiązał mocny i trwały związek uczuciowy na

miejsce tego, który straciłeś. Co do Indry, to jest ona czarującą i inteligentną dziewczyną, ale nikt nie może powiedzieć, na ile głębokie są jej uczucia do ciebie. Nie śpiesz się więc, na wszystko przyjdzie czas. Pamiętaj, że nie możesz sobie teraz pozwolić na błędy.

Na zakończenie tego kazania chcę ci powiedzieć jeszcze jedno. Poważna część twoich problemów wynika z tego, że zawsze zbyt wierzyłeś we własne siły. Nie przyjmowałeś do wiadomości faktu, że ty też masz wady i możesz potrzebować czyjejś pomocy. I dlatego kiedy zetknąłeś się z czymś, co przerosło twoje możliwości, załamałeś się i odtąd gardziłeś sam sobą.

Teraz wszystko to minęło. Nawet jeśli dawny Walt Franklin był po trosze draniem i miał swoje wady, to po generalnym remoncie można je wyeliminować. Nie sądzisz?

Franklin uśmiechnął się krzywo; czuł się nieco wyczerpany, ale jednocześnie rozproszyły się ostatnie cienie zasnuwające jego umysł. Niełatwo przyszło mu zgodzić się na czyjąś pomoc, ale z chwilą gdy ją przyjął, od razu poczuł się lepiej.

— Dziękuję za kurację, doktorze — powiedział. — Nie sądzę, aby ci wielcy specjaliści mogli tu coś jeszcze dodać. Teraz już wiem, że moja wizyta u profesora Stevensa nie jest konieczna.

— Jestem tego samego zdania… ale i tak pojedziesz. A teraz spływaj stąd i pozwól mi wrócić do mego głównego zajęcia, to znaczy do oklejania plastrem skaleczeń od korali.

Franklin już w drzwiach odwrócił się i spytał z niepokojem:

— Byłbym zapomniał. Don chce, żebym z nim jutro popłynął łodzią podwodną. Nie masz nic przeciwko temu?

— Proszę bardzo. Don jest dużym chłopcem i może się tobą zaopiekować. Proszę tylko, żebyś się nie spóźnił na samolot jutro w południe.

Wychodząc z gabinetu doktora, który wraz z dwoma przyległymi pokojami nosił szumną nazwę Ośrodka Lekarskiego, Franklin nie miał żalu o to, że kazano mu wyjechać z wyspy. Spotkał się z większą troską i wyrozumiałością, niż miał prawo oczekiwać. Uczucie pewnej wrogości, jakim darzyli go mniej uprzywilejowani uczniowie, znikło bez śladu i może nawet lepiej będzie uciec na kilka dni od nieco krępującej atmosfery powszechnego współczucia, jaka go teraz otaczała. Szczególnie trudno było mu uwolnić się od pewnej sztywności, kiedy rozmawiał z Donem lub Indrą.

Przypomniał sobie jeszcze raz radę doktora Myersa i radosny skurcz serca przy słowach

“Ta szalona dziewczyna jest w tobie zakochana”. Jednocześnie uważał, że byłoby nieuczciwie, gdyby wykorzystał obecną sytuację; aby zrozumieć naprawdę, czym są dla siebie, muszą mieć czas do namysłu. Na pierwszy rzut oka podobne myśli mogły się wydać

zimnym wyrachowaniem, bo czyż człowiek zakochany rozważa kiedykolwiek wszystkie za i przeciw?

Franklin wiedział, jak na to odpowiedzieć. Doktor Myers słusznie powiedział, że nie może sobie teraz pozwolić na błąd. Lepiej zaczekać trochę i wyjaśnić rzecz do końca, niż ryzykować szczęście dwojga ludzi.

Słońce ledwie zdążyło ukazać się ponad rafami, kiedy Don Burley wyciągnął Franklina z łóżka. Stosunek Dona do niego uległ teraz trudnej do określenia zmianie. Don był wstrząśnięty i przygnębiony tym, co się zdarzyło, i usiłował na swój nieco gwałtowny sposób wyrazić sympatię i zrozumienie. Jednocześnie czuł się dotknięty w swojej miłości własnej; nawet teraz nie chciało mu się wierzyć, że Indra od początku interesowała się nie nim, lecz Franklinem, którego nigdy nie uważał za poważnego rywala. Nie żeby był zazdrosny o Franklina; zazdrość była dla niego uczuciem nie znanym. Martwiło go tylko odkrycie — jakiego prędzej czy później dokonuje większość mężczyzn — że nie zna kobiet tak dobrze, jak sądził.

Franklin spakował już swoje rzeczy i jego pokój wyglądał pusto i nieprzytulnie. Mimo że wyjeżdżał prawdopodobnie tylko na kilka dni, zbyt skromne były możliwości lokalowe, aby do jego powrotu pokój mógł stać pusty.

Franklin z filozoficzną rezygnacją pomyślał, że to wyłącznie jego wina.

Don śpieszył się, co nie było niczym niezwykłym, lecz miał przy tym minę spiskowca, jakby przygotował dla Franklina wielką niespodziankę i teraz niepokoił się jak dziecko, czy wszystko ułoży się po jego myśli. W każdej innej sytuacji Franklin oczekiwałby jakiegoś kawału, ale teraz chyba chodziło o coś innego. Do tego czasu zrósł się już ze swoją małą ćwiczebną łodzią podwodną w jeden organizm i teraz płynął według podawanego przez Dona kursu, wyczuwając jakimś szóstym zmysłem, że znajdują się gdzieś w trzydziestomilowym kanale pomiędzy Rafą Wistari a lądem. Z sobie tylko wiadomych powodów, których nie chciał wyjawić, Don wyłączył główny ekran hydrolokatora przed stanowiskiem pilota i Franklin sterował na ślepo. Don mógł obserwować otoczenie na drugim ekranie w tyle kabiny i Franklin musiał od czasu do czasu zwalczać pokusę obejrzenia się do tyłu. Ostatecznie był to uzasadniony element treningu; któregoś dnia może być zmuszony do prowadzenia łodzi oślepionej na skutek jakiejś awarii.

— Możesz się teraz wynurzyć — powiedział wreszcie Don. Starał się, aby jego słowa zabrzmiały niedbale, ale nie potrafił ukryć wzruszenia w głosie. Franklin opróżnił zbiorniki balastowe i nawet bez patrzenia na głębokościomierz poczuł, kiedy znaleźli się na powierzchni, gdyż łodzią zaczęło kołysać. Nie było to zbyt przyjemne i

miał nadzieję, że nie potrwa to długo.

Don rzucił jeszcze jedno spojrzenie na swój ekran i wskazał gestem na właz.

— Otwórz — powiedział. — Obejrzymy sobie krajobraz,

— Może nas zalać — zaprotestował Franklin. — Morze jest niespokojne.

— Jak staniemy we dwójkę w otworze, to wiele się nie naleje. Masz, włóż tę pelerynę. To uchroni wnętrze przed bryzgami.

Wszystko to wydawało się szaleństwem, ale widocznie Don wiedział, co robi. Pokrywa włazu odsunęła się i w górze zajaśniał mały, owalny skrawek nieba. Don pierwszy wspiął się na drabinkę; Franklin poszedł w jego ślady, mrużąc oczy dla ochrony przed wiatrem i bryzgami wody.

Tak, Don — wiedział, co robi. Nic dziwnego, że tak mu zależało na zrobieniu tej wycieczki przed odjazdem Franklina z wyspy. Na swój sposób Don okazał się znakomitym psychologiem i Franklin poczuł niewymowną wdzięczność dla niego, była to bowiem jednak z najpiękniejszych chwil w jego życiu. Raz tylko przeżywał coś podobnego, kiedy po raz pierwszy oglądał Ziemię w całej jej zapierającej dech piękności, płynącą na tle nieskończenie dalekich gwiazd. Widok, jaki miał teraz przed sobą, przepełnił jego serce podobną nabożną czcią, podobnym odczuciem, że jest świadkiem działania sił wszechświata.

Wieloryby szły na północ, a on był wśród nich. W nocy pierwsze sztuki musiały przejść przez Bramę Queenslandza w drodze do ciepłych mórz, gdzie młode mogły bezpiecznie przyjść na świat. Ze wszystkich stron otaczała go żywa flotylla, wytrwale i jakby bez wysiłku rozcinająca fale oceanu. Ogromne, ciemne ciała wyłaniały się z wody, by za chwilę zniknąć z powrotem, nie pozostawiając najmniejszej zmarszczki na powierzchni. Franklin był zbyt pochłonięty tym widokiem, aby troszczyć się o bezpieczeństwo, nawet wtedy, gdy jeden z potworów wynurzył się o niecałe czterdzieści stóp od łodzi. Rozległ się donośny świst, kiedy zwierzę opróżniło swoje płuca, i Franklin poczuł osłabiony na szczęście odległością odór stęchłego powietrza. Pochwycił też spojrzenie śmiesznie małego oka, które sprawiało wrażenie zagubionego w tej potwornej, niekształtnej głowie. Przez chwilę dwa ssaki — dwunóg, który wyszedł z morza, i czworonóg, który do niego powrócił — przyglądały się sobie ponad dzielącą je przepaścią ewolucji. Jak wieloryb widzi człowieka? Franklin zadał sobie to pytanie i zastanawiał się, czy można znaleźć na nie odpowiedź. Zaraz jednak gigantyczne cielsko zanurzyło się w głębiny, przez chwilę potężny ogon unosił się nad powierzchnią, zanim wody zwarły się, zapełniając nagle powstałą próżnię.

Daleki odgłos grzmotu sprawił, że Franklin spojrzał w stronę lądu.

O pół mili dalej olbrzymy baraszkowały wśród fal. Nagle z jakąś niesamowitą powolnością wyłonił się z morza dziwny kształt, nie kojarzący się z niczym, co widział na filmach lub fotografiach, i na moment zawisł w powietrzu, jak tancerz, który w skoku wydaje się przez ułamek sekundy nie podlegać prawom grawitacji. Potem z tym samym leniwym wdziękiem opadł na fale i dopiero po chwili rozległ się ogłuszający huk upadku.

Powolność tego potężnego wyskoku nadawała mu nierealny charakter, jak we śnie albo na zwolnionym filmie. Nic nie mogło lepiej unaocznić Franklinowi gigantycznych rozmiarów tych potworów, otaczających go niczym pływające wyspy. Nieco poniewczasie pomyślał o tym, co może się stać, jeśli któryś z wielorybów przepłynie pod łodzią albo przejawi zbytnią nią zainteresowanie…

— Nie ma powodów do obaw — uspokoił go Don. — One nas znają. Czasem tylko ocierają się o łódź, żeby uwolnić się od pasożytów, i wtedy są pewne kłopoty. Jeśli zaś chodzi o obawę zderzenia, to one znacznie lepiej od nas widzą, co się wokół nich dzieje.

Jakby dla zaprzeczenia tym słowom tuż obok łodzi wyłoniła się ociekająca wodą góra, opryskując ich od stóp do głów. Łódź zakołysała się szaleńczo i przez chwilę wyglądało na to, że przewrócą się do góry dnem. Kiedy niebezpieczny moment minął, Franklin uświadomił sobie, że może dosłownie sięgnąć ręką i dotknąć obrosłej pąklami głowy, unoszącej się na falach. Niekształtna paszcza otwarła się w potwornym ziewnięciu i setki fiszbinowych płyt zadrżały jak żaluzje na wietrze.

Na pewno przeraziłoby to Franklina, gdyby był sam, ale Don zdawał się całkowicie panować nad sytuacją. Wychylił się z otworu włazu i krzyknął w stronę niewidocznego ucha olbrzyma:

— Płyń, stara! Nie jesteśmy twoim malcem! Wielka paszcza z wiszącymi draperiami fiszbinów zatrzasnęła się, małe oko — dziwnie podobne do krowiego i pozornie niewiele większe — spojrzało na nich jakby z wyrzutem. Łódź podwodna zakołysała się ponownie i wieloryb znikł.

— Sam widzisz, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa — wyjaśnił Don. — To spokojne i dobre zwierzaki, chyba że są z młodymi. Jak każde bydło.

— No, nie wiem, czy podpłynąłbyś na taką odległość do któregoś z wielorybów uzębionych, na przykład do kaszalota.

— To zależy. Gdyby chodziło o starego odyńca, prawdziwego Moby Dicka, to wolałbym nie próbować. Podobnie z orkami. Mogłyby pomyśleć, że nadaję się do zjedzenia, chociaż dałoby się je odstraszyć syreną. Kiedyś znalazłem się pośrodku haremu, złożonego może z tuzina samic kaszalota, i damy nie miały nic przeciwko temu, mimo,

że niektóre z nich były z pociechami. Co dziwniejsze, pan władca również nie okazywał niepokoju. Widocznie orientował się, że nie jestem rywalem.

Don zamyślił się i po chwili powiedział:

— Był to jedyny wypadek, kiedy widziałem na własne oczy wieloryby uprawiające miłość. Było to coś zdumiewającego — poczułem się tak przytłoczony, że przez tydzień chodziłem z kompleksem niższości.

— Jak sądzisz, ile sztuk może być w tym stadzie? — spytał Franklin.

— Myślę, że koło setki. Aparaty przy bramie zanotowały to dokładnie. Można więc śmiało powiedzieć, że płynie tu wokół nas co najmniej pięć tysięcy ton znakomitego mięsa i tranu, wartości kilku milionów dolarów. Czy na samą myśl o tym nie robi ci się przyjemnie?

— Nie — odpowiedział Franklin. — I założę się, że dla ciebie to również nie ma żadnego znaczenia. Teraz już wiem, dlaczego tak lubisz tę pracę, i nie musisz zgrywać się przede mną.

Don nie próbował zaprzeczać. Stali obok siebie w ciasnym otworze włazu, nie czując słonych bryzgów na twarzach, złączeni wspólnymi myślami i uczuciami, a obok nich parły na północ najpotężniejsze zwierzęta, jakie kiedykolwiek żyły na Ziemi. I wtedy Franklin ostatecznie zrozumiał, że jego dalsze życie zostało wyraźnie określone. Nigdy nie przestanie — żałować tego, co utracił, ale okres daremnego żalu i ponurych rozmyślań miał już za sobą. Utracił bezmiar kosmosu, ale zdobył bezmiar oceanu.

To było więcej, niż człowiek mógł sobie wymarzyć.

XI

POUFNE PRZECHOWYWAĆ W ZAPIECZĘTOWANEJ KOPERCIE

W załączeniu przesyłam wynik badania lekarskiego Waltera Franklina, który z powodzeniem zakończył okres szkolenia i uzyskał stopień młodszego inspektora z najlepszym wynikiem w historii Ośrodka. Wobec skarg ze strony pewnych osobistości z kół rządowych oraz Biura Osobowego, sporządzam niniejsze streszczenie w języku dostępnym nawet dla najwyżej postawionych osobistości.

Pomimo wielu defektów osobowości, zdolności W. F. kwalifikują go do tej niewielkiej grupy osób, spośród których rekrutują się przyszli kierownicy wydziałów. Grupa ta jest tak rozpaczliwie nieliczna, że — jak to już wielokrotnie podkreślałem — samo istnienie państwa może być zagrożone, jeśli nie potrafimy jej rozszerzyć. Wypadek, który wyeliminował W. F. ze Służby Kosmicznej — gdzie niewątpliwie doszedłby do wysokich stanowisk — nie naruszył jego nieprzeciętnych zdolności, dając nam w ten sposób szansę, której nie wolno zmarnować. Jego przypadek wszedł do historii medycyny jako klasyczny przykład astrofobii, dając jednocześnie pole do popisu specjalistom od rehabilitacji. Od dawna zwrócono uwagę na analogie pomiędzy przestrzenią kosmiczną a oceanem i na fakt, że człowiek przystosowany do jednego z tych środowisk łatwiej adaptuje się w drugim. W tym jednak przypadku równie ważne były różnice między dwoma środowiskami, na przykład fakt, że ocean jest środowiskiem płynnym, w którym widoczność jest ograniczona do niewielu metrów, przywracał W. F. poczucie bezpieczeństwa, utracone w kosmosie.

To, że pod koniec okresu szkoleniowego usiłował popełnić samobójstwo, może na pierwszy rzut oka podważać trafność przyjętej metody leczenia, byłby to jednak fałszywy wniosek. Próba samobójstwa była wynikiem zbiegu niemożliwych do przewidzenia okoliczności (punkty 57–86 załączonego raportu) i w rezultacie — jak się to często zdarza — spowodowała przesilenie i poprawę stanu pacjenta. Sposób, w jaki W. F. usiłować popełnić samobójstwo, jest również bardzo znaczący i wskazuje, że prawidłowo wybraliśmy nowy zawód dla naszego

podopiecznego. Można kwestionować również stopień determinacji niedoszłego samobójcy; gdyby rzeczywiście chciał się zabić, wybrałby prostszy i mniej zawodny sposób.

Jestem przekonany, że teraz, kiedy pacjent odzyskał, jak się wydaje, równowagę w życiu emocjonalnym i nie wykazuje oznak poważniejszych zaburzeń, możemy nie obawiać się dalszych kłopotów. Przede wszystkim należy unikać mieszania się do jego spraw osobistych. Jego niezależność i oryginalność, chociaż nie w tak drastycznym stopniu jak dawniej, nadal stanowią istotną część jego osobowości i od nich głównie będzie zależał dalszy przebieg jego kariery.

Jedynie czas może wykazać, czy koszty i wysiłek zainwestowane w ten przypadek okażą się opłacalne ekonomicznie. Jednak nawet gdyby tak nie było, to ci, którzy nad nim pracowali, otrzymali już swoją najwyższą satysfakcję, odbudowując życie, które na pewno będzie społecznie użyteczne, a może okazać się bezcenne.

IAN K. STEVENS, Dyrektor Instytutu Psychiatrii Stosowanej Światowej Organizacji Zdrowia

CZĘŚĆ DRUGA — STRAŻNIK

XII

Inspektor Walter Franklin odbywał właśnie ceremonię comiesięcznego golenia, kiedy zadzwonił telefon alarmowy. Zawsze dziwiło go trochę, że mimo tylu lat badań biochemicy nie znaleźli jeszcze środka wykluczającego raz na zawsze napady złego humoru. Jednak nie trzeba być niewdzięcznym; trudno w to uwierzyć, ale zaledwie kilka pokoleń temu mężczyźni musieli golić się codziennie, używając do tego celu skomplikowanych, kosztownych i śmiercionośnych przyborów.

Franklin nie starł nawet warstwy piany z twarzy, kiedy usłyszał przenikliwy sygnał wideofonu. Wyskoczył z łazienki, przebiegł kuchnią i wpadł do hallu, zanim dzwonek zdążył zadzwonić po raz drugi. Nacisnął guzik odbioru i ekran rozjaśnił się, ukazując dobrze znaną, zaniepokojoną teraz twarz dyżurnego z Kwatery Głównej.

— Franklin, musisz natychmiast zgłosić się do pracy — powiedział zdyszany.

— Co się stało?

— Skarga z farmy. Płot jest gdzieś przerwany i jedno ze stad weszło w szkodę. Pożerają wiosenne zbiory i trzeba je jak najszybciej wygonić.

— To wszystko? — spytał Frank. — Będę w dokach za dziesięć minut.

Był to niewątpliwie wypadek nadzwyczajny, ale nie taki, który mógłby go naprawdę wyprowadzić z równowagi. Oczywiście kierownictwo farmy podniesie krzyk, że ich zbiory zostały spustoszone. Potajemnie był jednak po stronie wielorybów; jeśli udało im się wedrzeć na wielkie prerie planktonu, tym lepiej dla nich.

— Co się stało? — spytała Indra wychodząc z sypialni. Jej długie, ciemne włosy, spływające falą na ramiona, wyglądały pięknie nawet zaraz po przebudzeniu. Kiedy Frank wyjaśnił jej, o co chodzi, zachmurzyła się.

— Sprawa jest poważniejsza, niż myślisz — powiedziała. — Musisz działać szybko, bo inaczej wieloryby ci się pochorują. Zaledwie dwa tygodnie temu przeprowadzono wiosenną wymianę wód, największą z dotychczasowych. Twoi nienasyceni pupilkowie pochorują się z przeżarcia.

Franklin musiał przyznać jej rację. Uprawa planktonu nie była jego specjalnością i należała do odrębnej sekcji Departamentu Morskiego. Wiedział jednak o niej sporo, gdyż była drugą i do pewnego stopnia konkurencyjną metodą uzyskiwania pożywienia z oceanu. Zwolennicy planktonu z niemałą dozą słuszności twierdzili, że jego uprawa jest wydajniejsza niż hodowla, gdyż wieloryby

odżywiając się planktonem, przedłużają w ten sposób łańcuch pokarmowy. Po co tracić dziesięć funtów planktonu, twierdzili, na uzyskanie jednego funta mięsa wielorybiego, kiedy można wykorzystać bezpośrednio sam plankton?

Spór toczył się co najmniej od dwudziestu lat i jak na razie żadna ze stron nie mogła pochwalić się zwycięstwem. Chwilami dyskusja przybierała ostre formy, powtarzając jakby na odpowiednio większą skalę i w subtelniejszej formie rywalizację pomiędzy rolnikami a królami stad z okresu zagospodarowywania amerykańskiego Zachodu. Na nieszczęście jednak dla współczesnych miłośników legendy, rywalizujące departamenty Światowej Organizacji do Spraw Wyżywienia walczyły za pomocą oficjalnych danych statystycznych, wykorzystując skuteczne, choć nieefektowne oręże biurokracji. Nie było skradających się rewolwerowców i jeśli gdzieś został przerwany płot, to przyczyną tego był nie nocny sabotaż, lecz czysto techniczna awaria.

W morzu, podobnie, jak na lądzie, wszelkie życie zależy od roślinności. Z kolei zaś ilość roślinności zależy od składników mineralnych środowiska — związków azotu, fosforu i wielu innych. W oceanie istnieje tendencja do gromadzenia się tych życiodajnych składników w głębinach, gdzie nie dociera światło, a zatem nie może rozwijać się roślinność. Górna, kilkudziesięciometrowa warstwa wody jest źródłem wszelkiego życia w oceanie; wszystko, co pływa poniżej tego poziomu, korzysta z drugiej albo trzeciej ręki z pożywienia wytworzonego poi powierzchnią.

Każdej wiosny, kiedy ciepło zaczyna przesączać się w głąb. oceanu, jego wody odpowiadają na zew niewidocznego słońca. Niezliczone biliony ton wody wznoszą się ku powierzchni, niosąc ze sobą cenne sole i minerały. Zasilone w ten sposób nawozem od spodu i słońcem z góry pływające rośliny rozmnażają się w sposób wybuchowy, a w ślad za nimi idą żywiące się planktonem zwierzęta. W ten sposób na łąki oceanu przychodzi wiosna.

Ten niezmienny cykl życia powtarzał się miliardy razy, zanim na świecie pojawił się człowiek. A teraz człowiek go zmienił. Nie wystarczało mu nawożenie, jakie zapewniła morzom przyroda, opuścił wiec na dno w wybranych strategicznych punktach atomowe generatory. Wytwarzane przez nie ciepło dawało początek potężnym podwodnym fontannom, transportującym bezcenne minerały ku życiodajnemu słońcu. To sztuczne przyśpieszenie naturalnego procesu wymiany wód stało się jednym z najbardziej nieoczekiwanych i najbardziej owocnych zastosowań energii jądrowej. Już to samo wystarczało, by zwiększyć ilość pożywienia uzyskiwanego z mórz o prawie dziesięć procent.

A tymczasem wieloryby pracowały pełną parą, aby przywrócić

naruszoną przez człowieka równowagę.

Zapędzenie ich do zagrody będzie wymagało połączonej akcji z powietrza i z wody. Łodzie podwodne były zbyt powolne i było ich za mało, aby mogły dać sobie radę bez pomocy. Trzy z nich — włącznie z jednoosobową łodzią zwiadowczą Franklina — przetransportowano na miejsce samolotem, który spuści je na wodę, a następnie będzie śledzić ruchy wielorybów z powietrza, w wypadku gdyby rozproszyły się na obszarze zbyt dużym dla urządzeń hydrolokacyjnych. Dwa inne samoloty spróbują przepłoszyć wieloryby za pomocą zrzucanych do wody nadajników dźwiękowych, mimo że jak na razie technika ta nie sprawdziła się w praktyce i nie wiązano z nią większych nadziei.

W dwadzieścia minut od alarmu Franklin obserwował z pokładu samolotu uciekające do tyłu olbrzymie zakłady przetwórcze w Pearl Harbor. Nadal nie lubił latać i w miarę możności unikał samolotów, ale nie odczuwał już lęku i mógł spokojnie wyglądać przez okno.

O sto mil na wschód od Hawajów morze zmieniło nagle kolor z błękitnego na złoty. Falujące pola, pokryte pierwszym tegorocznym plonem, rozciągały się aż po horyzont i zdawały się nie mieć końca. Tu i ówdzie niczym zagadkowe zabawki dzieci-olbrzymów widać było długie na milę pływające kombajny, a obok nich mniejsze i zwrotniejsze jednostki z urządzeniami do wstępnego przerobu planktonu. Był to widok imponujący nawet w tych czasach gigantycznych osiągnięć W dziedzinie budowy maszyn, ale Franklin nie czuł żadnego wzruszenia. Nie miał uczuciowego stosunku do miliarda ton sprasowanych glonów i skorupiaków, chociaż wiedział, że zapewniają one pożywienia czwartej części ludzkości.

— Przelatujemy nad Korytarzem Hawajskim — odezwał się głos pilota z głośnika. — Za chwilę powinniśmy zobaczyć wyrwę w barierze.

— Widzę je! — zawołał jeden z inspektorów, przywierając do szyby i wskazując na morze. — Ale mają używanie!

Był to widok, który nieszczęsnych farmerów mógł przyprawić o atak serca. Franklinowi przypomniało się stare wyrażenie „krowy weszły w szkodę”. Pasowało ono jak ulał do tego, co się tu działo, i bez wątpienia pasterze będą musieli nieźle się napracować, żeby spędzić te „krowy” z pola. W dole, na nieskończonej żółtej połaci morza widać było mnóstwo wąskich ścieżynek, znaczących przejście żarłocznych gór mięsa, powoli i systematycznie torujących sobie drogę wśród masy planktonu. Za każdym olbrzymem pozostawał pas błękitnej, nagiej wody. Tak musiał wyglądać wielorybi raj, zadaniem zaś Franklina było jak najszybsze wypędzenie z niego intruzów.

Trzej inspektorzy po krótkiej odprawie radiowej opuścili kabinę i zeszli na dolny pokład samolotu, gdzie ich trzy małe łodzie podwodne były gotowe do opuszczenia na wodę. Nie było z. tym żadnych

trudności; znacznie bardziej kłopotliwe może być wciągnięcie ich z powrotem na pokład i jeśli ocean będzie spokojny, łodzie będą musiały wracać drogą morską.

Siedzenie w łodzi podwodnej, która leci samolotem, było dość niezwykłe, ale Franklin nie miał czasu na takie myśli. Zaledwie zakończył niezbędne przygotowania, rozległ się głos pilota:

— Wysokość trzydzieści stóp. Otwieram włazy. Łódź numer jeden — przygotować się do wodowania.

Franklin miał numer drugi; wielki samolot transportowy utrzymywał kurs tak pewnie, a dźwig opuścił go tak łagodnie, że nie odczuł żadnego wstrząsu, kiedy łódź znalazła się w swoim żywiole. Teraz trzy łodzie ruszyły wachlarzem na wyznaczone trasy, niczym trzy zmechanizowane psy owczarki, zaganiające stado.

Od razu na wstępie Franklin uświadomił sobie, że sprawa nie będzie tak prosta, jak się to mogło wydawać. Łódź podwodna płynęła w gęstej zupie, która ograniczała widoczność do zera i poważnie zakłócała działanie urządzeń hydrolokacyjnych. Co gorsza, również silniki strugowodne pracowały nie najlepiej, gdyż ich wirniki z trudem przeżuwały ten gąszcz. Nie mógł dopuścić do unieruchomienia silników; najlepiej byłoby zejść poniżej warstwy planktonu i nie wynurzać się, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

Na głębokości trzystu stóp panował mrok, ale za to można było rozwinąć większą szybkość. Franklin zastanawiał się, czy objadające się nad jego głową wieloryby wiedzą o jego przybyciu i o tym, że ich idylla dobiega końca. Na ekranie hydrolokatora widział ich srebrne echa przesuwające się powoli na tle lustrzanej granicy między wodą a powietrzem, nieprzenikalnej dla fal dźwiękowych. Aż dziwne było, jak podobnie wyglądała powierzchnia wody od dołu dla nie uzbrojonego oka i dla dźwiękowych zmysłów hydrolokatora.

Charakterystyczne, silne małe odbicia dwóch pozostałych łodzi okrążały rozproszone stado z boków. Franklin rzucił okiem na zegarek; za niecałą minutę rozpocznie się akcja. Włączył zewnętrzne mikrofony i wsłuchiwał się w odgłosy morza.

Jak mogło komukolwiek przyjść do głowy, że ocean jest światem milczenia! Nawet ludzkie ucho potrafiło rozróżnić wiele z jego dźwięków — szczęk chitynowych kleszczy, jęk wielkich głazów poruszanych falą, wysoki pisk delfinów, charakterystyczne trzaśniecie ogona rekina, gwałtownie zmieniającego kierunek. Ale wszystko to są dźwięki mieszczące się w zasięgu słyszalności; aby posłuchać prawdziwej muzyki morza, należy zanurzyć się głębiej i wyjść poza zasięg słyszalności. Dzięki istniejącej w łodzi aparaturze do przekształcania dźwięku była to sprawa prosta; Frank mógł słuchać dźwięków od częstotliwości prawie miliona drgań na sekundę do powolnych niczym zamykanie starodawnej zardzewiałej bramy.

Nastawił odbiornik na najszersze pasmo i natychmiast jego umysł zaczął interpretować rozliczne odgłosy otaczającego go wodnego świata, które wypełniły kabinę łodzi. Dźwięki wywołane obecnością człowieka odrzucił od razu; szum jego własnych silników i dwóch pozostałych łodzi był eliminowany przez specjalne filtry, ale słyszał wyraźnie pisk trzech hydrolokatorów (jego własny niemal zagłuszał dwa pozostałe) oraz słabe, dalekie biip… biip… biip… Korytarza Hawajskiego. Ogrodzone z obu stron przejście dla wielorybów przez tereny oceaniczne form wysyłało swoje impulsy w pięciosekundowych odstępach i chociaż najbliższa część bariery dźwiękowej nie działała, słychać było wyraźnie sygnały z dalszych części. Dźwięki były dziwnie zniekształcone i tworzyły słabe ciągłe echo, gdyż każdemu impulsowi towarzyszyły opóźnione fale z coraz to dalszych punktów bariery. Dźwięk ginął powtarzany w oddali jak grzmot przetaczający się w wiosennym niebie.

Od tego tła jasno i wyraźnie odcinały się głosy przyrody. Ze wszystkich stron, bez chwili przerwy, rozlegały się przenikliwe piski i sapnięcia wielorybów, rozmawiających ze sobą albo po prostu dających upust swojej radości. Franklin rozróżniał głosy samic i samców, ale nie należał do tych specjalistów, którzy potrafią rozpoznawać poszczególne osobniki, a nawet rozumieją znaczenie wielu dźwięków.

Nie ma chyba bardziej niesamowitych odgłosów na świecie niż wrzask stada wielorybów, które się mija w głębinach. Wystarczyło zamknąć na chwilę oczy, aby wyobrazić sobie, że jest się wędrowcem zabłąkanym w lesie pełnym demonów. Hektor Berlioz słysząc ten upiorny koncert, zrozumiałby, że przyroda wyprzedziła jego sabat czarownic.

Jednak niesamowitość wiąże się tylko z nieznanym, dla Franklina zaś dźwięki te stały się częścią jego życia. Nie straszyły go już po nocach, jak to się zdarzało na początku. Teraz budziły w nim one uczucie sympatii i rozbawienia, a także pewnego zdziwienia, że tak ogromne zwierzęta mają tak cienkie głosy.

Były także dźwięki budzące stare wspomnienie, które nie sprawiało już bólu, ale napełniało serce smutkiem. W pamięci Franklina odżywały wtedy długie godziny spędzone w pomieszczeniach nawigacyjnych statków i stacji kosmicznych, kiedy to automatyczne monitory przeczesywały przestrzeń w poszukiwaniu sygnałów radiowych. Wówczas także rozlegały się czasem, niby głosy nocnych upiorów, sygnały dalekich statków i radiolatarni lub istne ulewy zagęszczonej informacji, płynące z kolonii do Matki Ziemi. I zawsze słyszało się nieustający szept gwiazd i galaktyk, wypełniających cały kosmos swoim promieniowaniem.

Wskazówka zegara doszła do zera i nie zdążyła jeszcze minąć

pierwszej sekundy, kiedy morze wybuchło piekielną kakofonią dźwięków — pulsującym wyciem, które zmusiło Franklina do natychmiastowego przyciszenia głośników. Oznaczało to, że zrzucono miny dźwiękowe, i Franklin współczuł wielorybom, które przypadkiem znalazły się w ich pobliżu. Prawie natychmiast sytuacja na ekranie się zmieniła, gdyż przerażone zwierzęta zaczęły uciekać w panice na zachód. Franklin śledził ich ruchy z napięciem, gotów zagonić każdą sztukę, która mogłaby nie trafić do przejścia w barierze i zawrócić na farmę.

Widocznie ulepszono generatory dźwięku od czasów ostatniej tego rodzaju akcji, pomyślał Franklin, albo wieloryby stały się posłuszniejsze. Zaledwie kilku maruderów usiłowało wymknąć się z obławy i nie więcej niż dziesięć minut wystarczyło, aby za pomocą syreny łodzi podwodnej zapędzić je z powrotem. W pół godziny po zrzuceniu min całe stado zostało zagnane przez niewidoczną przerwę w barierze i kotłowało się w wąskim korytarzu. Łodzie miały teraz za zadanie czekać, aż technicy zakończą naprawę bariery dźwiękowej.

Trudno było nazwać to wielkim zwycięstwem. Zwykła codzienna praca, mała potyczka w nigdy nie kończącej się kampanii. Podniecenie wywołane pogonią wygasło i Franklin zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim samolot transportowy wyciągnie ich z wody i dostarczy z powrotem na Hawaje. Ostatecznie miał to być dzień wolny od pracy i obiecał Peterowi, że zabierze go na plażę Waikiki, gdzie rozpoczną naukę pływania.

Dobry inspektor, nawet kiedy nie ma żadnego zadania, nigdy nie traci z pola widzenia ekranu hydrolokatora. Zupełnie podświadomie Franklin co trzy minuty przełączał aparaturę na daleki zasięg i kierował nadajnik w stronę dna, aby mieć pojęcie, co się wokół niego dzieje. Wiedział, że jego dwaj koledzy robią to samo i tak samo jak on zastanawiają się, kiedy będą mogli wrócić…

W pewnym momencie na granicy zasięgu hydrolokatora, w odległości dziesięciu mil i prawie o dwie mile głębiej, na ekran wpełzło jakieś słabe echo. Franklin spojrzał na nie z umiarkowanym zainteresowaniem, lecz nagle na jego twarzy odmalował się wyraz zdumienia. To musiał być przedmiot niezwykle wielki, aby dać echo z tej odległości — przedmiot o rozmiarach wieloryba, tylko że wieloryb nie mógł płynąć na tej głębokości. Spotykano wprawdzie kaszaloty na głębokości mili, ale ten był zbyt głęboko nawet dla tych wspaniałych nurków. Rekin głębinowy? W każdym razie nie zawadzi przyjrzeć mu się z bliska.

Franklin nastawił nadajnik na odległe echo i powiększył obraz tak, jak tylko to było możliwe. Odległość była zbyt wielka, żeby rozróżnić szczegóły, ale nie ulegało wątpliwości, że jest to coś cienkiego, długiego, płynącego z dużą szybkością. Franklin wpatrywał

się w ekran przez chwilę, po czym wezwał przez radio kolegów. Instrukcje zalecały unikanie zbędnych rozmów, ale tajemniczy przedmiot mocno zaintrygował Franklina.

— Tu Dwójka — powiedział. — Mam duże echo na kierunku 185 stopni, odległość 9,7 mili, głębokość 1,8 mili. Wygląda na łódź podwodną. Nie wiecie, czy ktoś jeszcze tutaj działa?

— Jedynka do Dwójki — przyszła pierwsza odpowiedź. — Przedmiot jest poza moim zasięgiem. To może być łódź Departamentu Nauki. Jakiej wielkości jest to echo?

— Około stu stóp długości. Może więcej. Szybkość dziesięć węzłów.

— Tu Trójka. W pobliżu nie ma żadnych łodzi podwodnych. „Nautilus IV" jest w remoncie, a „Cousteau" popłynął na Atlantyk. To musi być jakaś ryba.

— Nie ma ryb tej wielkości. Proszę o pozwolenie udania się na zwiady. Myślę, że powinniśmy to sprawdzić.

— Zezwalam — odpowiedziała Jedynka. — My tu będziemy pilnować bariery. Utrzymuj kontakt.

Franklin zwrócił łódź na południe i włączył maksymalną szybkość. Echo, które ścigał, było już na niedostępnej dla niego głębokości, ale zawsze istniała szansa, że wypłynie ku powierzchni. Nawet gdyby tak nie było, to w każdym razie będzie mógł uzyskać znacznie wyraźniejszy obraz.

Przebył zaledwie dwie mile, kiedy zdał sobie sprawę, że dalsza pogoń jest beznadziejna. Nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości; zwierzyna usłyszała szum silników albo fale hydrolokatora i z pełną szybkością schodziła w głąb oceanu. Udało mu się zbliżyć na odległość czterech mil i sygnał rozpłynął się w chaosie fal odbitych od nierówności dna. Ostatni rzut okna na mieszkańca głębin potwierdził poprzednie wrażenie co do jego ogromnej długości i stosunkowo niewielkiej grubości, ale szczegóły budowy ciała pozostały nadal nieuchwytne.

— Uciekł ci — powiedziała Jedynka. — Spodziewałem się tego.

— Więc ty wiesz, co to jest?

— Nie wiem i nikt nie wie. I jeśli chcesz posłuchać mojej rady, nie wspominaj o tym dziennikarzom. Jeśli to zrobisz, będziesz całe życie żałował.

Franklin ze zdumieniem wpatrywał się w mały głośnik, z którego przed chwilą padły te słowa. Więc oni nie żartowali, jak zawsze myślał. Przypomniał sobie opowieści zasłyszane przy barze na Wyspie Czapli i wszędzie tam, gdzie spotykali się po pracy inspektorzy. Śmiał się z nich wtedy, ale teraz już wie, że te opowieści były prawdziwe.

To ulotne echo, wymykające się pośpiesznie z zasięgu jego hydrolokatora, nie jest niczym innym jak słynnym wężem morskim.

Indra, która o ile pozwalały jej obowiązki domowe, nadal pracowała naukowo w hawajskim akwarium, nie była tak poruszona, jak tego oczekiwał jej mąż. Prawdę mówiąc, jej pierwsza uwaga podziałała na niego jak kubeł zimnej wody.

— Jaki wąż morski? — spytała. — Wiesz przecież, że są przynajmniej trzy zupełnie różne gatunki.

— Wcale nie wiem.

— Więc po pierwsze może to być ogromny węgorz. Widziano go parę razy, ale nigdy nie udało się go zidentyfikować, mimo że około roku 1940 schwytano jego larwy. Wiadomo, że dochodzi do długości sześćdziesięciu stóp, co większości ludzi wystarcza. Ale król śledziowy (*regalecus glesne*) to jest dopiero coś. Ma pysk konia, grzebień z jasnoczerwonych piór niczym pióropusz indiańskiego wojownika i wężokształtne ciało dochodzące do siedemdziesięciu stóp długości. Skoro wiemy, że takie zwierzę istnieje, to czy sądzisz, że może nas jeszcze zdziwić coś, co żyje w morzu?

— A jaki jest ten trzeci gatunek?

— To jest ten, którego nie udało nam się zidentyfikować ani nawet opisać. Nazywamy go po prostu X, ponieważ ludzie wciąż jeszcze wyśmiewają się z opowieści o wężach morskich. Wiemy o nim tylko, że istnieje, że jest niezwykle przebiegły i mieszka w głębinach. Pewnego dnia złapiemy go, ale najprawdopodobniej będzie to dziełem przypadku.

Franklin przez resztę wieczoru pogrążony był w zadumie. Nie mógł pogodzić się z myślą, że minio wszystkich tych przyrządów, za pomocą których człowiek bada morze, mimo ciągłego patrolowania głębin, ocean wciąż jeszcze ma swoje tajemnice i będzie je miał jeszcze przez stulecia. I wiedział, że chociaż nigdy go już nie zobaczy, wspomnienie tego dalekiego, tajemniczego kształtu znikającego w otchłani będzie go prześladowało do końca życia.

XIII

Istnieje wiele fałszywych wyobrażeń na temat uroków życia inspektorów. Franklin nigdy ich nie podzielał i dzięki temu nie był zdziwiony ani rozczarowany faktem, że tak wiele czasu spędza na długich i nie obfitujących w wydarzenia patrolach. Lubił je nawet, gdyż dawały mu czas na rozmyślania — właśnie podczas takich samotnych wypraw, w samym sercu żywego morza, pozbywał się resztek lęków i leczył swoje duchowe rany.

Życie inspektora uzależnione było od dorocznej wędrówki wielorybów, ale trasy wędrówek też ulegały ciągłym zmianom w miarę tego, jak ograbzano i użyźniano coraz to nowe połacie mórz i oceanów. Zdarzało się, że spędzał lato nawigując ostrożnie wśród lodów polarnych, zimą zaś patrolował wody równikowe. Czasem jego bazą stanowiły stacje na wybrzeżu, a czasem wielkie statki jak „Rorqual", „Pequod" czy „Cachelot". Jednego roku zajmował się wyłącznie wielkimi wielorybami fiszbinowymi, które dosłownie odcedzają swoje pożywienie z wody, płynąc z otwartą paszczą przez gęstą planktonową zupę, a w następnym roku musiał mieć do czynienia z ich jakże odmiennymi kuzynami, drapieżnymi, uzębionymi waleniami, których najważniejszymi przedstawicielami są kaszaloty. Te nie były łagodnymi roślinożercarni, ale ścigały i toczyły walki ze swoimi równie potwornymi ofiarami w mrocznych głębinach, gdzie nie dochodzi już żaden promień słońca.

Zdarzały się tygodnie, a nawet całe miesiące, w których inspektor nie widział wieloryba. Sekcja miała ogromne zapotrzebowanie na ludzi i sprzęt, i wieloryby nie były jej jedynym zmartwieniem. Wyglądało na to, że każdy, kto ma do czynienia z morzem, prędzej czy później zwraca się o pomoc do Sekcji Wielorybów. Czasem były to sprawy tragiczne; kilka razy do roku łodzie podwodne wyruszały na beznadziejne najczęściej poszukiwania zaginionych żeglarzy lub badaczy.

Z drugiej strony kursował wśród inspektorów dowcip o senatorze, który zażądał kiedyś, aby oddział w Sydney odnalazł jego sztuczną szczękę, utraconą podczas przybrzeżnej wycieczki. Podobno bardzo szybko otrzymał przesyłkę, zawierającą szczękę rekina i list stwierdzający, że była to jedyna szczęka, jaką znaleziono po intensywnych poszukiwaniach we wskazanym miejscu.

Niektóre z zadań przydzielanych inspektorom otaczał szczególny urok i nigdy nie brakowało na nie chętnych. Bardzo mały i nieliczny wydział Sekcji Rybołówstwa zajmował się na przykład połowem pereł i w okresie mniejszego natężenia pracy delegowano tam czasem inspektorów do pomocy.

Franklin otrzymał kiedyś takie skierowanie do Zatoki Perskiej. Była to prosta praca, przypominająca nieco uprawę ogródka, i ponieważ nie wymagała schodzenia na głębokości większe niż dwieście stóp, używano zwykłych aparatów ze sprężonym powietrzem oraz torped. Wybrano najkorzystniejsze miejsca do rozwoju perłopławów i obsadzono je wyselekcjonowanymi małżami. Głównym zadaniem była teraz ochrona podwodnych kolonii przed ich naturalnymi wrogami — zwłaszcza rozgwiazdami i płaszczkami. Kiedy perłopławy osiągały odpowiednie rozmiary, zbierano je i wyciągano na powierzchnię, aby wydobyć z nich perły — jedna z nielicznych prac, których nie potrafiono zmechanizować.

Wszystkie znalezione perły stanowiły oczywiście własność Sekcji Rybołówstwa, ale łatwo dawało się zauważyć, że żony inspektorów delegowanych do tej pracy wkrótce paradowały w kolczykach lub naszyjnikach z pereł. Indra nie była wyjątkiem.

Naszyjnik otrzymała z okazji narodzin Petera. Po przyjściu na świat syna Franklinowi wydawało się, że dawny rozdział jego życia został ostatecznie zamknięty. W rzeczywistości nie było to w pełni możliwe; Franklin nie mógł — i wcale nie chciał — zapomnieć, że w świecie odległym teraz jak najdalsza z gwiazd Irena urodziła mu Roya i Ruperta. Jednak ból nieuniknionej rozłąki wygasł, gdyż czas leczy wszystkie rany.

Franklin był zadowolony — chociaż dawniej cierpiał bardzo z tego powodu — że nie można rozmawiać z mieszkańcami Marsa, podobnie zresztą jak ze wszystkimi znajdującymi się poza orbitą Księżyca. Sześciominutowe opóźnienie, z jakim sygnał wędruje w obie strony nawet w okresie największego zbliżenia planet, wykluczało wymianę zdań i dzięki temu nie mógł zadręczać się rozmowami przez wideotelefon, w czasie których czułby żywą obecność Ireny i chłopców. Za to co roku na Boże Narodzenie wymieniali taśmy, na których mówili o wydarzeniach ubiegłego roku. Oprócz rzadkich listów był to jedyny kontakt, jaki obecnie utrzymywali.

Trudno było powiedzieć, jak znosiła utratę męża Irena. Synowie byli na pewno pociechą. Franklin życzył jej, aby dla dobra własnego i chłopców wyszła powtórnie za mąż. Nigdy jednak nie potrafił się zdobyć na to, żeby jej to zasugerować, nawet po tym, kiedy sam się ożenił.

Czy żywiła niechęć do Indry? To również trudno było powiedzieć. Zapewne odrobina zazdrości była tu nieunikniona; również Indra przy okazji sprzeczek małżeńskich dawała poznać, że czasem boli ją to, iż jest drugą kobietą w życiu Franklina.

Podobne sprzeczki zdarzały, się rzadko, a po urodzeniu dziecka stały się jeszcze rzadsze. Para małżeńska znajduje się w stanie równowagi chwiejnej, dopóki przyjście na świat dziecka nie stworzy

solidnej, trójkątnej podstawy.

Franklin nie spodziewał się, że będzie jeszcze kiedyś tak szczęśliwy. Rodzina zapewniła mu stabilność uczuciową, której tak bardzo potrzebował, zaś ciekawa praca była jednocześnie przygodą, której przedtem szukał w kosmosie. Ocean krył w sobie więcej cudów niż cała przestrzeń międzyplanetarna, nic więc dziwnego, że coraz rzadziej odczuwał tęsknotę za pięknem błękitnego sierpa Ziemi, za srebrną mgłą Drogi Mlecznej lub za pełnym napięcia lądowaniem na satelitach Marsa na zakończenie długiej podróży.

Życie i myśli Franklina kształtował teraz ocean i tak być musiało, jeśli miał poznać jego tajemnice i stać się jego panem. Czuł się związany ze wszystkimi stworzeniami, które zamieszkiwały głębiny, nawet z tymi, które miał obowiązek zabijać. Nade wszystko jednak odczuwał sympatią i — czego się nawet wstydził — niemal mistyczny szacunek dla tych olbrzymów morza, których losami rządził.

Był przekonany, że jest to uczucie znane większości inspektorów, chociaż w swoich rozmowach nigdy o tym nie wspominali. Czasem tylko oskarżali się żartobliwie o zwielorybienie, co miało znaczyć, że w określonej sytuacji ktoś zareagował bardziej jak wieloryb niż jak człowiek. Bez takiego utożsamienia się z podopiecznymi żaden inspektor nie mógł osiągnąć naprawdę dobrych wyników w pracy, ale czasami dochodziło do przesady. Klasycznym przykładem — i jak wszyscy przysięgali autentycznym — był starszy inspektor, który co dziesięć minut wypływał swoją łodzią podwodną na powierzchnię, żeby się nie udusić.

Inspektorzy byli powszechnie uważani i sami podzielali tę opinię — za elitę światowej armii pracowników morza i dlatego też wzywano ich zawsze, kiedy należało wykonać jakieś niezwykłe zadanie, któremu nikt inny nie potrafił podołać. Niektóre z tych zadań oznaczały pewną śmierć i wówczas tłumaczyło się niedoszłemu klientowi, że musi znaleźć inny sposób na swoje kłopoty.

Zdarzyło się jednak, że nie było innego sposobu, i wówczas trzeba było podjąć ryzyko. W Sekcji pamiętano dobrze, jak w roku 2022 główny inspektor Kircher wszedł do olbrzymiego rurociągu, doprowadzającego wodę do elektrowni atomowej w Ameryce Południowej. Obluzował się tam jeden z rusztów filtru i tylko płetwonurek mógł naprawić uszkodzenie bez zatrzymywania elektrowni. Kircher, uwiązany do liny, aby go nie wciągnął prąd, wśród ryku wody zniknął w mroku. Zadanie wykonał i wrócił bezpiecznie, ale już nigdy w życiu nie zszedł pod wodę.

Franklin jak na razie otrzymywał zadania dość konwencjonalne; nigdy nie stanął wobec czegoś tak piekielnego jak misja Kirchera i nie bardzo wiedział, jak by się w podobnej sytuacji zachował. Oczywiście zawsze miał prawo odmówić wykonania zadania związanego z

większym niż normalne ryzykiem; jego umowa o pracę stwierdzała to wyraźnie. Ale ten „paragraf samobójczy”, jak go ironicznie nazywano, pozostawał czystą formalnością. Inspektor, który chciałby się nań powołać, naraziłby się nie tyle na niezadowolenie przełożonych, co na kpiny kolegów.

Franklin czekał prawie pięć lat na pierwsze takie zadanie wykraczające poza normalne obowiązki służbowe — pięć wypełnionych pracą, a jednak z perspektywy czasu spokojnych lat. Czekał długo, ale można powiedzieć, że się doczekał.

XIV

Główny księgowy położył swoje zestawienia i tabele na biurku i sponad swoich staromodnych okularów spojrzał okiem zwycięzcy na nieliczne grono słuchaczy.

— Sami więc widzicie, że nie ma żadnych wątpliwości — powiedział. — W tej okolicy — tu wskazał palcem punkt na mapie — liczba śmiertelnych wypadków wśród kaszalotów. jest nieproporcjonalnie wysoka. Rachunek prawdopodobieństwa wyklucza tutaj działanie przypadku. W ciągu ostatnich pięciu lat nie mniej niż dziewięć wielorybów zginęło na tym stosunkowo niewielkim odcinku trasy.

Jak wiadomo, kaszaloty nie mają w przyrodzie przeciwników, z wyjątkiem orek, które czasem atakują samice z młodymi. Jesteśmy; jednak prawie pewni, że na tym terenie od lat nie notowano stada orek, zaś wśród ofiar były; co najmniej trzy dorosłe samce. Według nas istnieje tylko jedno wyjaśnienie.

Dno morskie leży tu na głębokości niecałych czterech tysięcy stóp, co oznacza, że kaszalot może zejść do dna i zostaje mu jeszcze kilka minut na polowanie, zanim będzie musiał wypłynąć na powierzchnię. Od czasu, kiedy ustalono, że kaszaloty żywią się prawie wyłącznie głowonogami, uczeni zastanawiali się, czy możliwe jest, aby dziesięciornica zwyciężyła w pojedynku z kaszalotem. Na ogół uważa się, że jest to niemożliwe, gdyż wieloryb jest znacznie większy i silniejszy.

Musimy jednak pamiętać, że do dzisiaj nikt nie wie na pewno, do jakich rozmiarów dorastają największe dziesięciornice; Wydział Biologii poinformował mnie, że znajdowano ramiona *Bathyteutis Maximus* długości osiemdziesięciu stóp. Poza tym na tej głębokości wystarczy, aby dziesięciornica przytrzymała wieloryba przez kilka minut. W ten sposób zrodziła się przed kilku laty hipoteza, że we wskazanej okolicy żyje przynajmniej jeden olbrzymi głowonóg. Nazwaliśmy go Percy.

Aż do ostatniego tygodnia Percy był tylko hipotezą. Ale jak wiecie, w zeszłym tygodniu znaleziono martwego wieloryba numer S 87693, z charakterystycznymi ranami od dzioba i przyssawek głowonoga. Chciałbym, żebyście obejrzeli sobie te fotografie.

Tu główny księgowy wyjął z teczki i rozdał kilka lśniących, dużych fotografii. Każda z nich pokazywała fragment ciała wieloryba poszarpanego i poznaczonego idealnie okrągłymi śladami. Jednocześnie sfotografowano linijkę, aby dać pojęcie o rozmiarach ran.

— Są tu ślady przyssawek o średnicy dochodzącej do sześciu cali.

Teraz możemy już chyba uznać, że Percy nie jest niczyim wymysłem. Powstaje pytanie, co z nim począć. Ponosimy przez niego straty przekraczające dwadzieścia tysięcy dolarów w skali rocznej. Chętnie wysłuchamy wszystkich propozycji w tej sprawie.

Zapanowało milczenie, w czasie którego zgromadzeni przyglądali się fotografiom. Po chwili odezwał się dyrektor:

— Zaprosiłem tutaj Waltera Franklina, aby wysłuchać jego opinii. Co ty na to, Walterze? Czy potrafisz dać radę Parcy'emu?

— Tak, pod warunkiem, że uda mi się go odnaleźć, ale dno w tamtym miejscu jest bardzo nierówne i poszukiwania mogą być bardzo długie. Oczywiście nie można do tego celu użyć normalnej łodzi podwodnej, gdyż nie istniałby żaden margines bezpieczeństwa na tej głębokości, zwłaszcza jeśli uwzględnić uściski Percy'ego. Nawiasem mówiąc, jak pan ocenia jego rozmiary?

Główny Księgowy, zwykle tak skory do szastania liczbami, tym razem zawahał się przez chwilą.,

— To nie jest moja ocena — powiedział — ale biologowie twierdzą, że on może mieć sto pięćdziesiąt stóp długości.

Rozległo się kilka cichych gwizdnięć, ale dyrektor pozostał niewzruszony. Już dawno temu przekonał się, ile racji jest w starym powiedzonku, że są w morzu ryby większe od tych, które się łowi. Wiedział również, że w środowisku, w którym siła ciążenia nie ogranicza rozmiarów zwierząt, mogą one rosnąć prawie w nieskończoność, aż do śmierci. Zaś ze wszystkich mieszkańców morza najmniej musiał obawiać się ataku właśnie olbrzymi głowonóg. Nawet jego jedyny wróg, kaszalot, nie mógł mu nic zrobić, jeśli pozostawał na głębokościach poniżej czterech tysięcy stóp.

— Istnieje wiele sposobów na uśmiercenie Percy'ego, jeśli uda nam się odnaleźć jego kryjówkę — odezwał się biolog. — Można użyć materiałów wybuchowych, prądu elektrycznego, trucizny. Myślę jednak, że nie powinniśmy go zabijać, dopóki nie ma absolutnej konieczności. Percy musi być jednym z największych zwierząt żyjących na naszej planecie i zabicie go byłoby zbrodnią.

— Wolnego, Roberts! — zaprotestował dyrektor. — Pozwolę sobie przypomnieć, że zadaniem naszej sekcji jest wyłącznie produkcja żywności, nie zaś badania czy troska o zdrowie jakichkolwiek zwierząt poza wielorybami. Ponadto sądzę, że jest pewną przesadą mówienie o zbrodni, kiedy chodzi o przerośniętego mięczaka.

Doktor Roberts nie uląkł się wymówki w głosie dyrektora.

— Zgadzam się całkowicie — powiedział — że produkcja jest naszym głównym zadaniem i że stale musimy pamiętać o czynnikach ekonomicznych. Jednocześnie jednak współpracujemy ściśle z Departamentem Nauki i tutaj mamy do czynienia z przypadkiem, kiedy ta współpraca może przynieść obustronne korzyści.

Niewykluczone nawet, że na dłuższą metę sprawa okaże się opłacalna.

— Mów dalej — powiedział dyrektor z lekkim błyskiem w oku. Zastanawiał się, co za genialny plan uknuli biologowie wspólnie ze swoimi kolegami z Wydziału Badań.

— Nigdy dotychczas nie schwytano olbrzymiego głowonoga po prostu dlatego, że nie mieliśmy odpowiednich do tego środków. Byłoby to kosztowne przedsięwzięcie, ale ponieważ mamy i tak polować na Percy'ego, więc dodatkowe koszty nie powinny być duże i proponuję, aby schwytać go żywcem.

Nikt nie zapytał, jak to zrobić. Jeśli doktor Roberts proponuje coś takiego, to znaczy, że ma już gotowy plan działania. Dyrektorzy jak zwykle pominęli milczeniem drobne szczegóły techniczne, związane z wyciągnięciem wielotonowej walczącej dziesięciornicy z głębokości mili, i przeszli od razu do spraw najważniejszych.

— Kto za to zapłaci? I co zrobicie z Percym, kiedy go schwytacie?

— Departament Nauki zapewni dodatkowy sprzęt, jeśli my damy łodzie podwodne i inspektorów. Będzie nam także potrzebny dok pływający, który pożyczyliśmy niedawno z Wydziału Remontowego; skoro mieści dwa wieloryby, to i Percy powinian się tam zmieścić. Dodatkowe koszty obejmą aparaturę do natleniania wody, siatkę pod napięciem, żeby nam więzień nie wyłaził, itp. W sumie oznacza to wykorzystanie przez pewien czas doku jako laboratorium.

— A co potem?

— Potem go sprzedamy.

— Nie słyszałem, żeby było ostatnio wielkie zapotrzebowanie na dziesięciornice tych rozmiarów.

Doktor Roberts ujawnił swoją atutową kartę niczym aktor, wygłaszający swoją popisową kwestię.

— Jeśli dostarczymy Percy'ego żywego i w dobrym stanie, Marineland na Florydzie zapłaci nam za niego pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Taka była pierwsza, nieoficjalna, oferta profesora Miltona, kiedy z nim dziś na ten temat rozmawiałem. Jestem pewien, że moglibyśmy zażądać większej sumy; zastanawiałem się nawet, czy nie zawrzeć umowy na udział w zyskach. Przecież taka gigantyczna dziesięciornica byłaby największą atrakcją Marinelandu.

— Mieliśmy dosyć kłopotu z waszymi badaniami naukowymi — burczał dyrektor — a teraz wygląda na to, że będziemy zajmować się organizacją widowisk rozrywkowych. Miiao to, jeśli chodzi o mnie, nie stawiam sprzeciwu. Jeżeli księgowość przekona mnie, że przedsięwzięcie nie jest zbyt kosztowne i jeśli nie pojawią się jakieś niespodziewane przeszkody, to będziemy próbować. Oczywiście pod warunkiem, że Franklin i jego koledzy uznają, że to jest do zrobienia, gdyż wykonanie zadania spadnie na ich barki.

— Jeżeli doktor Roberts ma jakiś realny plan, to chętnie go z nim

omówię. Projekt wygląda niezwykle interesująco.

Franklin był bardzo ostrożny w takich sprawach, gdyż przekonał się na własnej skórze, że nadmierny entuzjazm prowadzi do rozczarowań. Jeżeli „Operacja Percy" dojdzie do skutku, będzie to najbardziej pasjonujące zadanie, z jakim zetknął się podczas swojej pięcioletniej pracy. Było to jednak zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe; na pewno zdarzy się coś takiego, że rzecz nie dojdzie do skutku.

Franklin nie miał racji. W niecały miesiąc później opuszczał się na dno oceanu w specjalnie przygotowanej łodzi podwodnej. O dwieście stóp z tyłu płynął za nim w drugiej łodzi Don Burley. Nie pływali razem od czasu tamtych dni na Wyspie Czapli, ale kiedy spytano Franklina, kogo chce do współpracy, natychmiast pomyślał o Donie. Była to szansa, jaka trafia się raz w życiu, i Don nigdy by mu nie przebaczył, gdyby wybrał kogoś innego.

Franklin zastanawiał się czasami, jak Don odnosi się do jego błyskawicznej kariery. Pięć lat temu Don był starszym inspektorem, a on zupełnie zielonym nowicjuszem. Teraz obaj byli starszymi inspektorami i prawdopodobnie on wkrótce awansuje wyżej. Nie myślał o tym z zachwytem, gdyż mimo całej ambicji zdawał sobie sprawę, że każdy nowy awans oznacza mniejszą liczbę godzin spędzonych w morzu. Może Don dobrze wiedział, co robi; trudno było go sobie wyobrazić za biurkiem…

— Wypróbuj swoje światła — odezwał się głos Dona przez radio. — Doktor Roberts chce, żebym ci zrobił zdjęcie.

— Już się robi — odpowiedział Franklin.

— Ho, ho! Wyglądasz pięknie. Gdybym był dziesieciornicą, nie potrafiłbym ci się oprzeć. Odwróć się na chwilę bokiem. Dziękuję. Pierwszy raz w życiu widzę choinkę płynącą z szybkością dziesięciu węzłów na głębokości sześciu sążni.

Franklin roześmiał się i wyłączył iluminację. Pomysł doktora Robertsa był dość prosty, ale dopiero teraz okaże się, czy sprawdzi się w praktyce. Wielu mieszkańców mrocznych otchłani oceanu posiada całe konstelacje organów świetlnych, które może dowolnie zapalać i gasić. Głowonogi ze swymi wielkimi oczami są szczególnie uwrażliwione na takie światła. Używają ich nie tylko do wabienia swoich ofiar, lecz także partnerów płci odmiennej. Jeśli jednak dziesięciornice są rzeczywiście tak inteligentne, jak o nich mówią, to Percy szybko odkryje oszustwo. Będzie śmiesznie, pomyślał Franklin, jeśli zamiast Percy'ego da się nabrać jakiś nurkujący kaszalot i on zaatakuje łódź podwodną.

Płynęli teraz zaledwie pięćset stóp ponad skalistym dnem i każdy jego szczegół widać było wyraźnie na ekranie hydrolokatora. Miejsce

wyglądało niezbyt zachęcająco: mogły tu być setki jaskiń, stanowiących znakomitą kryjówkę dla Percy'ego. A przecież wieloryby potrafiły go wykrywać — ku własnej zgubie. Moja łódź jest przecież nie gorsza od kaszalota, powiedział sobie Franklin.

— Mamy szczęście — odezwał się Don. — rzadko się tu zdarza, żeby woda była tak czysta. Jeśli nie wzbijemy mułu, będziemy mogli widzieć na kilkaset stóp.

Było to bardzo ważne: świetlne przynęty Franklina byłyby bezużyteczne w mętnej wodzie. Włączył teraz kamery telewizji i od razu dostrzegł słaby poblask światła na prawej burcie Dona, płynącego w odległości dwustu stóp. Rzeczywiście widoczność była znakomita, co powinno bardzo ułatwić ich zadanie.

Franklin złapał sygnał najbliższej radiolatarni i szczegółowo określił swoją pozycję. Dla większej dokładności poprosił Dona o zrobienie tego samego i wyciągnęli średnią ze swoich wyników. Od tego miejsca zaczęli poszukiwania, płynąc powoli równoległymi kursami.

Rzadko zdarzało się znaleźć nagą skałę na tej głębokości, gdyż dno oceanu jest normalnie pokryte warstwą osadów grubości setek, a nawet tysięcy stóp. Widocznie, pomyślał sobie Franklin, przepływają tędy potężne prądy sezonowe, gdyż obecnie przyrządy nie notowały żadnego ruchu wód. Musiało to być związane ze znajdującym się w pobliżu Kanionem Millera, wrzynającym się na głębokość dziesięciu tysięcy stóp.

Co kilka sekund Franklin włączał swoje kolorowe światła i z napięciem wpatrywał się w ekran, oczekując jakiejś reakcji. Po chwili miał asystę kilku fantastycznych ryb głębinowych — upiornych istot o potwornych szczękach, najeżonych groteskowymi czułkami i wyrostkami. Zew jego świateł był widocznie silniejszy niż strach przed hałasem silników, co można było uważać za dobry znak. Ryby nie nadążały za łodzią, ale na ich miejsce zjawiały się nowe potwory, wśród których nie było dwóch jednakowych. Stosunkowo mniej uwagi poświęcał Franklin ekranowi telewizyjnemu; ważniejsze były dane sięgającego znacznie dalej hydrolokatora. Musiał teraz nie tylko wypatrywać Percy'ego, lecz także wystrzegać się skał i pagórków, które mogłyby wyłonić się nagle na trasie łodzi. Mimo że posuwał się z niewielką szybkością dziesięciu węzłów, jego uwaga była przez cały czas napięta do maksimum. Chwilami miał uczucie, jakby leciał samolotem lotem koszącym nad pagórkowatą okolicą i na dodatek w gęstej mgle.

Przebyli w ten sposób pięć mil bez żadnych wydarzeń i zawrócili pod kątem stu osiemdziesięciu stopni. Franklin pomyślał sobie, że przynajmniej ustalą szczegółowo ukształtowanie dna morskiego w tym rejonie, w obu łodziach działały bowiem automatyczne przyrządy,

zapisujące profil terenu.

— I kto mówi, że życie inspektora jest ciekawe? — odezwał się Don, kiedy robili czwarty nawrót. — Nie widziałem ani jednej, choćby najmniejszej, ośmiornicy. Może my je czymś odstraszamy?

— Roberts twierdzi, że one nie są zbyt wrażliwe na hałas, a poza tym podejrzewam, że Percy nie należy do strachliwych.

— Jeżeli on w ogóle istnieje — zauważył Don sceptycznie.

— Nie zapominaj o tych sześciocalowych śladach przyssawek. Kto je według ciebie powygryzał — myszy?

— Hej! — zawołał Don. — Spójrz no na to echo na kierunku 250, odległość 750 stóp. Wygląda jak skała, ale chyba się poruszyło. Jeszcze jeden fałszywy alarm, pomyślał Franklin. Ale nie, echo rzeczywiście jakby drgało. Do licha, rusza się!

— Zmniejszamy szybkość do połowy węzła — powiedział. — Płyń za mną. Ja podejdą wolno i włączę światła.

— Jakieś dziwne echo. Ma coraz to inne rozmiary.

— To może być on. Jedziemy.

Łódź płynęła teraz ponad rozległą, lekko opadającą równiną, nadal w otoczeniu świty rybosmoków. Na ekranie telewizyjnym wszystkie przedmioty ginęły we mgle na odległości stu pięćdziesięciu stóp; ultrafioletowe reflektory nie sięgały dalej. Franklin wyłączył całe zewnętrzne oświetlenie i skradał się ostrożnie, posługując się wyłącznie hydrolokatorem.

Na odległości pięciuset stóp kształt echa zaczął zarysowywać się wyraźniej; z odległości czterystu stóp nie było już żadnych wątpliwości; y& zbliżeniu się na trzysta stóp ryby towarzyszące Franklinowi znikły w pośpiechu, jakby wyczuły, że okolica nie jest dla nich najzdrowsza. Na odległości dwustu stóp Franklin włączył swoją świetlną przynętę i dopiero po chwili uruchomił kamery telewizji i reflektory.

Po dnie oceanu wędrował istny żywy las wężowatych, wijących się pni. Gigantyczny głowonóg zastygł na moment, jakby oślepiony reflektorami; niewykluczone, że tak było, choć dla ludzkiego oka ich światło było niewidoczne. Potem z nieprawdopodobną szybkością ściągnął macki zwijając się w zwartą, opływową bryłą — i wystrzelił z całą energią swego odrzutowego napędu w stronę łodzi.

W ostatnim momencie zboczył nieco i Franklin zdołał dojrzeć wielkie, pozbawione powieki oko, o średnicy przynajmniej stopy. W sekundę później odczuł gwałtowne uderzenie w kadłub łodzi i zgrzyt potężnych szczęk o stalowy pancerz. Franklin przypomniał sobie szramy, które tak często widywał na grubej skórze kaszalotów, i odczuł radość, że chroni go warstwa stali. Słyszał trzask zrywanych przewodów zewnętrznego oświetlenia; nic nie szkodzi — spełniło już swoje zadanie.

Nie sposób było odgadnąć, co robi Percy; od czasu do czasu łódź kołysała się gwałtownie, ale Franklin nie chciał uciekać, dopóki nie będzie do absolutnie konieczne.

— Czy widzisz, co on wyrabia? — spytał z niepokojem w głosie.

— Tak, ośmioma ramionami oplata ciebie, a dwa wyciąga z nadzieją w moją stroną. Poza tym przecudownie zmienia kolory — nawet nie próbuję ci tego opisać. Nie mam pojęcia, czy on chce cię pożreć, czy tak wyglądają jego zaloty.

— Cokolwiek to jest, nie jest to zbyt przyjemne. Pośpiesz się ze zdjęciami, żebym wreszcie mógł wydostać się z jego uścisków.

— Dobra, jeszcze tylko kilka minut. Potem spróbuję trafić go swoim harpunem.

Były to bardzo długie minuty, ale wreszcie Don skończył. Percy nadal nie wykazywał najmniejszych oznak nieśmiałości, przepowiadanej przez Robertsa, mimo że teraz nie mógł już uważać łodzi Franklina za inną dziesięciornicę. Wreszcie Don wystrzelił swój harpun, trafiając precyzyjnie w najgrubszą część płaszcza, gdzie astrze mogło wniknąć głęboko nie powodując poważniejszej szkody. Poczuwszy nagłe ukłucie potężny głowonóg zwolnił swój uścisk i Franklin korzystając z okazji natychmiast dał „całą naprzód". Poczuł, jak zrogowaciałe macki ześlizgują się po pancerzu łodzi i oto znalazł się na wolności i mógł wracać ku odległemu słońcu. Cieszył się, że obyło się bez użycia którejś z przygotowanych na wszelki wypadek broni.

Don poszedł w jego ślady i wkrótce znaleźli się o pięćset stóp ponad dnem, poza zasięgiem widzialności. Na ekranie hydrolokatora widać było ostro skaliste dno, a na jego tle pulsowała wyraźna gwiazdka. Mały nadajnik — o średnicy jednego cala i długości sześciu cali — umieszczony pod skórą Percy'ego spełniał swoje zadanie bez zarzutu. Będzie działał przeszło tydzień, dopóki nie wyczerpie się bateria.

— Naznaczyliśmy go! — zawołał Don z radością. — Teraz już się przed nami nie schowa.

— Pod warunkiem, że nadajnik mocno siedzi i Percy nie uwolni się od niego — zauważył Franklin ostrożnie. — W przeciwnym razie będziemy musieli szukać go od nowa.

— Nie zapominaj, że to ja strzelałem. Założę się dziesięć do jednego, że nadajnik nie wypadnie.

— Najważniejsza rzecz, jakiej się nauczyłem w tej pracy, to nigdy nie zakładać się z tobą — powiedział Franklin i włączył maksymalną szybkość, kierując dziób łodzi ku odległej wciąż jeszcze o pół mili powierzchni. — Nie dajmy Robertsowi czekać zbyt długo, bo nam zwariuje z niecierpliwości. Zresztą ja też chcę zobaczyć te zdjęcia. Po raz pierwszy wystąpiłem w filmie, i to jako partner gigantycznej

dziesięciornicy.

Jak na razie, pomyślał sobie, to tylko czołówka, właściwy film ma się dopiero rozpocząć.

XV

— Jak to miło mieć żonę, której nie przeraża moja praca — powiedział Franklin, przeciągając się leniwie w fotelu na tarasie.

— Czasem się boję — przyznała Indra. — Nie lubię akcji na dużych głębokościach. Jeżeli tam coś nawali, człowiek jest bez szans.

— Równie dobrze można utonąć w wodzie głębokiej na dziesięć stóp.

— Sam wiesz, że mówisz głupstwa. Poza tym, o ile wiem, jak dotychczas żaden inspektor jeszcze nie utonął. To, co im się przytrafia, jest zazwyczaj znacznie gorsze.

— Żałuję, że poruszyłem ten temat — powiedział Franklin, rozglądając się, czy Peter nie podsłuchuje ich rozmowy. — W każdym razie mam nadzieję, że „Operacja Percy" nie daje ci powodów do obaw?

— Nie. Tak jak wszyscy nie mogę się doczekać, kiedy go złapiesz, a jeszcze bardziej ciekawi mnie, czy Robertsowi uda się utrzymać go przy życiu.

Indra wstała i podeszła do regału z książkami. Przerzucając stos czasopism i gazet, które się tam zawsze gromadziły, znalazła wreszcie to, czego szukała.

— Posłuchaj — powiedziała — i pamiętaj, że zostało to napisane prawie dwieście lat temu.

Zaczęła czytać głosem przywykłym do wystąpień w salach wykładowych i Franklin, który początkowo słuchał bez entuzjazmu, po chwili dał się wciągnąć bez reszty.

"W oddali zamajaczyła wielka, biała, leniwa masa, która wznosząc się coraz wyżej i wyżej zajaśniała w końcu przed dziobem na kształt śnieżnej góry. Błyszczała przez chwilę, po czym równie powoli zapadła się z powrotem w morze. I znów wynurzyła się, cicha i migotliwa. Nie wyglądała na wieloryba. Ale może to Moby Dick? — pomyślał Daggoo. Widziadło zapadło się w wodę po raz drugi i jeszcze raz wypłynęło na powierzchnię. Murzyn wydał ostry, przejmujący okrzyk, który zelektryzował całą załogę:

— Jest, jest, jest! Tam na prawo! Biały wieloryb! Biały wieloryb!

…Niebawem cztery łodzie znalazły się na wodzie. Ahab płynął przodem. Biała masa znów dała nurka i kiedy z zawieszonymi w powietrzu wiosłami czekaliśmy na jej ukazanie się, wynurzyła się powoli w tym samym miejscu, w którym się zapadła. Zapomniawszy prawie o Moby Dicku, patrzyliśmy jak urzeczeni na najbardziej zdumiewający fenomen, jaki dotąd morze objawiło ludzkiemu oku.

Na wodzie leżała galaretowata masa, mierząca wzdłuż i wszerz setki stóp, połyskliwa i biała jak śmietana. Ze środka jej wychodziły

niezliczona długie ramiona, wijące się i skręcające jak gniazdo anakond. Potwór ten nie miał żadnej dostrzegalnej paszczy czy głowy, niczego zresztą, co by zdradzało, że posiada jakieś instynkty czy wrażliwość. Kołysał się na falach, nieziemski, bezkształtny, nie indywidualny, a przecież żywy.

Zapadł się znów w morze z charakterystycznym bulgotaniem i Sarbuck patrząc na rozkołysaną wodę, która go pochłonęła, wykrzyknął dzikim głosem:

— Wolałbym już spotkać się z Moby Dickiem niż z tym białym upiorem!

— Co to było? — zapytał Fiask.

— Olbrzymia mątwa. Mówią, że statki, które się na nią natkną, rzadko kiedy wracają do swoich portów.

Ahab nie powiedział ani słowa. Zawrócił w milczeniu do okrętu, a my za nim".

Indra skończyła czytać, zamknęła książkę i czekała na reakcję męża. Franklin poruszył się w swoim aż zbyt wygodnym fotelu i po chwili milczenia powiedział:

— Musiałem zapomnieć ten fragment, jeśli w ogóle doczytałem do tego miejsca. Brzmi to bardzo prawdziwie, tylko co robiła dziesięciornica na powierzchni?

— Prawdopodobnie zdychała. One nigdy nie wypływają w dzień, ale robią to czasem po zmroku, a Melville pisze, że działo się to w pewien jasny, pogodny poranek.

— A poza tym ile to jest furlong? Chciałbym wiedzieć, czy ten okaz Melville'a był równie wielki jak Percy. Z fotografii wynika, że nasz ma sto trzydzieści stóp długości.

— Jest więc dłuższy od największego opisanego wieloryba.

— Tak, o kilka stóp, ale oczywiście waży przeszło dziesięciokrotnie mniej.

Franklin podniósł się z fotela i ruszył na poszukiwanie słownika. Po chwili Indra usłyszała pomruki niezadowolenia z sąsiedniego pokoju i spytała, co się stało.

— Piszą tutaj, że furlong to dawna miara odległości równa 1/8 mili. Melville plecie głupstwa.

— Zazwyczaj jest bardzo ścisły, w każdym razie tam, gdzie chodzi o wieloryby, ale „furlong" to oczywisty nonsens — jestem zdziwiona, że nikt tego dotychczas nie zauważył. Może miał na myśli sążnie, a może to błąd drukarski.

Nieco uspokojony Franklin odstawił słownik na półkę i wrócił na taras. Właśnie w tym momencie wpadł Don Burley, porwał Indrę w ramiona, ucałował ją po bratersku w czoło i posadził z powrotem na krześle.

— Zbieraj się, Walt! — zawołał. — Jesteś gotów? Podwiozę cię na

lotnisko.

— Gdzie się podział Peter? — spytał Franklin. — Peter! Chodź się pożegnać, tatuś idzie do pracy.

Na taras wpadła czteroletnia wiązka nieujarzmionej energii, omal nie zwalając Franklina z nóg.

— Tatusiu, przyniesiesz mi dziesięciornicę? — spytał.

— Hej, a skąd ty o tym wiesz?

— Mówili o tym w dzienniku dzisiaj rano, kiedy jeszcze spałeś. Pokazali też fragment filmu Dana.

— Tego się właśnie bałem. Będziemy musieli teraz pracować w tłumie filmowców i reporterów zaglądających nam przez ramię. W tej sytuacji na pewno coś nawali.

— Dobrze przynajmniej, że nie mogą zejść za nami na dno — wtrącił Burley.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz, chociaż trzeba pamiętać, że nie tylko my rozporządzamy głębokościowymi łodziami podwodnymi.

— Nie wiem, jak ty możesz z nim wytrzymać — zwrócił się Don do Indry. — Czy on zawsze widzi wszystko tylko w czarnych barwach?

— Nie zawsze — uśmiechnęła się Indra, usiłując oderwać Petera od ojca. — Co najmniej dwa razy w tygodniu zdarzają mu się napady dobrego humoru.

Uśmiech stopniowo znikał z jej twarzy, kiedy patrzyła w ślad za odjeżdżającym wysmukłym, sportowym autem Dona. Bardzo lubiła Dona, który był jakby członkiem ich rodziny, i czasami poważnie się o niego martwiła. Wciąż jeszcze nie ożenił się i nie miał własnego domu; koczowniczy, kawalerski tryb życia na dłuższą metę musiał być męczący. Od kiedy go znali, większą część życia spędzał na wodzie albo pod wodą, od czasu do czasu urządzając szaleńcze wypady na ląd. Zazwyczaj korzystał wtedy z ich gościnności, co czasem bywało krępujące, zwłaszcza kiedy okazywało się, że na śniadanie przychodzi jakaś bliżej im nie znana dama.

Ich własne życie również trudno było nazwać osiadłym, ale przynajmniej zawsze mieli coś, co mogli nazwać domem. Najpierw było to mieszkanie w Brisbane, gdzie przyjście na świat Petera przerwało jej krótki, lecz szczęśliwy okres pracy na Uniwersytecie Queenslandzkim; potem bungalow na Fidżi, z dachem, który przeciekał w coraz to innym miejscu; mieszkanie przy stacji wielorybniczej w Południowej Georgii (do dzisiaj prześladował ją odór odpadków i krzyk mew krążących nad przystanią, gdzie ćwiartowano wieloryby); i wreszcie ten domek nad brzegiem morza na Hawajach. Cztery domy w ciągu pięciu lat to niemało, ale Indra wiedziała, że jak na żonę inspektora i tak miała szczęście.

Nie żałowała, że musiała przerwać pracę zawodową. Obiecywała

sobie, że wróci do niej, gdy tylko Peter trochę podrośnie; nawet teraz czytała na bieżąco całą literaturę. Niedawno „Journal of Selachians" opublikował jej list na temat prawdopodobnego przebiegu ewolucji mitsukuriny i od tego czasu prowadziła interesujący spór ze wszystkimi pięcioma specjalistami od tego zagadnienia na świecie.

Nawet jeśli nie uda jej się zrealizować tych zamierzeń, przyjemnie jest pomarzyć, że można połączyć te dwie przyjemności, myślała Indra Franklin, gospodyni domowa i ichtiolog, przygotowując drugie śniadanie swemu wiecznie głodnemu synowi.

Pływający dok został zaopatrzony w urządzenia, które wprawiłyby w osłupienie jego konstruktorów. Cały wewnętrzny basen otoczono grubą stalową siatką, rozpięta na dużych izolatorach, a nad siatką zawieszono brezent, dla ochrony przed słońcem wrażliwej skóry i oczu Percy'ego. Jedyne oświetlenie wnętrza doku stanowiły matowe żarówki; na razie jednak wielkie wrota na obu końcach doku były szeroko otwarte, przepuszczając zarówno światło, jak i wodę.

Dwie łodzie podwodne stały gotowe do drogi przy zatłoczonym pomoście, gdzie doktor Roberts udzielał ostatnich instrukcji.

— Postaram się nie przeszkadzać wam zbytnio, kiedy już będziecie pod wodą, ale na litość boską mówcie mi, co się tam dzieje!

— Będziemy zbyt zajęci, żeby gadać jak sprawozdawca sportowy — odpowiedział Don z uśmiechem — ale zrobimy, co się da. A jeśli coś nam się przytrafi, to możesz być pewien, że będziemy natychmiast wrzeszczeć o pomoc. — Gotowe, Walt?

— W porządku — powiedział Franklin wchodząc do łodzi. — Do zobaczenia za pięć godzin. Mam nadzieję, że wrócimy z Percym.

Nie tracąc czasu ruszyli w głąb; nie minęło dziesięć minut, a już mieli nad sobą cztery tysiące stóp wody i na ekranach znajomy obraz skalistego dna. Nigdzie jednak nie było pulsującej gwiazdki, wyznaczającej miejsce pobytu Percy'ego.

— Mam nadzieję, że nadajnik nie przestał działać — powiedział Franklin, przekazując tę wiadomość niecierpliwiącym się na górze uczonym. — Jeśli tak, to możemy stracić kilka dni na powtórne odszukanie go.

— Czy myślisz, że się wyniósł z tej okolicy? Trudno byłoby mu się dziwić — dodał Don.

Z góry, ze świata, gdzie było światło i słońce, rozległ się spokojny, pewny głos doktora Robertsa.

— Prawdopodobnie Percy ukrył się w jakiejś rozpadlinie albo za skałą. Proponuję, żebyście podnieśli się o kilkaset stóp, gdzie nierówności gruntu nie będą wam przeszkadzać, i rozpoczęli szybkie przepatrywanie terenu. Nadajnik Percy'ego ma zasięg przeszło mili, powinniście więc odnaleźć go dość szybko.

W godzinę później głos doktora nie brzmiał już tak pewnie, zaś

komentarze, jakie docierały do nich z góry, świadczyły, że reporterzy i przedstawiciele telewizji zaczynają się niecierpliwić.

— Jest tylko jedno miejsce, gdzie Percy mógł się schować — powiedział wreszcie doktor Roberts. — Jeśli on tam w ogóle jest i nadajnik działa, to musi siedzieć w Kanionie Miller'a.

— Tam jest głęboko na piętnaście tysięcy stóp — zaprotestował Don — a te łodzie nie mogą schodzić poniżej dwunastu tysięcy.

— Wiem, wiem, ale on nie musi być na samym dnie. Na pewno poluje gdzieś na zboczu. Jeśli tam jest, zobaczycie go bez trudu.

— Zgoda — odpowiedział Franklin bez przekonania. — Popłyniemy tam i rozejrzymy się, ale jeżeli jest poniżej dwunastu tysięcy stóp, to damy mu spokój.

Na ekranie hydrolokatora kanion odznaczał się wyraźnie jako nagła przerwa w świetlnym obrazie dna. Łodzie zbliżały się ku niej z szybkością czterdziestu węzłów — najszybsze stworzenia w całym oceanie, pomyślał Franklin. Przypomniał sobie, jak kiedyś przelatywał samolotem nad Wielkim Kanionem i nagle ziemia otworzyła się pod nim olbrzymią przepaścią. Teraz, mimo że jego orientacja była uzależniona wyłącznie od echa, przynoszonego przez fale dźwiękowe, doznał podobnego uczucia, kiedy mijał skraj ogromnej zapadliny w dnie oceanu.

Z zadumy wyrwał go okrzyk Dona:

— Jest! Jest! Tysiąc stóp pod nami!

— Nie musisz tak wrzeszczeć — mruknął Franklin. — Widzę go.

Strome zbocze kanionu tworzyło prawie pionową linię w centrum ekranu. Przy tej linii pełzła mała, pulsująca gwiazdka, której tak szukali. Niezmordowany nadajnik zdradzał myśliwym kryjówkę Percy'ego.

Natychmiast zawiadomili o tym doktora Robertsa; Franklin wyobrażał sobie radość i podniecenie tam, na górze — zresztą niektóre odgłosy docierały do niego przez włączony mikrofon. Po chwili doktor Roberts nieco zmienionym głosem spytał:

— Czy uważasz, że w tej chwili nasz plan ma nadal szansę powodzenia?

— Spróbujemy — odpowiedział Franklin. — Chociaż to pionowe zbocze będzie nam utrudniać działanie. Mam nadzieję, że nie ma tam żadnych jaskiń, do których Percy mógłby się wcisnąć. Don, jesteś gotów?

— Możemy zaczynać.

— Chyba uda mi się dotrzeć do niego bez włączania silników. Jedziemy.

Franklin napełnił dziobowe zbiorniki balastów i zaczął długi, stromy i — jak miał nadzieję — cichy zjazd w dół. Percy nauczył się już zapewne ostrożności i rzuciłby się do ucieczki natychmiast po

usłyszeniu szumu silników.

Dziesięciornica wędrowała wzdłuż skalnej ściany i Franklin dziwił się, że może znaleźć jakieś pożywienie w tak zakazanym i pozornie zupełnie pozbawionym życia miejscu. Za każdym razem, kiedy wyrzucała wodę z rury swojego syfonu, posuwała się wyraźnym skokiem; nie zdawała sobie chyba sprawy z tego, że jest śledzona, gdyż nie zmieniła kierunku ruchu od momentu, kiedy Franklin dostrzegł ją po raz pierwszy.

— Dwieście stóp. Zaraz włączę światła — powiedział do Dona.

— Nie zobaczy cię. Widoczność nie przekracza dziś osiemdziesięciu stóp.

— Nie szkodzi, zaraz się zbliżę. O, dojrzał mnie! Płynie w moją stronę!

Franklin nie spodziewał się, że z tak inteligentnym zwierzęciem jak Percy ten sam kawał może udać się dwukrotnie. Poczuł gwałtowne uderzenie i usłyszał zgrzyt potężnych macek zamykających się wokół kadłuba łodzi. Wiedział, że jest stuprocentowo bezpieczny, że żadne zwierzę nie potrafi zgnieść ścian obliczonych na ogromne ciśnienie wody, a mimo to wiedział, że ten odgłos będzie go straszył po nocach.

Potem zupełnie niespodziewanie zapanowała cisza. Posłyszał w głośniku okrzyk Dona „O rany! Ale to szybko działa! Już jest nieprzytomny". Prawie natychmiast odezwał się zaniepokojony doktor Roberts: „Nie dawaj mu za dużo! I ruszajcie go, żeby oddychał!"

Don był zbyt zajęty, żeby odpowiedzieć. Franklin odegrał już swoją rolę przynęty i teraz mógł tylko obserwować zręczne manewry swego przyjaciela wokół gigantycznego mięczaka. Pocisk ze środkiem usypiającym spełniał swoje zadanie; dziesięciornica opadała powoli wlokąc za sobą bezwładne macki. Z jej okrutnego dzioba wypływały kawały nieprzetrawionych ryb — potwór zwracał swój ostatni posiłek.

— Możesz zejść pod niego? — spytał pośpiesznie Don. — Ja mam za daleko.

Franklin włączył silniki i zawrócił robiąc ciasny skręt. Odczuł miękkie pacnięcie, jakby śnieg zsunął się z dachu, i wiedział, że ma na łodzi pięć albo dziesięć ton galaretowatej masy

— Dobrze… potrzymaj go tak… Muszę się ustawić.

Franklin był teraz ślepy, ale stuki i szumy dobiegające go z wody dawały mu. pewne pojęcie o tym, co się wokół niego dzieje. Wreszcie rozległ się w głośniku tryumfalny okrzyk Dona:

— Gotowe! Możemy jechać!

Ciężar zsunął się z łodzi i Franklin mógł się rozejrzeć. Percy był ich więźniem. Jego cielsko w najwęższym miejscu opasane było grubą, elastyczną taśmą, do której przymocowana była gruba lina. Niewidoczna w mroku łódź Dona holowała Percy'ego w pozycji, w jakiej normalnie się poruszał, to znaczy tyłem. Gdyby był przytomny i

chciał stawiać opór, mógłby uwolnić się bez trudu, ale w tym stanie, w jakim się znajdował, Don mógł z nim robić, co chciał. Zabawa zaczęłaby się, gdyby wrócił do przytomności…

Franklin opisał to, co widział, kolegom czekającym na górze. Jego słowa były prawdopodobnie transmitowane i miał nadzieję, że Indra z Peterem słyszą go także. Potem rozpoczęło się mozolne holowanie Percy'ego ku powierzchni.

Poruszali się z szybkością zaledwie dwóch węzłów, gdyż bali się, że wielkie, galaretowate cielska może się wyśliznąć z niezbyt ciasnej uprzęży. Poza tym wynurzanie się musiało i tak potrwać przynajmniej trzy godziny, aby Percy mógł stopniowo przystosować się do zmiany ciśnienia. Była to chyba przesadna ostrożność, gdyż nawet oddychające powietrzem — a zatem bardziej wrażliwe — kaszaloty pokonują takie różnice ciśnienia w ciągu dziesięciu czy dwudziestu minut, ale doktor Roberts chciał uniknąć najmniejszego nawet ryzyka w stosunku do tej niezwykłej zdobyczy.

Wznosili się już przeszło godzinę i byli na głębokości trzech tysięcy stóp, kiedy Percy zaczął dawać pierwsze oznaki życia. Dwa najdłuższe rozszerzone maczugowato na końcu ramiona zaczęły wykonywać skoordynowane ruchy, a potworne oczy, w które Franklin wpatrywał się jak zahipnotyzowany z odległości zaledwie kilku stóp, ożywiły się znowu świadomością. Nie zdając sobie sprawy, że mówi szeptem, Franklin natychmiast zawiadomił o tym doktora Robertsa.

Pierwszą reakcją doktora było westchnienie ulgi.

— To świetnie! — powiedział. — Obawiałem się, że mogliśmy go zabić. Czy widać, że oddycha? Czy syfon pulsuje?

Franklin zszedł nieco niżej, aby mieć lepszy widok na mięsistą rurę sterczącą z płaszcza zwierzęcia. Otwór zamykał się i otwierał, i ruch ten był coraz silniejszy i bardziej rytmiczny.

— Wspaniale! — powiedział doktor Roberts. — To znaczy, że jest w dobrej formie. Jak zacznie się za bardzo kręcić, dajcie mu znowu małą porcję środka uspokajającego. Ale czekajcie z tym do ostatniej chwili.

Franklin pomyślał, że niełatwo będzie ustalić, kiedy nastąpi ta ostatnia chwila. Percy przybrał teraz piękną błękitną barwę; widać go było wyraźnie nawet bez pomocy reflektorów. Franklin pamiętał, że kolor błękitny jest u dziesięciornic oznaką podniecenia, a w takim razie należało działać.

— Myślę, że musisz strzelać. Nasz klient coś za bardzo się ożywia — powiedział do Dona.

— Już się robi.

Przez ekran Franklina przemknęła szklana probówka.

— To świństwo odbiło się od niego! — zawołał Franklin. — Dawaj jeszcze jedną!

— W porządku. Mam nadzieję, że ta podziała, bo mam w zapasie tylko sześć.

Ale i tym razem pocisk z narkotykiem zawiódł. Franklin nie dostrzegł wprawdzie probówki, ale widział, że Percy zamiast znowu obwisnąć bezwładnie, ożywiał się z każdą sekundą. Osiem krótszych ramion — krótszych oczywiście w porównaniu do dwóch, które miały prawie po sto stóp długości — zaczęło wić się energicznie. „Jak gniazdo anakond" przypomniał sobie z Melville'a. Nie, to jakoś nie pasowało. Raczej przypominało to dłonie skąpca, podwodnego Shylocka, wyciągającego drapieżne palce ku swemu złotu. W każdym razie nic przyjemnego, zwłaszcza że palce miały stopę średnicy i znajdowały się w odległości zaledwie kilku jardów…

— Musisz próbować dalej — powiedział Donowi. — Wyrwie się, jeśli go zaraz nie uspokoimy.

W chwilę później westchnął z ulgą, widząc na ekranie opadające kawałki szkła. Byłyby oczywiście zupełnie niewidoczne w wodzie, gdyby nie błyszczały oślepiająco w świetle ultrafioletowych reflektorów. Uczucie ulgi było tak wielkie, że nie zastanawiał się, dlaczego widzi coś tak przysłowiowo nieuchwytnego jak kawałek szkła w wodzie; wiedział tylko, że Percy nagle znowu się uspokoił.

— Co się tam stało? — spytał doktor Roberts z niepokojem.

— Te wasze cholerne krople uspokajające. Dopiero za trzecim razem podziałały. W ten sposób zostały mi już tylko cztery porcje i jak tak dalej pójdzie, to dobrze, jak każda z nich trafi…

— To dziwne. W laboratorium wszystko działało znakomicie.

— Czy sprawdzaliście je pod ciśnieniem stu atmosfer?

— Nie. Nie sądziliśmy, że to może być potrzebne.

— No tak! — powiedział Don, wyrażając w ten sposób wszystko, co można powiedzieć na temat biologów, usiłujących bawić się w technikę. Przez następne kilka minut w głośnikach panowała głucha cisza. Potem doktor Roberts ostrożnie wrócił do tematu.

— Ponieważ nie możemy polegać na pociskach usypiających, to musicie wypływać trochę szybciej. Percy ocknie się znowu za jakieś trzydzieści minut.

— W porządku, zwiększam szybkość. Mam nadzieję, że ta obroża nie ześliźnie się z niego.

W czasie następnych dwudziestu minut nic się nie działo; potem nagle zaczęło się dziać bardzo dużo.

— Znowu odzyskuje przytomność — zameldował Franklin. — Myślę, że obudziła go zwiększona szybkość.

— Obawiałem się tego — odpowiedział doktor Roberts. — Wytrzymajcie, jak długo się da, a potem wystrzelcie środek usypiający. Daj Boże, żeby choć jedna ampułka była dobra!

Nagle włączył się nowy głos.

— Tu kapitan. Obserwator zauważył w odległości dwóch mil kilka kaszalotów. Zdaje się, że płyną w naszym kierunku; miejcie na nie oko, bo my tu nie mamy horyzontalnego hydrolokatora.

Franklin przełączył nadajnik na daleki zasięg i prawie natychmiast odnalazł wieloryby.

— Nie ma powodu do obaw, — powiedział. — Jeśli podejdą zbyt blisko, przepłoszymy je.

Spojrzał dla odmiany na ekran telewizji i zobaczył, że Percy stał się bardzo niespokojny.

— Strzelaj — powiedział do Dona — i trzymaj kciuki.

— Tego strzału nie jestem pewien — odpowiedział Don. — Widać jakiś skutek?

— Nie, pudło. Próbuj jeszcze raz.

— Zostały trzy. Strzelam.

— Niestety. Widzę, że probówka nie pękła.

— Zostały dwa. Teraz jeden.

— Pudło. Co robić, doktorze? Ryzykować ostatni? Obawiam się, że Percy może się w każdej chwili uwolnić.

— Nie ma innego wyjścia — odpowiedział doktor z wyraźnym napięciem w głosie. — Wal, Don!

Prawie natychmiast Franklfh wydał okrzyk radości.

— Udało się! — zawołał. — Znowu stracił przytomność. Na jak długo to wystarczy?

— Nie możemy liczyć na więcej niż dwadzieścia minut i do tego musicie dostosować swoje tempo. Jesteśmy dokładnie nad wami. I pamiętajcie, że ostatnie dwieście stóp musicie pokonywać wolniej. Nie chciałbym go uszkodzić teraz, kiedy jesteśmy tak blisko ceiu.

— Chwileczkę — wtrącił się Don. — Obserwowałem te kaszaloty i widzę, że z całą szybkością płyną prosto na nas. Myślę, że wykryły Percy'ego albo jego nadajnik.

— No to co? — powiedział Franklin. Możemy je przecież odstraszyć… o kurcze blade!

— Zapomniałeś widzę, że to nie są nasze łodzie zwiadowcze. Nie mamy syren, a silnikiem kaszalota nie odstraszysz.

Była to prawda, chociaż pięćdziesiąt lat temu, kiedy te wielkie zwierzała były niemal całkowicie wytępione, sprawa wyglądała inaczej. Jednak od tego czasu zmieniło się już przeszło dziesięć pokoleń i obecnie wieloryby uważały łodzie podwodne za istoty niegroźne, które nie mogą przeszkodzić im w spożyciu posiłku. Zaistniało realne niebezpieczeństwo, że bezbronny Percy zostanie rozszarpany, zanim uda się go zamknąć w przygotowanej klatce.

— Mamy jeszcze szansę — powiedział Franklin gorączkowo obliczając szybkość nadciągających wielorybów. Tego niebezpieczeństwa nikt nie przewidział i to właśnie było typowe dla

podwodnych akcji, z ich nieoczekiwanymi powikłaniami.

— Wychodzimy bezpośrednio na głębokość dwustu stóp — odezwał się Don. — Tam zaczekamy, ile się tylko da, a w razie niebezpieczeństwa uciekniemy do doku. Co o tym sądzicie?

— Bardzo słusznie — zgodził się doktor Roberts. — Pamiętajcie tylko, że kaszaloty potrafią płynąć z szybkością piętnastu węzłów, jeśli zechcą.

— Tak, ale nie mogą utrzymać tej szybkości na dłuższym odcinku, nawet jeśli widzą, że obiad ucieka im sprzed nosa.

Łodzie podwodne ruszyły szybciej ku powierzchni, ciemności wokół nich zaczęły się rozjaśniać i potworne ciśnienie zmniejszało się z każdą chwilą. Wreszcie dotarli do strefy, w której człowiek może swobodnie nurkować. Statek baza znajdował się teraz w odległości niecałych stu jardów, ale ten ostatni etap wynurzania miał decydujące znaczenie. Na ostatnim odcinku ciśnienie spadnie gwałtownie z ośmiu atmosfer do jednej, czyli o tyle, co poprzednio na odcinku ćwierci mili. W ciele kalmara nie ma zamkniętych przestrzeni wypełnionych gazem, które mogłyby ulec rozerwaniu przy gwałtownym obniżeniu ciśnienia, ale nie było pewności, czy nie grożą mu jakieś inne wewnętrzne uszkodzenia.

— Wieloryby w odległości zaledwie pół mili — meldował Franklin. — Kto mówił, że nie mogą utrzymać tej szybkości? Będą tu za dwie minuty.

— Musisz je jakoś zatrzymać — powiedział doktor Roberts z rozpaczą w głosie.

— Co proponujesz? — spytał Franklin z ironią.

— Spróbuj zapozorować atak. Może to je spłoszy.

Franklin pomyślał sobie, że to nie jest zabawny pomysł. Ale cóż, innego wyjścia nie było. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Percy'ego który znowu zaczynał zdradzać oznaki życia, ruszył powoli na spotkanie kaszalotów.

Na wprost niego zbliżały się. trzy echa. Były niezbyt duże, ale nie wiązał z tym żadnej nadziei. Nawet jeśli były to stosunkowo mniejsze samice, to i tak każda z nich miała wagę dziesięciu słoni i wszystkie razem pędziły na niego z szybkością czterdziestu mil na godzinę. Starał się robić jak największy hałas, ale na razie nie odnosiło to żadnego skutku.

Nagle usłyszał krzyk Dona:

— Percy się obudził! Czuję, że zaczął się ruszać.

— Wpływaj natychmiast do doku — rozkazał doktor Roberts. — Wrota są otwarte.

— Przygotujcie się do zamknięcia drugich wrót za mną, jak tylko wyciągnę linę. Nie chciałbym znaleźć się w basenie razem z Percym, gdy ten zorientuje się, że jest w pułapce.

Franklin słuchał tych rozmów jednym uchem. Trójka szarżujących ech zbliżała się złowieszczo. Kaszaloty należą do najbardziej wojowniczych mieszkańców mórz — różnią się od swoich roślinożernych krewniaków tak jak dzikie bizony różnią się od domowego bydła. Swego czasu kaszalot staranował i zatopił statek „Essex", co znalazło odbicie w zakończeniu „Moby Dicka"; Franklin wolał, żeby jego łódź podwodna uniknęła podobnego losu.

Mimo to trzymał się uparcie wytkniętego kursu, chociaż od spotkania z pędzącymi echami dzieliło go nie więcej niż piętnaście sekund, I wtedy zobaczył, że zaczynają się rozdzielać; były zapewne nie tyle przestraszone, co zbite z tropu. Widocznie szum jego silników sprawił, że straciły kontakt z celem. Zredukował szybkość do zera i teraz trzy wieloryby okrążały go zaintrygowane w odległości stu stóp. Czasem udawało mu się dostrzec ich cienie na ekranie telewizyjnym. Tak jak przypuszczał, były to młode samice i czuł wyrzuty sumienia, że pozbawił je łatwego łupu.

Tak czy owak, zatrzymał ich szarżę i reszta należała do Dona. Z krótkich, chwilami gwałtownych uwag, dobiegających go z głośnika, wiedział, że sprawa nie jest prosta. Percy nie odzyskał jeszcze przytomności całkowicie, ale poczuł już, że coś jest nie w porządku, i zaczął stawiać opór.

Najlepiej widzieli wszystko ludzie znajdujący się na pokładzie pływającego doku. Don wynurzył się w odległości pięćdziesięciu metrów, a za nim ukazała się na powierzchni drgająca, galaretowata masa. Z największą szybkością, jaką mógł zaryzykować, Don ruszył w stronę otwartych wrót doku. Jedno z ramion Percy'ego próbowało zaczepić się u wejścia, jakby na wpół świadomie bronił się przed niewolą, ale Don holował go z taką szybkością, że zerwał niepewny jeszcze uchwyt. Gdy tylko znaleźli się w basenie, grube, stalowe wrota zaczęły się zwierać jak potężne szczęki i Don odrzucił linę holowniczą, obwiązaną wokół tułowia kalmara. Nie tracąc ani sekundy, wymknął się z drugiej strony i stalowe wrota natychmiast zatrzasnęły się za nim. Osadzenie Percy'ego w klatce zajęło nie więcej niż dwadzieścia sekund. Kiedy Franklin wynurzył się w asyście trzech rozczarowanych, ale nie zdradzających wrogich zamiarów kaszalotów, nikt go nie zauważył. Wszyscy wpatrywali się z mieszaniną lęku, tryumfu, naukowej ciekawości, a nawet wręcz niedowierzania w potworną zdobycz, która szybko wracała do przytomności w wielkim, betonowym basenie. Woda była nieustannie natleniana strumieniami pęcherzyków bijących z całego systemu przewodów i błyskawicznie pozostałości paraliżujących narkotyków zostały wymyte z organizmu Percy'ego. W przyćmionym, matowym świetle, rozjaśniającym wnętrze doku, widać było olbrzymiego kalmara badającego swoje więzienie.

Najpierw przepłynął wolno z końca de końca, obmacując betonowe ściany prostokątnego basenu. Potem dwa ogromne ramiona uniosły się w powietrze, jakby wygrażając gapiom zgromadzonym wokół bariery, dotknęły siatki przewodzącej prąd… i odskoczyły z szybkością niemal nieuchwytną dla ludzkiego oka. Dwukrotnie jeszcze Percy powtarzał swój eksperyment, zanim przekonał się, że ta droga jest zamknięta. Przez cały czas przyglądał się otaczającym go cherlawym istotom, a jego wzrok zdawał się zdradzać inteligencję nie mniejszą od tej, jaką rozporządzali jego prześladowcy.

Kiedy Don i Franklin weszli na pokład, kalmar sprawiał już wrażenie pogodzonego z niewolą i okazywał nawet pewne zainteresowanie rybami, które mu wrzucono do basenu. Dwaj inspektorzy stanęli za siatką obok doktora Robertsa i dopiero teraz mogli po raz pierwszy obejrzeć w całej okazałości potwora, którego wydobyli z głębiny.

Patrzyli w milczeniu na tę masę potężnych, elastycznych mięśni, na niezliczone zrogowaciałe przyssawki, pulsujący worek i wielkie oczy najlepiej wyposażonego przez przyrodę drapieżnika na Ziemi. Don odezwał się za nich obu:

— Należy teraz do ciebie, doktorze. Mam nadzieję, że wiesz, jak się z nim obchodzić.

Doktor Roberts uśmiechnął się dość pewnie. Był teraz bardzo szczęśliwym człowiekiem, chociaż zaczynał odczuwać pewien niepokój. Nie wątpił, że da sobie radę z Percym, i nie mylił się. Nie był natomiast pewien, czy równie dobrze potrafi dać sobie radę z dyrektorem, kiedy nadejdą rachunki za aparaturę naukową, jaką zamówił, i za tony ryb, jakie Percy będzie pochłaniał.

XVI

Sekretarz Departamentu Nauki wysłuchał go z uwagą — i nie tylko z uwaga, pomyślał Franklin, ale z niekłamanym zainteresowaniem. Kiedy skończył tak długo i starannie przygotowywaną przemowę, poczuł nagłe i nieoczekiwane odprężenie. Miał świadomość, że zrobił wszystko, co mógł; reszta nie zależała od niego.

— Jest kilka szczegółów, które chciałbym wyjaśnić — powiedział sekretarz. — Pierwsze pytanie narzuca się samo. Dlaczego dotarłeś z tą sprawą aż do Sekretariatu Światowego i do naszego departamentu, zamiast zwrócić się do wydziału badań naukowych w Departamencie Morskim?

Franklin musiał przyznać, że pytanie było oczywiste i cokolwiek drażliwe. Wiedział, że jest ono nieuniknione, i miał przygotowaną odpowiedź.

— Oczywiście starałem się najpierw uzyskać poparcie w swoim departamencie po wiedział. — Zainteresowanie sprawą było duże, zwłaszcza po schwytaniu kalmara. Jednak

"Akcja Percy" okazała się znacznie bardziej kosztowna, niż początkowo przypuszczano, w związku z czym powstała bardzo napięta sytuacja. W rezultacie kilku pracowników naukowych musiało pożegnać się z naszym departamentem.

— Wiem wtrącił sekretarz z uśmiechem. — Część z nich pracuje teraz u nas.

— W rezultacie krzywią się teraz u nas na wszelkie poczynania, nie mające bezpośrednio praktycznego zastosowania, i dlatego właśnie przychodzę do was. Poza tym, szczerze mówiąc, sprawa przekracza kompetencje departamentu ze względu na koszty.

— Czy jesteś pewien, że gdyby projekt zyskał aprobatę władz wyższych, dostalibyśmy z departamentu ludzi?

— Pod warunkiem, że będzie to w odpowiednim czasie. Teraz, kiedy bariery działają właściwie bez usterek — w ciągu ostatnich trzech lat nie było wypadku przerwania zagrody — inspektorzy nie mają zbyt wiele roboty poza corocznymi spędami wielorybów. Dlatego wydawało mi się, że dobrze byłoby…

— Wykorzystać marnujące się talenty inspektorów?

— To może zbyt mocno powiedziane. Nie miałem zamiaru krytykować kierownictwa sekcji.

— Nic podobnego nie przyszło mi nawet do głowy — uśmiechnął się sekretarz. — Drugie pytanie ma charakter bardziej osobisty. Dlaczego tak się przejąłeś tą sprawą? Musiałeś poświęcić jej masę czasu i energii, a także — powiedzmy sobie otwarcie — narażałeś się

na niezadowolenie przełożonych, zwracając się z tym bezpośrednio do mnie.

Na to pytanie niełatwo było odpowiedzieć, szczególnie komuś obcemu. Czy człowiek, zajmujący tak wysokie stanowisko w administracji państwowej, potrafi zrozumieć fascynację tajemniczym echem na ekranie hydrolokatora, widzianym raz tylko, i to wiele lat temu? Chyba tak, sam przecież jest przynajmniej częściowo człowiekiem nauki.

— Prawdopodobnie nie będę już długo pracował na stanowisku głównego inspektora — wyjaśnił Franklin. — Mam trzydzieści osiem lat i wkrótce będę za stary do tej pracy. Zawsze miałem dociekliwy umysł i myślę, że sam mógłbym zostać uczonym. Zależy mi na wyjaśnieniu tej zagadki, chociaż wiem, że szansę na jej rozwiązanie wyglądają na pierwszy rzut oka mizernie.

— Owszem. Ta mapa z naniesionymi punktami, gdzie go spotkano, obejmuje połowę mórz i oceanów.

— Wiem, że to może się wydać beznadziejne, ale nowe urządzenia hydrolokacyjne mają trzykrotnie zwiększony zasięg, a echo tej wielkości łatwo rzuca się w oczy. Wykrycie go jest tylko kwestią czasu.

— I ty chcesz być tym, który je wykryje? No cóż, można to zrozumieć. Kiedy otrzymałem twój memoriał, pokazałem go moim ekspertom od biologii morza i usłyszałem trzy różne opinie — żadna z nich nie była zbyt zachęcająca. Niektórzy twierdzą, że te echa są najprawdopodobniej fantomami, powstającymi w wyniku defektu aparatury albo fałszywymi echami, wywoływanymi zmianami w składzie lub temperaturze wody.

Franklin prychnął.

— Gdyby je zobaczyli, nie mieliby wątpliwości. Ostatecznie to jest nasz zawód i potrafimy rozpoznać fałszywe echa.

— Tak, ja też tak uważam. Ale inni znów specjaliści uważają, że to nie może być nic innego, jak kalmar, król śledziowy czy węgorz i że wasze patrole widziały zawsze jedno z tych trzech zwierząt albo dużego rekina głębinowego.

Franklin potrząsnął głową.

— Wiem, jak wygląda echo każdego z tamtych zwierząt. To jest zupełnie co innego.

— Trzeci rodzaj wątpliwości jest natury teoretycznej. Po prostu w głębinach nie ma wystarczającej ilości pożywienia dla żadnych dużych i prowadzących ruchliwy tryb życia form biologicznych.

— Tego nikt nie wie na pewno. Zaledwie sto lat temu uczeni utrzymywali, że na dnie oceanu nie może istnieć żadne życie. Dzisiaj wiemy, że to nonsens.

— Widzę, że przemyślałeś sprawę wszechstronnie. Zobaczę, co mi

się uda zrobić.

— Bardzo dziękują. Myślę, że lepiej, jeśli w sekcji nie będą wiedzieli o naszej rozmowie.

— Nie powiemy im, ale i tak się domyśla. — Sekretarz wstał, co Franklin zrozumiał jako znak, że rozmowa jest skończona. Pomylił się jednak.

— Na zakończenie chciałbym, żebyś mi wyjaśnił pewną sprawę, która męczy mnie od paru ładnych lat.

— Słucham.

— Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, co może robić dobrze wyszkolony inspektor, który w środku nocy na pełnym morzu płynie z aparatem powietrznym na głębokości pięciuset stóp.

Zapanowało milczenie.

Przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli na siebie bez słowa, oceniając nagle zmienioną sytuacje. Franklin sięgnął pamięcią wstecz, ale twarz sekretarza nie wywoływała żadnych skojarzeń; zbyt wiele lat i spotkań z ludźmi dzieliło go od tamtego wydarzenia.

— Jesteś jednym z tych, którzy mnie wtedy uratowali? — spytał. — Jeśli tak, to zawdzięczam ci bardzo dużo… Widzisz, to nie był wypadek — dodał po chwili milczenia.

— Tak się też domyślałem; to wszystko wyjaśnia. Ale zanim zmienimy temat, chciałbym jeszcze wiedzieć, co stało się z Bertem Darrylem?

— No cóż, zawsze dokładał do tego swojego „Lwa Morskiego” i wreszcie wyczerpał wszystkie możliwości pożyczek. Ostatni raz widziałem go w Melbourne; był zrozpaczony, ponieważ zniesiono opłaty celne i uczciwi przemytnicy stracili kawałek chleba. Doprowadzony do ostateczności usiłował uzyskać odszkodowanie za „Lwa Morskiego”; zorganizował przekonywający pożar i musiał opuścić łódź na morzu. „Lew Morski” poszedł na dno, ale ludzie z firmy ubezpieczeniowej znaleźli go tam i stwierdzili, że przed pożarem wymontowano całe wartościowe wyposażenie. Było śledztwo i nie wiem, jak kapitan z tego wybrnął.

To był już koniec starego łotrzyka. Zaczął pić na dobre i którejś nocy w Darwin postanowił się wykąpać w morzu. Skoczył z mola, zapominając, że jest odpływ — a w Darwin różnica poziomów wynosi trzydzieści stóp — i skręcił sobie kark. Wielu go opłakiwało, nie mówiąc już o wierzycielach.

— Biedny, stary Bert. Świat stałby się nudny bez takich jak on.

Franklin pomyślał sobie, że była to dość nieoczekiwana uwaga w ustach tale wysoko postawionej osobistości. Ucieszyło go to nie tylko dlatego, że sam myślał podobnie. Oto niespodziewanie zyskał sobie bardzo wpływowego przyjaciela i szansę na zrealizowanie jego projektu niepomiernie wzrosły.

Nie spodziewał się natychmiastowej decyzji, nie był więc rozczarowany, kiedy przez kilka następnych tygodni nie miał żadnych wiadomości. Tymczasem nie nudził się; martwy sezon zaczynał się dopiero za trzy miesiące, a poza tym miał mnóstwo drobnych, ale uciążliwych kłopotów.

Jeden z nich nie był wcale mały, jeśli w ogóle można go nazwać kłopotem. Na świat przyszła Anna Franklin z szeroko otwartymi oczami i równie szeroko otwartą buzią. Indra po raz pierwszy zwątpiła w dalszy rozwój swojej kariery naukowej.

Franklina, ku jego wielkiemu rozczarowaniu, nie było w domu, kiedy urodziła się córka. Dowodził wtedy grupą sześciu łodzi podwodnych, mających za zadanie przetrzebienie drapieżnych orek w okolicy Wysp Pribyłowa. Nie była to pierwsza akcja tego rodzaju, ale dzięki zastosowaniu nowego sprzętu — najbardziej owocna. Łodzie czekały w zasadzce, wabiąc orki nadawanymi przez głośniki charakterystycznymi głosami fok i młodych wielorybów.

Orki pojawiały się setkami i sprawiono im istną rzeź. Mała flotylla wróciła do bazy mając na swoim koncie przeszło tysiąc zabitych orek. Była to trudna i chwilami niebezpieczna praca, ale Franklin czuł obrzydzenie do tej naukowej mokrej roboty, chociaż rozumiał jej konieczność. Musiał mimo woli podziwiać piękno, szybkość i zawziętość tych morskich drapieżników, które teraz same stały się ofiarami, i był prawie zadowolony, kiedy pod koniec akcji liczba zabijanych orek gwałtownie zmalała. Wyglądało na to, że nauczone gorzkim doświadczeniem zorientowały się, o co chodzi. Dział finansowy będzie musiał zdecydować, czy powtórzenie podobnej akcji w przyszłym roku będzie ekonomicznie uzasadnione.

Ledwie Franklin zdążył ochłonąć po tej wyprawie, ledwie zdążył pobawić się ostrożnie z Anną, która zresztą nie zwracała na niego najmniejszej uwagi, a już wysłano go do Południowej Georgii. Miał tam zbadać, dlaczego wieloryby, które dawniej bez szemrania wpływały do rzeźni, teraz nagle stały się podejrzliwe i nie chciały zbliżać się do śluzy, gdzie zabijano je prądem elektrycznym. Tym razem Franklin nie przyczynił się do rozwikłania tajemnicy; podczas gdy on szukał czynników natury psychologicznej, młody, bystry pracownik zakładów odkrył, że część krwi z rzeźni przesącza się do morza. Nic dziwnego, że wieloryby, mimo iż nie mają tak wyczulonego węchu jak niektóre inne zwierzęta morskie, okazywały strach i podniecenie, kiedy ruchome bariery kierowały je do miejsca, gdzie tylu ich pobratymców znalazło śmierć.

Jako główny inspektor, dla którego szykowano już dalszy awans, Franklin pełnił, teraz funkcję jakby pogotowia ratunkowego i mógł w każdej chwili oczekiwać wysłania w sprawach sekcji do najbardziej

odległego zakątka na kuli ziemskiej. Sytuacja taka odpowiadałaby mu całkowicie, gdyby nie wzgląd na życie rodzinne. Z chwilą gdy człowiek opanował technikę pracy inspektora, patrolowanie i spędy wielorybów szybko stawały się chlebem powszednim. Ludziom w rodzaju Dona Burleya wystarczało to do szczęścia, ale Don nie był ani zbyt ambitny, ani nie był tytanem intelektu. Franklin myślał o tym bez żadnego poczucia wyższości; było to proste stwierdzenie faktu, z którym Don pierwszy by się chętnie zgodził.

Franklin znajdował się w Anglii, gdzie występował jako biegły przed Komisją Wielorybniczą, która z ramienia państwa kontrolowała działalność sekcji, kiedy otrzymał telefon od doktora Lundquista. Lundquist przyszedł na miejsce Robertsa, który zrezygnował z pracy w Sekcji Wielorybów dla znacznie lepiej płatnego stanowiska w Marinelandzie.

— Otrzymałem z Departamentu Nauki trzy skrzynie z aparaturą naukową. My tego nie zamawialiśmy, ale na pakach jest twoje nazwisko. Czy wiesz, o co tu chodzi?

Franklin w pośpiechu rozważał sprawę. No tak, musieli to przysłać podczas jego nieobecności. Jeśli dyrektor wykryje wszystko, zanim on zdoła przygotować grunt, będzie awantura.

— To za długa historia na telefon — odpowiedział. — Za dziesięć minut mam stawać przed komisją. Schowaj to gdzieś do mojego powrotu, wyjaśnię wszystko na miejscu.

— Mam nadzieję, że to nie pomyłka. Są tam bardzo dziwne rzeczy.

— Nie przejmuj się. Do zobaczenia pojutrze. Jeśli zjawi się tam Don Burley, to pokaż mu ten sprzęt, a wszystkie formalności załatwią osobiście po powrocie.

Franklin pomyślał sobie, że to będzie najtrudniejsza część całego zadania. Jak wprowadzić do spisu inwentarza Sekcji aparaturę, która nigdy nie została oficjalnie zamówiona, tak, żeby nie wywołać zbyt wielu pytań, to sprawa niemal równie trudna jak znalezienie Wielkiego Węża Morskiego…

Niepotrzebnie się martwił. Jego nowy, wpływowy sojusznik, sekretarz Departamentu Nauki, przewidział większość jego kłopotów. Wyposażenie zostało Sekcji wypożyczone i miało być zwrócone natychmiast po wykorzystaniu. Ponadto dano dyrektorowi do zrozumienia, że inicjatorem projektu jest Departament Nauki; mógł mieć co do tego wątpliwości, ale oficjalnie Franklinowi nic nie można było zarzucić. — Ponieważ wygląda, że wiesz coś na ten temat — zwrócił się do Franklina po rozpakowaniu skrzyń w laboratorium — to może wyjaśnisz nam, do czego to ma służyć.

— To jest automat rejestrujący, znacznie czulszy od tych, które służą do liczenia wielorybów na przejściach. W zasadzie jest to stacja

hydroakustyczna obserwacji okrężnej o zasięgu piętnastu mil. Eliminuje ona wszystkie echa stałe i zapisuje wyłącznie przedmioty ruchome. Można ją także nastawić w ten sposób, aby rejestrowała wyłącznie obiekty powyżej pewnej wielkości. Inaczej mówiąc, można za jej pomocą liczyć wieloryby przekraczające pięćdziesiąt stóp długości, nie uwzględniając pozostałych. Automat włącza się co sześć minut — dwieście czterdzieści razy dziennie — zapewnia więc praktycznie ciągłą obserwację wybranego rejonu.

— Bardzo pomysłowe. Zapewne Departament Nauki życzy sobie, żebyśmy opuścili to gdzieś na dno i zorganizowali obsługę?

— Tak, dane odbiera się raz na tydzień. Będą stanowić cenny materiał również dla nas. Nawiasem mówiąc, dostaliśmy trzy takie automaty.

— Wiadomo, Departament Nauki działa z rozmachem! Chciałbym, żebyśmy my tak mogli szastać pieniędzmi. Dajcie mi znać, jak to działa, jeśli w ogóle będzie działać.

Obeszło się bez burzy i nikt ani słowem nie wspomniał o wężu morskim.

Niestety również przez następne dwa miesiące nie było po nim ani śladu. Co tydzień łodzie patrolowe dostarczały zapisy z trzech stacji automatycznych, zakotwiczonych na głębokości pół mili pod poziomem morza w punktach dobranych przez Franklina po starannej analizie wszystkich danych o spotkaniach z wężem morskim. Z entuzjazmem, który stopniowo przeradzał się w upór, przeglądał setki metrów staromodnej szesnastomilimetrowej taśmy filmowej — nadal niezastąpionej do takich celów. Wyświetlając filmy mógł w ciągu kilku minut obejrzeć wizyty potężnych mieszkańców głębin z całego tygodnia.

Większość klatek była pusta, gdyż automat był tak nastawiony, że nie rejestrował ech przedmiotów poniżej siedemdziesięciu stóp długości. Miało to eliminować wszystkie zwierzęta, z wyjątkiem największych wielorybów i oczywiście tego, którego szukano. Jednak kiedy płynęło stado wielorybów, film połyskiwał echami, przeskakującymi ekran z nienaturalną szybkością, bo przecież oglądał życie morza przyśpieszone prawie dziesięć tysięcy razy.

Po dwóch miesiącach bezowocnych trudów Franklin zaczął się zastanawiać, czy wybrał dobre miejsce dla swoich automatycznych stacji, i planował ich przeniesienie. Ustalił już nawet nowe miejsca i postanowił, że zrobi to po następnej porcji filmów.

I wtedy właśnie znalazł to, czego szukał. Było na samym skraju ekranu i tylko na czterech kolejnych klatkach filmu. Dwa dni temu to niezapomniane, dziwne echo zostało zarejestrowane przez automat i świadectwo tego miał teraz w rękach. Świadectwo, ale jeszcze nie

dowód.

Przeniósł pozostałe dwa automaty, ustawiając je w wielki trójkąt o boku piętnastu mil, tak by ich pola obserwacji zachodziły na siebie. Potem musiał zmobilizować całą cierpliwość i czekać przez tydzień.

Oczekiwanie nie było daremne; po tygodniu miał w ręku materiał niezbędny do rozpoczęcia kampanii. Rozporządzał oczywistymi i niepodważalnymi dowodami.

Ogromne zwierzą, zbyt długie i zbyt cienkie na jakiekolwiek ze znanych stworzeń morskich, żyło na nieprawdopodobnej głębokości dwudziestu tysięcy stóp i dwa razy na dobę podpływało na pół drogi do powierzchni, prawdopodobnie w poszukiwaniu pożywienia. Na podstawie tego, kiedy pojawiało się w zasięgu stacji, Franklin mógł sporo dowiedzieć się o jego zwyczajach. Jeżeli wąż nie zmieni gwałtownie miejsca pobytu, powtórzenie sukcesu „Akcji Percy” nie powinno być zbyt trudne.

Franklin zapomniał, że ocean nigdy się nie powtarza.

XVII

— Wiesz, kochanie — powiedziała Indra — cieszę się, że to już jedna z twoich ostatnich akcji.

— Jeśli sądzisz, że jestem już za stary…

— O, chodzi nie tylko o to. Kiedy obejmiesz pracę w centrali, będziemy mogli wreszcie prowadzić normalne życie towarzyskie. Zaproszę znajomych na kolację i nie będę musiała ich przepraszać, że zostałeś nagle wezwany do chorego wieloryba. Dla dzieci też będzie lepiej; nie będę wyjaśniać im stale, kto to jest ten dziwny człowiek, który czasem pojawia się w naszym domu.

— No, nie jest jeszcze chyba tak źle, prawda Peter? — roześmiał się Franklin, wichrząc ciemną czuprynę syna.

— Tatusiu, kiedy weźmiesz mnie na łódź podwodną? — dopytywał się Peter po raz chyba setny.

Jak podrośniesz na tyle, że nie będziesz mi tam przeszkadzał.

— Przecież jak będę większy, to będę ci bardziej przeszkadzał.

— Masz logiczną odpowiedź! — powiedziała Indra. — Mówiłam ci, że moje dziecko to mały geniusz.

— Możliwe, że odziedziczył po tobie włosy, ale to nie znaczy, że masz jakiś udział w tym, co on ma w głowie — odparował Franklin i spojrzał na Dona, który wydawał różne śmieszne dźwięki, żeby zabawić Annę. Mała wyglądała tak, jakby nie mogła się zdecydować, czy ma się roześmiać, czy wybuchnąć płaczem. — A ty, kiedy się zdecydujesz rozpocząć własne życie rodzinne? Nie możesz być przez całe życie honorowym wujkiem.

O dziwo, Don jakby się zmieszał.

— Prawdę mówiąc, zastanawiam się nad tym — powiedział z namysłem. — Wreszcie spotkałem kogoś, kto mi może nie odmówi.

— Gratuluję! Zauważyłem, że ostatnio dużo czasu spędzasz z Mary.

Don zmieszał się jeszcze bardziej.

— To… to nie Mary. Z nią się tylko żegnałem.

— O… — bąknął Franklin zbity z tropu. — Więc kto, w takim razie?

— Chyba jej nie znasz. Nazywa się June, June Curtis. Nie pracuje w naszej sekcji, z czego jestem nawet zadowolony. Jeśli się nie rozmyślę, to chyba w przyszłym tygodniu poproszę ją o rękę.

— Powinieneś to zrobić — powiedziała Indra zdecydowanie. — Jak tylko wrócicie z tego polowania, zaproś ją do nas na kolację, a wtedy powiem ci, co o niej myślę.

— A ja powiem jej, co myślę o Donie — dodał Franklin. — To będzie chyba uczciwie, co?

“…To jedna z twoich ostatnich akcji” — przypomniał sobie Franklin słowa Indry, kiedy jego mały statek głębinowy zaczął zanurzać się szybko w krainę wiecznej nocy. No, niezupełnie, bo chociaż otrzymał awans na stanowisko w administracji, będzie od czasu do czasu wypływał w morze. Na pewno jednak okazje ku temu będą coraz rzadsze; był to jego łabędzi śpiew w roli inspektora i nie wiedział, czy smucić się z tego powodu, czy cieszyć.

Przez siedem lat pływał po oceanie — jeden rok na każde z siedem mórz — i w czasie tych lat poznał życie głębin w stopniu niedostępnym poprzednim pokoleniom. Widział morze we wszystkich postaciach; ślizgał się po gładkiej jak lustro toni i czuł napór fal, kołyszących jego łódź podwodną, mimo że płynął na głębokości stu stóp pod targaną sztormem powierzchnią. Przebywając w tym świecie tak kipiącym życiem, że w porównaniu z nim ląd wydawał się pustynią, oglądał piękno i potworności, był świadkiem narodzin i śmierci w ich tysiącznych formach.

Nikt nie może poznać do końca wszystkich cudów morza, ale Franklin czuł, że nadszedł czas, aby podjąć inne, nowe zadania. Poszukał wzrokiem na ekranie hydrolokatora świecącego cygara — echa łodzi podwodnej Dona. Pomyślał z czułością o tym, co ich łączy, i także o tym, co ich różni i co teraz rozdzieli ich drogi. Czy wówczas, kiedy spotkali się jako nauczyciel i uczeń, mógł ktoś przypuścić, że zrodzi się między nimi taka przyjaźń?

Było to zaledwie siedem lat temu, a już nie bardzo pamiętał, co wtedy czuł i myślał. Był niewymownie wdzięczny psychologom, którzy nie tylko wyleczyli jego umysł, lecz także znaleźli mu pracę, dzięki której odbudował swoje życie.

Zrobił następny, nieunikniony, krok. Pomyślał o swojej rodzinie na Marsie — mój Boże, Rupert ma już dwanaście lat! — która kiedyś była dla niego wszystkim, a której obraz stopniowo zacierał się w jego pamięci. Ostatnie ich fotografie pochodziły sprzed roku, zaś ostatni list od Ireny został wysłany z Marsa pół roku temu; Franklin ze wstydem przypomniał sobie, że jeszcze na niego nie odpowiedział.

Ból minął dawno temu; nie cierpiał już z powodu tego, że jest więźniem w swoim własnym świecie, nie tęsknił za twarzami przyjaciół z czasów, kiedy uważał, że należy do niego cały kosmos. Odczuwał tylko smutek i jakby żal, że rozpacz też przemija.

Rozmyślając Franklin nie przestawał ani na chwilę obserwować upstrzonego wskaźnikami pulpitu sterowniczego. Z zadumy wyrwał go głos Dona.

— Walt, przed chwilą pobiliśmy mój rekord głębokości zanurzenia. Nigdy nie zszedłem głębiej niż na dziesięć tysięcy.

— A jesteśmy dopiero w połowie drogi. Zresztą, co to za różnica,

skoro ma się odpowiednio wyposażoną łódź? Po prostu dłużej się płynie w dół i dłużej się wypływa. Te łodzie miałyby zapas bezpieczeństwa nawet na dnie Rowu Filipińskiego.

— Tak, to prawda, ale nie próbuj mnie przekonać, że nie ma różnicy psychologicznej. Czy ty nie czujesz ciężaru dwóch mil wody nad sobą?

Takie pobudzenie wyobraźni było jak na Dona zupełnie niezwykłe; podobne uwagi były specjalnością Franklina, a Don zawsze się z nich podśmiewał. Cóż, jeśli teraz Don wpada w nastroje, najlepiej będzie zaaplikować mu jego własne lekarstwo.

— Daj mi znać, jak zaczniesz przeciekać! — powiedział Franklin. — Kiedy będziesz miał po szyję, natychmiast zawrócimy.

Musiał przyznać, że ten nie najlepszy dowcip poprawił humor jemu samemu. Świadomość, że ciśnienie wokół niego wzrasta do pięciu ten na cal kwadratowy, miała swój wpływ na psychikę. Czegoś podobnego nie odczuwał podczas akcji na mniejszych głębokościach, gdzie przecież każda awaria była równie niebezpieczna. Franklin miał całkowite zaufanie do swego sprzętu, a mimo to odczuwał dziwne przygnębienie, odbierające całą radość tej z takim trudem przygotowywanej wyprawie.

Po przebyciu dalszych pięciu tysięcy stóp nastrój wyraźnie im się — poprawił. Obaj jednocześnie dostrzegli echo i przez chwilę przekrzykiwali się nawzajem, zanim przypomnieli sobie o regulaminie łączności. Kiedy zapanowała cisza, Franklin wydał rozkazy.

— Zmniejsz szybkość do jednej czwartej — powiedział. — Wiemy, że to bydlę jest bardzo czujne; lepiej go nie płoszyć zawczasu.

— Może napełnimy zbiorniki dziobowe i zejdziemy ślizgiem?

— To trwałoby zbyt długo — mamy do niego jeszcze trzy tysiące stóp. Trzeba też zmniejszyć moc sygnałów hydrolokatora; nie chcę, żeby odebrał nasze impulsy.

Zwierzę poruszyło się w dziwnie nieregularny sposób na stałej głębokości, rzucało się to w lewo, to w prawo, jakby w pogoni za zdobyczą. Pływało wzdłuż zbocza niezwykle stromej góry podwodnej, wznoszącej się z dna na jakieś cztery tysiące stóp. Nie po raz pierwszy Franklin pomyślał z żalem, że najpiękniejsze na Ziemi krajobrazy ukryte są przed ludzkim wzrokiem na dnie oceanu. Nie ma na lądzie widoków, które mogłyby się równać z ogromnymi kanionami północnego Atlantyku lub potwornymi wyrwami w dnie Pacyfiku, uznanymi za największe zmierzone głębie na Ziemi. Opuszczali się powoli poniżej wierzchołka zatopionej góry, której najwyższy szczyt był jeszcze o trzy mile poniżej powierzchni morza. Już na niewiele większej głębokości zagadkowe wydłużone echo poruszało się falistym ruchem, który nieodparcie kojarzył się z wężem. Byłoby zabawne, pomyślał Franklin, gdyby tajemniczy wąż morski okazał się

rzeczywiście wężem. Chociaż nie, to niemożliwe, nie ma przecież skrzełodysznych węży.

Nikt nie naruszał milczenia podczas tego powolnego i ostrożnego zbliżania się do celu. Obaj zdawali sobie sprawę, że jest to jeden z najważniejszych momentów w ich życiu, i chcieli w pełni odczuć jego smak. Don do ostatniej chwili był nastawiony sceptycznie; uważał, że jeśli w ogóle coś znajdą, te najwyżej przedstawiciela jakiegoś znanego gatunku zwierząt. W miarę jednak jak echo stawało się wyraźniejsze, zdradzało ono coraz więcej dziwnych cech. To było niewątpliwie coś zupełnie nowego. Płynęli teraz w cieniu góry, wznoszącej się ponad ich głowami na przeszło dwa tysiące stóp; ich zwierzyna była teraz nie dalej niż o pół mili. Franklin musiał się powstrzymywać, żeby nie włączyć ultrafioletowych reflektorów, które w jednej chwili mogłyby rozwiązać najstarszą tajemnicę morza i przynieść mu nieprzemijającą sławę. Czy to jest najważniejsze? — zadawał sobie pytanie, Ucząc wlokące się sekundy. Nie próbował nawet ukrywać przed sobą, że to jest ważne. Może już nigdy w życiu nie trafi mu się podobna okazja…

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, łódź zadrżała jakby uderzona młotem. W tej samej chwili Don krzyknął:

— O rany! Co to było?

— Jakiś idiota rzuca ładunki wybuchowe — odpowiedział Franklin tak wściekły, że nawet nie odczuł strachu. — Przecież uprzedzono wszystkich, że będziemy tu działać!

— To nie był wybuch. To trzęsienie ziemi, znam się na tym.

Żadne inne słowo nie potrafiłoby tak nagle ożywić lęku przed głębokością, jaki Franklin pokonał nieco wcześniej. Natychmiast odczuł niemal fizycznie ogromny ciężar masy wody; jego mocny statek wydał mu się nagle kruchą łupiną, zdaną na łaskę sił, które kpiły sobie z ludzkiej techniki.

Franklin wiedział, że trzęsienia ziemi są czymś pospolitym w głębinach Pacyfiku, gdzie woda nieustannie utrzymuje skały w stanie równowagi chwiejnej. Raz czy dwa zdarzyło mu się odczuć w czasie patrolu dalekie wstrząsy, ale tym razem był niewątpliwie blisko epicentrum.

— Na pełnych obrotach w górę! — zdecydował. — To mógł być tylko początek.

— Załatwimy to w pięć minut — zaprotestował Don. — Spróbujmy, Walt.

Franklin sam odczuwał silną pokusę zostania. Ten wstrząs mógł być pierwszym i ostatnim; głębokie warstwy ziemi mogły już zrzucić z siebie gniotący je ciężar. Spojrzał na echo, za którym gonili; ono również przyśpieszyło swój ruch, jakby i ono przestraszyło się tej demonstracji drzemiących sił przyrody.

— Zaryzykujemy — postanowił Franklin. — Ale w razie

następnego wstrząsu wypływamy natychmiast.

— Zgoda — odpowiedział Don. — Założą się dziesięć do jednego…

Nie dane mu było dokończyć tego zdania. Nowy wstrząs nie był gwałtowniejszy od pierwszego, ale trwał dłużej. Fala uderzeniowa wędrując z szybkością prawie mili na sekundę odbijała się między powierzchnią a dnem i cały ocean zdawał się przeżywać skurcze porodowe. Franklin krzyknął tylko dwa słowa — „Do góry!" i zadarł dziób łodzi ku jakże odległemu niebu.

Ale cóż to! Nieba nie było. Wyraźna linia wyznaczająca na ekranie granicę między wodą i powietrzem znikła, ustępując miejsca chaosowi niejasnych kształtów. Przez ułamek sekundy Franklin pomyślał, że wstrząsy uszkodziły aparaturę; potem nagle uświadomił sobie, co oznacza ten niewiarygodny, przerażający obraz na ekranie.

— Don — ryknął — uciekaj w morze, góra się wali!

Miliardy ton piętrzącej się nad nimi skały zsuwały się w głębinę. Całe zbocze góry pękło i waliło się kamiennym wodospadem z pozorną powolnością i z niepowstrzymaną siłą. Była to jakby lawina w zwolnionym tempie, ale Franklin wiedział, że za sekundę na ich głowy posypie się grad skalnych odłamków.

Płynął z pełną szybkością, ale miał uczucie, że stoi w miejscu. Nawet bez pomocy głośników słyszał przez ściany łodzi huk i zgrzyt miażdżonej skały. Przeszło połowę ekranu hydrolokatora przesłaniały teraz kamienne bryły oraz ogromna chmura mułu i piasku. Zaczynał tracić orientację; jedynie, co mógł zrobić, to trzymać kurs i modlić się.

Coś uderzyło ze stłumionym hukiem w pancerz łodzi, która zadrżała od dzioba do steru. Przez chwilę Franklin myślał, że straci nad nią panowanie, ale udało mu się wyrównać. Jednocześnie poczuł, że unosi go potężny prąd wody, poruszonej widocznie obsunięciem się góry. Ucieszył się, ponieważ znosiło go ku bezpiecznym, otwartym wodom i po raz pierwszy zaświtała mu nadzieja na ocalenie.

Gdzie jest Don? Nie sposób było rozpoznać echo jego łodzi wśród kotłującej się masy na ekranie. Franklin nastawił radio na maksymalną moc i zaczął wzywać Dona. Odpowiedzi nie było; niewykluczone, że Don nie miał czasu na odpowiedź, nawet jeśli usłyszał wezwanie.

Fale uderzeniowe wygasły, a wraz z nimi ustąpiły najgorsze obawy Franklina. Nie trzeba się już obawiać, że ciśnienie uszkodzi pancerz łodzi, a obsuwająca się ściana też pozostała daleko w tyle. Najlepszy dowód, że unoszący go prąd wody był już znacznie słabszy. Na ekranie hydrolokatora tłumiący sygnały obłok ustępował z minuty na minutę, w miarę tego, jak opadał muł i piasek.

Stopniowo z mgły skłóconych odbić wyłaniało się zniekształcone zbocze góry. Obraz na ekranie stawał się coraz wyraźniejszy i można było dostrzec wielką szramę wyrytą przez lawinę. Dno nadal było

przesłonięte chmurą wzniesionego mułu; upłynie kilka godzin, zanim stanie się znowu widoczne i można będzie ocenić skutki tego drgnięcia skorupy ziemskiej.

Franklin wpatrywał się w ekran i czekał. Z każdym okrążeniem promienia obraz stawał się wyraźniejszy. Woda nadal była zmącona, ale większe cząstki już opadły na dno. Widział już na milę wokół siebie, potem na dwie… trzy…

I nigdzie nie było ani śladu wyraźnego i jasnego echa łodzi Dona. Nadzieja słabła w miarę tego, jak rozszerzał się zasięg hydrolokalora i ekran pozostawał pusty. Franklin, targany uczuciem rozpaczy, wciąż na nowo wysyłał swoje wezwania w otaczającą go ciszę.

Wybuchem petard sygnalizacyjnych zaalarmował wszystkie hydrofony Pacyfiku. Wodą i powietrzem natychmiast wyruszyły ekipy ratownicze, ale Franklin, który przystąpił do poszukiwań schodząc po spirali w głąb, wiedział, że wszystko to na próżno.

Don Burley przegrał swój ostatni zakład.

CZĘŚĆ TRZECIA — URZĘDNIK

XVIII

Wielka mapa pokrywająca całą ścianę gabinetu była dość niezwykła. Wszystkie lądy pozostawiono dziewiczo białe; widać, że twórcy tej mapy lądy nie interesowały. Za to morza były opisane szczegółowo i skrzyły się niezliczonymi kolorowymi światełkami, którymi rządził jakiś ukryty w ścianie mechanizm. Światełka te zmieniały powoli położenie, informując w ten sposób wtajemniczonych o ruchach wszystkich większych stad wielorybów, zamieszkujących morza i oceany.

Franklin oglądał tę mapę wielokrotnie w ciągu ostatnich czternastu lat, po raz pierwszy jednak patrzył na nią z tego miejsca. Siedział teraz w fotelu dyrektora.

— Nie muszę cię uprzedzać, Walt — powiedział na pożegnanie jego poprzednik — że przejmujesz sekcję w bardzo delikatnej sytuacji. W ciągu najbliższych pięciu lat dojdzie do decydującej konfrontacji z farmami. Jeżeli nie uda nam się zwiększyć wydajności, białko uzyskiwane z planktonu pobije nas taniością.

A przecież to nie, jest nasz jedyny problem. Mamy coraz większe trudności z ludźmi, a tu na dodatek coś takiego.

Rzucił na biurko folder reklamowy i Franklin uśmiechnął się krzywo, poznając ogłoszenie, które od tygodnia ukazywało się we wszystkich poważniejszych czasopismach świata. Departament Kosmonautyki musiał na to wydać kupę forsy.

Na dwóch stronach przedstawiono w niezwykle jaskrawych kolorach scenę podmorską. W kryształowo czystej głębinie walczyły potężne, okryte łuską potwory, większe i bardziej odrażające od wszystkiego, co żyło na Ziemi od okresu jurajskiego. Znając fotografie Franklin wiedział, że zwierzęta zostały przedstawione z drobiazgową dokładnością, natomiast jeśli chodzi o przejrzystość wody, to artysta niewątpliwie przesadził.

Towarzyszący tekst był utrzymany w spokojnym tonie; widocznie uznano, że obrazek jest wystarczająco sensacyjny i nie wymaga upiększeń. Departament Kosmonautyki poszukiwał młodych ludzi na stanowiska inspektorów i specjalistów od produkcji żywności do pracy przy zagospodarowaniu mórz wenusjańskich. Jest to, jak twierdzono w ogłoszeniu, najciekawsza i najlepiej płatna praca w całym układzie słonecznym; wynagrodzenie jest wysokie, a wymagane kwalifikacje niższe niż w przypadku pilota kosmicznego czy astrogatora. Po wyliczeniu warunków, jakim muszą odpowiadać kandydaci, ogłoszenie kończyło się hasłem, które Komisja do Spraw Wenus lansowała od sześciu miesięcy i którego Franklin miał już powyżej uszu:

— Na razie mamy dość kłopotów z pierwszą — mówił były dyrektor — a tymczasem najzdolniejsza młodzież ucieka na Wenus. Między nami mówiąc, wydaje mi się nawet, że Departament Kosmonautyki ostrzy sobie zęby na niektórych naszych pracowników.

— Nie mogą tego zrobić!

— Tak sądzisz? Jest tam w teczce prośba o zwolnienie starszego inspektora McRae'a; jeśli nie uda ci się namówić go, żeby został, to postaraj się wyciągnąć z niego, dlaczego odchodzi.

Tak, życie nie zapowiada się różowo, pomyślał Franklin. John McRae był jego starym przyjacielem; czy ma prawo odwoływać się do tej przyjaźni teraz, kiedy jest przełożonym Johna?

— Inny problem polega na tym, żeby utrzymać w ryzach uczonych. Ten Lundquist jest znacznie gorszy od Robertsa; Roberts miewał swoje pomysły, ale ten pracuje nad sześcioma zwariowanymi pomysłami naraz. Połowę czasu spędza na Wyspie Czapli. Może dobrze byłoby polecieć tam i pogadać z nim. Jakoś nigdy nie mogłem się tam wybrać.

Franklin słuchał uprzejmie, podczas gdy jego poprzednik z wyraźną lubością przedstawiał wszystkie ciemne strony jego nowego stanowiska. Większość z nich była mu dobrze znana, nic więc dziwnego, że myślami był daleko. Myślał o tym, jak dobrze byłoby zacząć urzędowanie od oficjalnej wizyty na Wyspie Czapli, której nie odwiedzał od pięciu lat, a z którą wiązało się tyle wspomnień z okresu, kiedy zaczynał pracę w sekcji.,

Doktor Lundquist był uradowany wizytą nowego dyrektora — sądził w swojej naiwności, że uzyska większe poparcie dla swoich planów. Na pewno zrzedłaby mu mina, gdyby wiedział, że zanosi się raczej na coś przeciwnego. Franklin zawsze odnosił się do badań naukowych z największym zrozumieniem, teraz jednak, kiedy sam musiał akceptować rachunki, stwierdził, że jego punkt widzenia uległ pewnej zmianie. Wszystkie prace Lundquista będą musiały dawać sekcji bezpośrednie korzyści. Inne sprawy nie wchodzą w grę, chyba że uda się przekazać je Departamentowi Nauki.

Lundquist był niskim, kipiącym energią człowieczkiem, którego szybkie, nerwowe ruchy przywodziły na myśl wróbla. Reprezentował typ entuzjasty, jakich nieczęsto się już dzisiaj spotyka, i łączył znakomite przygotowanie naukowe z nieskrępowaną wyobraźnią. Do jakiego stopnia była ona nieskrępowana, Franklin miał się wkrótce przekonać.

Na razie jednak wyglądało na to, że większość badań prowadzonych w laboratorium dotyczy spraw dość pospolitych. Dwaj

młodzi pracownicy przez pół godziny zanudzali Franklina, wyjaśniając mu nowe metody ochrony wielorybów przed trapiącymi je pasożytami, a potem ledwie udało mu się uniknąć wykładu na temat wielorybiego położnictwa. Z nieco większym zainteresowaniem słuchał o ostatnich osiągnięciach w dziedzinie sztucznego zapładniania, gdyż sam kiedyś uczestniczył w pierwszych — i najczęściej zupełnie nieudanych — eksperymentach tego rodzaju. Potem ostrożnie powąchał kawałek syntetycznej ambry i przyznał, że pachnie zupełnie jak naturalna, i wreszcie wysłuchał taśmy z nagranym biciem serca wieloryba przed i po operacji, która uratowała mu życie, udając, że słyszy jakąś różnicę.

Wszystko było tutaj w największym porządku. Następnie Lundquist poprowadził go do wielkiego basenu.

— Myślę — mówił — że to będzie ciekawsze. Na razie jesteśmy na etapie doświadczeń, ale rzecz ma przed sobą przyszłość.

Uczony spojrzał na zegarek i mruknął do siebie:

— Dwie minuty. Powinna już się pokazać. — Spojrzał na morze za rafą i z zadowoleniem powiedział: — O, jest!

Do wyspy zbliżał się podłużny czarny wzgórek, a w chwilę później Franklin zobaczył niski, szeroki słup pary typowy dla humbaków. Zaraz potem ukazała się druga, znacznie mniejsza fontanna, zdradzając, że jest to samica z cielakiem. Oba wieloryby bez chwili wahania przepłynęły wąski kanał, wybity przed laty w rafie, aby małe statki mogły dopływać do laboratorium. Potem skręciły w lewo do dużego basenu i tam zatrzymały się posłusznie jak dobrze wytresowane psy.

Dwaj pracownicy laboratorium ubrani w nieprzemakalne kombinezony toczyli do skraju basenu coś, co wyglądało jak duża gaśnica. Lundquist i Franklin podeszli do nich i wkrótce przekonali się na własnej skórze, dlaczego tamci w słoneczny dzień noszą nieprzemakalną odzież. Po każdym wydechu wielorybów spadał miniaturowy deszcz i Franklin też musiał pożyczyć pelerynę dla ochrony przed cuchnącym prysznicem.

Nawet inspektorom nieczęsto zdarzało się oglądać żywego wieloryba z tej odległości i w tak idealnych warunkach. Matka miała około pięćdziesięciu stóp długości i podobnie jak wszystkie humbaki odznaczała się bardzo masywną budową. Nie była pięknością, za duże, nieregularne brodawki na płetwach nie dodawały jej urody. Cielę miało około dwudziestu stóp długości i nie było chyba zadowolone z pobytu w zamkniętym basenie, gdyż przez cały czas krążyło niespokojnie wokół flegmatycznej matki.

Jeden z pracowników wydał dziwny, wysoki okrzyk i wielorybica natychmiast przewróciła się na bok, odsłaniając połowę swego pofałdowanego brzucha. Nie zdradzała najmniejszego niezadowolenia,

kiedy odsłoniętą sutkę przykryto dużą, gumową przyssawką; co więcej wyraźnie pomagała ludziom, gdyż licznik przy zbiorniku zaczął natychmiast wykazywać zadziwiający przepływ.

— Wiesz oczywiście — wyjaśniał Lundquist — że samice wstrzykują młodym mleko pod ciśnieniem. Dzięki temu cielęta mogą ssać w zanurzeniu i woda nie dostaje im się do pyska. Jednak kiedy małe są bardzo młode, matka przewraca się na bok i cielęta ssą nad powierzchnią. To nam znacznie ułatwia zadanie.

Posłuszny wieloryb bez żadnej komendy okrążył basen i odwrócił się na drugi bok, umożliwiając pobranie mleka z drugiej sutki. Franklin spojrzał na zbiornik; licznik wskazywał pięćdziesiąt litrów mleka i wciąż jeszcze przybywało. Cielę zaczynało się wyraźnie denerwować, możliwe, że podniecał je zapach mleka, które przypadkowo dostało się do wody. Kilkakrotnie próbowało odepchnąć nosem s wago mechanicznego konkurenta i trzeba mu było przyłożyć kilka klapsów.

Franklin patrzył na to wszystko z podziwem. Wiedział, że już wcześniej próbowano doić wieloryby, ale nie podejrzewał, że można to robić tak szybko i sprawnie. Do czego to jednak prowadziło? Znając doktora Lundquista mógł się domyśleć.

— Obecnie mówił uczony, przekonany, że pokaz wywarł zamierzone wrażenie — możemy otrzymać przynajmniej pięćset funtów mleka dziennie, bez uszczerbku dla cielaka. Jeśli zaczniemy prowadzić pod tym kątem hodowie, tak jak to zrobiono z bydłem, będziemy mogli bez trudu uzyskiwać tonę mleka dziennie od sztuki. Myślisz, że to dużo? Ja uważam, że to bardzo skromna liczba. Przecież rasowe krowy dają przeszło sto funtów mleka dziennie, a wieloryb waży przeszło dwadzieścia razy więcej od krowy!

Franklin spróbował przerwać potok liczb.

— To wszystko bardzo ładnie — powiedział. — Nie wątpię w prawdziwość twoich danych. Nie wątpię również, że udało wam się usunąć z mleka smak tranu… Tak, próbowałem kiedyś, dziękuję. Ale jak u licha chcecie spędzać wszystkie krowy na udój, zwłaszcza że stado odbywa coroczną wędrówkę na trasie długości dziesięciu tysięcy mil?

— Myśleliśmy również nad tym zagadnieniem. Jest to w znacznej mierze sprawa tresury i zdobyliśmy niemałe doświadczenie, ucząc Susan reagowania na nasze komendy. Czy widziałeś kiedyś, jak na farmie mlecznej krowy o odpowiedniej godzinie wchodzą same do automatu i wychodzą po wydojeniu, choć w promieniu wielu kilometrów nie ma ani jednego człowieka? A możesz mi wierzyć, że wieloryby są o wiele mądrzejsze i łatwiejsze do tresury niż krowy! Naszkicowałem wstępny projekt pływającej cysterny, która może doić cztery wieloryby jednocześnie i płynąć wraz z wędrującym stadem.

Poza tym teraz, kiedy nauczyliśmy się kontrolować rozrost planktonu, możemy powstrzymać wędrówki i wykarmić wieloryby w tropikach. Zapewniani cię, że cała sprawa jest zupełnie realna.

Wbrew sobie Franklin dał się porwać tej idei. Wysuwano ją w tej czy w innej formie od wielu lat, ale doktor Lundquist był pierwszy, który coś zrobił dla jej realizacji.

Mama wielorybica i jej nadal nieco niespokojne cielę wyruszyły na morze i wkrótce wypuszczały fontanny pary i nurkowały z pluskiem po drugiej stronie rafy. Patrząc na nie Franklin pomyślał sobie, że może za kilka lat zobaczy setki wielkich bestii, czekających posłusznie w kolejce do pływającej dojarki i oddających po tonie jednej z najbardziej pożywnych substancji na świecie. Nie wiadomo jednak, czy wszystko nie pozostanie w sferze marzeń; wyłonią się niezliczone problemy techniczne i to, co udawało się na skalę laboratorium z jednym zwierzęciem, może być nierealne na skalę masową.

— Chciałbym — powiedział Franklin — żebyś przedstawił mi projekt, wykazujący, ile ludzi i jaki sprzęt potrzebny będzie do uruchomienia takiej… hm… mleczami. Tam, gdzie to możliwe, proszę podać przypuszczalny koszt. Obliczcie też, ile mleka można z takiej stacji otrzymać i jaką przedstawia ono wartość handlową. To da nam konkretną podstawę do dyskusji. Na razie jest to tylko interesujący eksperyment i nikt nie potrafi powiedzieć, czy ma on jakieś znaczenie praktyczne.

Lundquist był jakby z lekka rozczarowany brakiem entuzjazmu ze strony dyrektora, ale zaraz zapalił się znowu. Jeśli Franklin choć przez chwilę sądził, że jeden mały projekt, taki jak wielorybia mleczarnia, wyczerpuje fantazję doktora Lundquista, to wkrótce miał się przekonać, że tak nie jest.

— Następna propozycja, którą chciałbym przedstawić — zaczął uczony — znajduje się dopiero w stadium projektów. Wiem, że jednym z naszych najpoważniejszych problemów jest brak rąk do pracy, i zastanawiałem się nad sposobami zwiększenia wydajności przez uwolnienie ludzi od niektórych prostszych prac.

— Sądzę, że w tej dziedzinie zrobiono już wszystko, co możliwe, zbliżając się do niemal pełnej automatyzacji. Zresztą niecały rok temu działała u nas komisja ekspertów od wydajności pracy. (I sekcja do dzisiaj nie może się z tego otrząsnąć, dodał Franklin w myśli).

— Moje podejście do zagadnienia — wyjaśnił Lundquist — jest cokolwiek niekonwencjonalne i jako byłego inspektora powinno cię szczególnie zainteresować. Jak wiesz, do kierowania większym stadem wielorybów potrzeba normalnie dwóch, a nawet trzech łodzi podwodnych; przy jednej łodzi stado rozsypie się we wszystkich kierunkach. Otóż zawsze wydawało mi się to rażącym

marnotrawstwem ludzi i sprzętu, gdyż do kierowania całą akcją wystarcza jeden człowiek. Pomocnicy są mu potrzebni tylko po to, żeby wydawać odpowiednie dźwięki w odpowiednich miejscach — coś, co równie dobrze mógłby robić automat.

— Jeśli myślisz o automatycznych łodziach pomocniczych, to rzecz została wypróbowana i okazała się niepraktyczna. Inspektor nie może kierować dwoma statkami naraz, nie mówiąc już o trzech.

— Wiem wszystko o tamtym eksperymencie — odpowiedział Lundquist. — Przy odpowiednim podejściu rzecz mogła się udać, ale mój pomysł jest bardziej radykalny. Powiedz, czy mówi ci coś nazwa „owczarek"?

Franklin zmarszczył czoło.

— Zdaje się, że tak nazywano psy, używane w dawnych czasach przez pasterzy dla ochrony stad.

— Tak, używano ich jeszcze niecałe sto lat temu i mówienie o „ochronie" wprowadza tylko w błąd. Oglądałem filmy przedstawiające owczarki w akcji i nigdy bym nie uwierzył w to, co one potrafią, gdybym nie widział na własne oczy. Te psy były tak zmyślne i tak wyćwiczone, że na jedno słowo komendy robiły ze stadem wszystko, czego pasterz sobie zażyczył. Potrafiły rozbić stado na grupy, wyłączyć pojedynczą sztukę ze stada albo utrzymywać stado nieruchomo w jednym miejscu.

Czy rozumiesz, do czego zmierzam? Ćwiczyliśmy psy przez stulecia, więc nie dostrzegamy w tym nic cudownego. Moja propozycja sprowadza się do tego, aby powtórzyć to samo w warunkach morskich. Wiemy, że wiele morskich ssaków — na przykład foki i delfiny — przewyższają inteligencją psy, ale nie próbowano ich tresować w celach innych niż rozrywkowe. Widziałeś, jak są przyjaźnie nastawione do ludzi i jakie sztuczki potrafią wykonywać nasze delfiny. Gdybyś obejrzał te stare filmy z pokazów psów pasterskich, zgodziłbyś się, że możemy nauczyć delfiny tego wszystkiego, co robiły tamte psy sto lat temu.

— Chwileczkę — przerwał mu Franklin z lekka. oszołomiony. — Jeśli dobrze rozumiem, proponujesz, aby każdy inspektor miał kilka… owczarków do pomocy przy kierowaniu wielorybami?

— Tak, przy niektórych akcjach. Oczywiście ta technika pracy też będzie miała swoje minusy; żadne zwierzę morskie nie dorównuje szybkością łodzi podwodnej i te, powiedzmy, „owczarki" nie zawsze znajdą się tam, gdzie będą potrzebne. Przeprowadziłem jednak obliczenia, które wykazują, że można by w ten sposób podwoić wydajność pracy inspektorów, eliminując sytuacje, kiedy pracują oni w zespołach.

— Ale przecież wieloryby nie będą zwracać uwagi na delfiny — zaprotestował Franklin. — po prostu zignorują ich wysiłki.

— Nie miałem wcale na myśli delfinów, to był tylko przykład. Masz rację mówiąc, że wieloryby nie zwróciłyby na nie uwagi. Musimy użyć zwierzęcia, które jest dość duże, równie inteligentne jak delfin i na które wieloryby na pewno zwrócą uwagę. Jest tylko jedno zwierzę odpowiadające wszystkim tym warunkom i chciałbym uzyskać zezwolenie na schwytanie i tresurę kilku okazów.

— Proszę bardzo — powiedział Franklin, a w jego głosie zabrzmiała taka rezygnacja, że nawet Lundquist nie wyróżniający się poczuciem humoru musiał się uśmiechnąć.

— Chciałbym złapać kilka orek i przyuczyć je do pracy z jednym z naszych inspektorów.

Franklin przypomniał sobie trzydziestostopowe żywe torpedy, które tak często ścigał i zabijał w lodowatych polarnych morzach. Trudno było wyobrazić sobie jednego z tych okrutnych drapieżców, słuchającego rozkazów człowieka; potem pomyślał o przepaści dzielącej psa od wilka, który był jego dzikim przodkiem. Tak, rzecz można powtórzyć, jeśli tylko gra jest warta świeczki.

Kiedy masz wątpliwości, żądaj sprawozdania, powiedział mu kiedyś jeden z przełożonych. Będzie miał przynajmniej dwa z Wyspy Czapli i oba będą na pewno bardzo interesujące. Projekty Lundquista, choć niewątpliwie pasjonujące, były pieśnią przyszłości; Franklin musiał jednak myśleć o dniu dzisiejszym sekcji. Wolałby uniknąć radykalnych zmian w pierwszych latach, dopóki nie rozejrzy się należycie w sytuacji. Poza tym, nawet gdyby pomysł Lundquista miał wartość praktyczną, należało jeszcze stoczyć niełatwą kampanią o przekonanie do niego ludzi, którzy dysponowali funduszami. „Chciałbym zakupić pięćdziesiąt maszyn do dojenia wielorybów". Tak, można sobie wyobrazić reakcję konserwatystów. Co zaś do tresury orek, to bez wątpienia uznaliby go za pomylonego.

Z samolotu wiozącego go do domu patrzył na niknącą w oddali wyspę. Swoją drogą to dziwne, że po tak wielu zmianach adresów zamieszkał znowu w kraju, gdzie się urodził. Minęło prawie piętnaście lat od czasu, gdy po raz pierwszy odbywał te drogę w towarzystwie starego, poczciwego Dona; jakże cieszyłby się Don widząc owoce swojej pracy! I profesor Stevens również — Franklin zawsze trochę się go obawiał, ale teraz mógłby mu śmiało spojrzeć w oczy, gdyby profesor żył jeszcze. Z żalem uświadomił sobie, że nigdy właściwie nie podziękował psychologowi za to, co dla niego zrobił.

W ciągu piętnastu lat przebył drogę oi neurotycznego ucznia do dyrektora sekcji; niezły wynik. I co dalej, Walterze? — pytał sam siebie Franklin. Nie miał przed sobą żadnego dalszego celu; jego ambicje były teraz zaspokojone. Będzie całkowicie usatysfakcjonowany, jeśli uda mu się spokojnie i pewnie kierować w przyszłości pracą sekcji.

Na szczęście dla siebie nie wiedział, jak próżne okażą się te nadzieje.

XIX

Fotograf skończył, ale młody człowiek, który od dwóch dni nie odstępował Franklina, miał jeszcze niewyczerpany zapas pytań i notesów. I wszystko to tylko po to, aby twoja przeciętna twarz — prawdopodobnie ukazana na tle wielorybów — znalazła się na wystawach wszystkich księgarń świata. Franklin miał wątpliwości, czy wszystko to jest potrzebne, ale decyzja nie należała do niego. „Urzędnik państwowy nie ma życia prywatnego". Jak wszystkie aforyzmy i ten mówił tylko część prawdy. Nikt nie czytał w gazetach o poprzednim dyrektorze sekcji i Franklin mógłby pędzić równie cichy żywot, gdyby jego przełożeni nie postanowili inaczej.

— Wielu twoich pracowników — mówił młody człowiek z „Earth Magazine" — wspominało mi o twoim zainteresowaniu sprawą tak zwanego Wielkiego Węża Morskiego i o wyprawie, podczas której zginął starszy inspektor Burley. Czy w tej sprawie są jakieś nowe wiadomości?

Franklin westchnął; obawiał się, że prędzej czy później ta sprawa wypłynie, i miał nadzieję, że nie zostanie ona zbytnio rozdmuchana w prasie. Podszedł do swojej prywatnej kartoteki i wrócił z plikiem notatek i fotografii.

— Tu jest cała dokumentacja powie dział. — Może cię to zainteresuje. Uzupełniałem ją na bieżąco. Mam nadzieję, że któregoś dnia znajdziemy rozwiązanie tej zagadki. Można powiedzieć, że jest to nadal moje hobby, choć przez ostatnie osiem lat nie miałem okazji się nim zająć. Sprawa jest teraz w gestii Departamentu Nauki. My w Sekcji Wielorybów mamy inne zadania.

Mógł powiedzieć na ten temat dużo więcej, ale wolał zmilczeć. Gdyby po tragicznym niepowodzeniu ich pierwszej misji nie przeniesiono z Departamentu Nauki sekretarza Farlana, mogliby spróbować szczęścia powtórnie. Jednak w atmosferze śledztwa i wzajemnych oskarżeń szansa została zaprzepaszczona na lata. Widocznie w życiu każdego człowieka musi być jakieś niepowodzenie, jakaś nie dokończona sprawa, ważniejsza i bardziej pamiętna niż sukcesy.

— Mam jeszcze jedno, ostatnie pytanie — kontynuował reporter. — Co sądzisz o przyszłości sekcji? Czy masz jakieś interesujące, długofalowe plany, o których chciałbyś opowiedzieć?

I znowu kłopotliwe pytanie. Franklin wiedział nie od dziś, że ludzie na wysokich stanowiskach muszą dobrze żyć z prasą, i pracowity reporter od dwóch dni stał się praktycznie członkiem jego rodziny. Pewne jednak rzeczy brzmiały zbyt fantastycznie i Franklin postanowił nie dopuścić do spotkania reportera z doktorem

Lundquistem. Wprawdzie pokazano mu prototyp maszyny do dojenia wielorybów, co zrobiło na nim pewne wrażenie, ale ani słowem nie wspomniano o dwóch młodych orkach, jakie z wielkimi nakładami pracy i pieniędzy utrzymywano w ogrodzeniu przy wschodnim krańcu rafy.

— Więc dobrze, Bob — zaczął Franklin z namysłem. — Jeśli chodzi o dane liczbowe, znasz je już pewnie lepiej ode mnie. Chcemy zwiększyć pogłowie naszych stad o dziesięć procent w ciągu najbliższych pięciu lat. Jeśli uda się ten eksperyment z dojeniem, zaczniemy ograniczać liczbę kaszalotów i zwiększać liczbę humbaków. Obecnie dostarczamy dwanaście i pół procent światowego zapotrzebowania na żywność, ciąży więc na nas niemała odpowiedzialność. Mam nadzieje podczas swego urzędowania doprowadzić tę wielkość do piętnastu procent.

— Tak, aby każdy mieszkaniec kuli ziemskiej jadł befsztyk z wieloryba przynajmniej raz w tygodniu, co?

— Można to ująć i w ten sposób. Ale w rzeczywistości ludzie jedzą wieloryba codziennie, nie zdając sobie z tego sprawy — za każdym razem, kiedy smażą coś na tłuszczu albo smarują chleb margaryną. Moglibyśmy podwoić naszą produkcję i nikt by tego nie zauważył, ponieważ nasze produkty najczęściej docierają do konsumenta w formie ukrytej.

— Zajmą się tym nasi ilustratorzy. Pokażemy tygodniowe zakupy przeciętnej gospodyni i na każdym produkcie damy tarczę z oznaczeniem, ile procent danego artykułu zawdzięczamy wielorybom.

To świetnie. A, nawiasem mówiąc, czy zdecydowałeś już, jak mnie nazwać? Reporter uśmiechnął się.

— To zależy od szefa. Ale powiem mu, żeby unikał jak zarazy określenia „kowboj oceanu". Zresztą i tak jest zbyt wyświechtane.

Uwierzę ci dopiero, kiedy zobaczę twój artykuł. Wszyscy dziennikarze obiecują, że nie będą nas tak nazywać, a potem widocznie nie potrafią oprzeć się pokusie. Przy okazji chciałbym wiedzieć, kiedy ukaże się ten artykuł.

— Jeśli nie wypchnie go jakaś sensacja, to mniej więcej za miesiąc. Przyślemy ci oczywiście przedtem korektę, gdzieś pod koniec przyszłego tygodnia.

Franklin odprowadził dziennikarza przez sekretariat, nie bez żalu rozstając się z interesującym rozmówcą, który wprawdzie zadawał nieraz kłopotliwe pytania, ale za to potrafił ciekawie opowiadać o wszystkich prawie najwybitniejszych osobistościach świata. Franklin pomyślał, że teraz on też będzie się do nich zaliczał, gdyż artykuł z cyklu „Ludzie Ziemi" przeczyta co najmniej sto milionów czytelników.

Artykuł ukazał się, tak jak ustalono, po czterech tygodniach. Był zgodny z prawdą, dobrze napisany i zawierał jeden tylko błąd tak

drobny, że nawet Franklin go nie zauważył, kiedy czytał korektę. Materiał fotograficzny był doskonały i zawierał między innymi zadziwiające zdjęcie młodego wieloryba ssącego matkę — sugerowało ono ogromne ryzyko ze strony fotografa i całe miesiące cierpliwego czatowania na odpowiedni moment. Fakt, że zostało zrobione w basenie na Wyspie Czapli, a fotograf nawet nie zamoczył stóp, był szczegółem, którym postanowiono nie zawracać głowy czytelnikom.

Poza nie najlepszym dowcipem w podpisie pod pierwszym zdjęciem ("Książę Wielorybów", też mi coś!) artykuł spodobał się Franklinowi, podobnie zresztą jak wszystkim w Sekcji Wielorybów, w Departamencie Morskim, a nawet w Centrali. Nikt nie podejrzewał, że ściągnie on na głowę Sekcji Wielorybów największą burzę w jej historii.

Nie wynikało to z braku przezorności; czasem przyszłość można przewidywać i można przygotować się na spotkanie nadciągających wydarzeń. Czasem jednak zjawiska pozornie zupełnie ze sobą nie związane — tak dalekie, jakby występowały na innych planetach — nagle oddziaływają na siebie ze straszną siłą.

Sekcja Wielorybów była organizacją, którą budowano przez pięćdziesiąt lat, organizacją, która zatrudniała dwadzieścia tysięcy ludzi i rozporządzała sprzętem wartości przeszło dwóch miliardów dolarów. Jednym słowem, była typowym tworem nowoczesnego naukowego świata, z całą jego potęgą i prestiżem.

Teraz zaś jej podstawami miały wstrząsnąć łagodne słowa człowieka, który żył pięćset lat przed narodzeniem Chrystusa.

Franklin znajdował się w Londynie, kiedy pojawiły się pierwsze oznaki burzy. Nie było nic nadzwyczajnego w tym, że przedstawiciele Światowej Organizacji do Spraw Wyżywienia zwracali się do niego bezpośrednio, z pominięciem jego zwierzchników w Departamencie Morskim. Niezwykłe było to, że sam sekretarz naruszył rytm codziennej pracy sekcji, zmuszając Franklina do odwołania wszystkich spotkań i do natychmiastowego odlotu na Cejlon, do małego miasteczka, o którym nigdy nie słyszał i którego nazwy nie potrafił nawet wymówić.

Na szczęście w Londynie było upalne lato i dodatkowe dziesięć stopni w Colombo nie sprawiało zbyt wielkiej przykrości. Na lotnisku czekał miejscowy przedstawiciel Światowej Organizacji do Spraw Wyżywienia, ubrany w przewiewny sarong, przyjęty tutaj nawet przez najbardziej konserwatywnych Europejczyków. Franklin uścisnął dłonie także kilku pomniejszych oficjeli, z ulgą stwierdził, że nie ma reporterów, którzy pewnie wiedzą już więcej od niego o celu tej podróży, i przesiadł się do mniejszego samolotu, w którym miał odbyć ostatni etap drogi.

Kiedy wreszcie odzyskał oddech i zobaczył daleko w dole ogromne przestrzenie zautomatyzowanych plantacji herbaty, zwrócił się do swoich towarzyszy podróży z prośbą o wyjaśnienia.

— Może wreszcie dowiem się, o co chodzi. Dlaczego ściągnięto mnie w takim pośpiechu do Ana… jak się nazywa ta miejscowość?

— Anuradhapura. Czy sekretarz nic ci nie mówił?

— Rozmawialiśmy w Londynie na lotnisku zaledwie kilka minut. Możecie zacząć od początku.

— Właściwie zanosiło się na to już od kilku lat. Ostrzegaliśmy Centralę, ale nie traktowano nas poważnie. Twój wywiad był kroplą, która przepełniła kielich. Mahanayake Thero z Anuradhapury, najbardziej wpływowy człowiek Wschodu (jeszcze nieraz o nim usłyszysz) przeczytał artykuł i natychmiast zażądał, aby mu umożliwić zapoznanie się na miejscu z działalnością sekcji. Nie możemy mu odmówić, chociaż wiemy doskonale, o co mu chodzi. Na pewno weźmie ze sobą zespół fotoreporterów i zbierze materiał do wielkiej kampanii propagandowej przeciwko Sekcji Wielorybów, a kiedy akcja nabierze rozmachu, zażąda referendum. Jeśli głosowanie wypadnie na naszą niekorzyść, to sprawa będzie poważna.

Łamigłówka została rozwiązana, wszystko było jasne. Franklin poczuł się nawet urażony, że ściągnięto go z drugiego końca świata dla takiego głupstwa. Zaraz jednak uświadomił sobie, że człowiek, który go tu przysłał, uznał, iż sprawa jest poważna; widocznie w Centrali Tępiej zdają sobie sprawę z rozmiarów niebezpieczeństwa. Nie wolno nie doceniać potęgi religii, nawet tak pokojowej i tolerancyjnej jak buddyzm.

Podobna sytuacja była nią do pomyślenia jeszcze sto lat temu, ale gwałtowne zmiany społeczno-polityczne ubiegłego stulecia stworzyły w rezultacie taki właśnie układ. Po upadku lub osłabieniu swoich wielkich rywali buddyzm pozostał jedyną religia, mającą jeszcze rzeczywistą władzę nad umysłami.

Chrześcijaństwo, które nigdy nie wróciło do równowagi po ciosach zadanych mu przez Darwina i Freuda, skapitulowało ostatecznie po odkryciach archeologicznych z końca dwudziestego wieku. Hinduizm, z jego fantastycznym panteonem bogów i bogiń, nie utrzymał się w wieku naukowego racjonalizmu. Mahometanizm zaś, osłabiony tymi samymi siłami, stracił dodatkowo na prestiżu, kiedy wschodząca gwiazda Dawida przyćmiła blady półksiężyc Proroka.

Wszystkie religie zachowały się i będą jeszcze wegetować przez wiele pokoleń, ale nie mają już dawnej siły. Jedynie nauka Buddy zachowała, a nawet zwiększyła swoje wpływy, zapełniając próżnię powstałą po upadku innych wierzeń. Będąc bardziej filozofią niż religią i nie opierając się na dogmatach, które mógłby rozbić młotek archeologa, buddyzm nie obawiał się kataklizmów, które powaliły

pozostałych gigantów. Przeżywał wprawdzie generalne porządki wewnętrznych reformacji, ale zasadnicza jego struktura pozostała nie zmieniona.

Jedną z podstaw buddyzmu, o czym Franklin wiedział doskonale, była zasada poszanowania życia. Większość buddystów obchodziła to prawo, zasłaniając się wykrętem, że można jakoby jeść mięso zwierzęcia, zabitego przez innego człowieka. W ostatnich latach podjęto jednak próby ściślejszego przestrzegania tej reguły, co wywoływało nie kończące się spory pomiędzy wegetarianami a zwolennikami mięsa, dając pole do popisu wszelkiego rodzaju fanatykom i dziwakom. Franklin nigdy jednak nie przypuszczał, że te dyskusje mogą odbić się na pracy Światowej Organizacji do Spraw Wyżywienia.

— A co to za człowiek ten Thero, z którym, mam się zobaczyć? — spytał, patrząc na przepływające w dole żyzne wzgórza.

— Thero to jego tytuł, odpowiadający z grubsza arcybiskupowi. W rzeczywistości nazywa się Aleksander Boyce i urodził się sześćdziesiąt lat temu w Szkocji.

— W Szkocji?

— Tak, jest pierwszym Europejczykiem, który doszedł do najwyższego stanowiska w buddyjskiej hierarchii i musiał po drodze pokonać niemałe przeszkody. Znajomy bhikku… to znaczy mnich, skarżył mi się, że Maha Thero jest typowym duchownym dawnego Kościoła Szkockiego, który urodził się o kilka stuleci za późno i dlatego zreformował buddyzm, a nie Kościół Szkocji.

— A skąd on się wziął na Cejlonie?

— Możesz wierzyć lub nie, ale przyjechał tu jako młody technik wytwórni filmowej. Miał wtedy około dwudziestu lat. Opowiadają, że pojechał filmować posąg umierającego Buddy w skalnej świątyni w Dambulla i tam się nawrócił. W ciągu dwudziestu lat doszedł do najwyższej godności i większość reform, jakie wprowadzono w tym okresie, jest jego dziełem. Religie też psują się po kilku tysiącach lat i wymagają generalnego remontu. Maha Thero przeprowadził taki remont w cejlońskim buddyzmie, usuwając ze świątyń hinduskich bogów, którzy się tam wślizgnęli.

— I teraz rozgląda się za nowymi przeciwnikami?

— Na to wygląda. Maha Thero twierdzi, że nie miesza się do polityki, ale na Wschodzie jest on potęgą i obalił już parę rządów jednym ruchem dłoni. Jego audycji „Głos Buddy” słucha kilkaset milionów ludzi i ocenia się, że liczba jego zwolenników sięga miliarda, choć nie wszyscy z nich całkowicie podzielają jego poglądy. Tak więc rozumiesz chyba, dlaczego traktujemy to poważnie.

Teraz, po odrzuceniu maski egzotycznego imienia, Franklin przypomniał sobie, że wielebny Aleksander Boyce był bohaterem

artykułu w „Earth Magazine” dwa czy trzy lata temu. Tak więc to jedno przynajmniej ich łączyło. Żałował teraz, że nie czytał tego artykułu, ale wówczas go to nie interesowało i nie pamiętał nawet twarzy Thero.

— To zwodniczo cichy, mały człowieczek, bardzo przyjemny w obejściu. Jest rozsądny i przyjazny, ale z chwilą, kiedy coś postanowi, miażdży wszystko, co staje na jego drodze, jak lodowiec. Nie jest przy tym wcale fanatykiem. Jeśli potrafisz mu udowodnić, że jakaś rzecz jest niezbędna, nie będzie się przeciwstawiał, choćby mu się to nie podobało. Nie jest na przykład zadowolony z naszego dążenia do zwiększenia produkcji mięsa, ale wie, że wszyscy nie mogą być wegetarianami. Poszliśmy na kompromis, rezygnując z budowy nowej rzeźni na terenie świętego miasta, jak to początkowo planowaliśmy.

— Dlaczego więc nagle zainteresował się Sekcją Wielorybów?

— Widocznie postanowił gdzieś przeprowadzić linię. A poza tym, czy nie sądzisz, że wieloryby to nie to samo co inne zwierzęta?

Ostatnia uwaga została wypowiedziana bez przekonania, jakby w oczekiwaniu zaprzeczenia lub nawet śmiechu.

Franklin nie odpowiedział; było to pytanie, nad którym zastanawiał się od dwudziestu lat, widok zaś, jaki się ukazał w dole, uwolnił go od konieczności odpowiedzi.

Przelatywali nad tym, co było niegdyś największym miastem świata — miastem, w porównaniu z którym Rzym i Ateny u szczytu swego rozwoju były tylko wioskami — miastem, które nie miało sobie równych pod względem rozmiarów i liczby ludności aż do rozkwitu Londynu i Nowego Jorku w dwa tysiące lat później. Dawna stolicę syngaleskich królów otaczał pierścień wielkich, sztucznych jezior. Nawet z latu ptaka współczesne miasto Anuradhapura ukazywało zadziwiające kontrasty starego i nowego. Tu i ówdzie, wśród kolorowych, ażurowych budynków dwudziestego pierwszego wieku wznosiły się potężne dagoby w kształcie, dzwonów. Franklinowi wskazano najpotężniejszą z nich — dagobę Abhayagiri. Ceglane ściany świątyni porosły trawą i nawet drzewkami, tak że wyglądała z daleka jak dziwnie symetryczne wzgórze, uwieńczone złamaną iglicą. Tylko jedna z piramid wzniesionych nad brzegami Nilu przez faraonów przewyższała wielkością to wzgórze. Kiedy Franklin odnalazł wreszcie lokalny Urząd do Spraw Wyżywienia, odbył rozmowę z dyrektorem, rzucił kilka ogólników dziennikarzowi, który skądś dowiedział się o jego obecności, zjadł bez pośpiechu posiłek i poczuł przypływ pewności siebie. Ostatecznie była to typowa sprawa związana z informacją i propagandą. Z bardzo podobną historią miał do czynienia trzy tygodnie temu, kiedy to sensacyjny i kłamliwy artykuł na temat metod zabijania wielorybów ściągnął mu na kark przeszło dziesięć różnych towarzystw opieki nad zwierzętami. Specjalna komisja łatwo

stwierdziła bezpodstawność wszystkich zarzutów i cała sprawa nikomu nie zaszkodziła, jeśli nie liczyć samego dziennikarza.

Franklin stracił nieco pewności siebie, kiedy w kilka godzin później stanął przed dagobą Ruanveliseya i spojrzał na jej strzelistą, złoconą wieżę. Olbrzymia biała kopuła została starannie odrestaurowana i trudno było uwierzyć, że od jej zbudowania minęły prawie dwadzieścia dwa stulecia. Brukowany dziedziniec świątyni otaczała ze wszystkich stron długa na przeszło ćwierć mili ściana kamiennych słoni naturalnej wielkości. Sztuka i religia połączyły się, tworząc jeden z cudów światowej architektury; panował tu niepodzielnie duch starożytności. Franklin zastanawiał się, czy jakiekolwiek dzieła współczesności dotrwają w równie nie naruszonej formie do roku 4000.

Kamienne płyty dziedzińca parzyły stopy i Franklin był zadowolony, że zdejmując przy wejściu trzewiki zostawił sobie skarpetki. Do wznoszącej się na tle błękitnego bezchmurnego nieba lśniącej kopuły przylegał nowoczesny parterowy budynek, którego czyste linie i białe ściany dobrze harmonizowały z dziełem architektów, którzy umarli sto lat przed narodzeniem Chrystusa.

Mnich w żółtej powłóczystej szacie wprowadził Franklina do czystego klimatyzowanego wnętrza. Wyglądało jak gabinety ważnych osobistości wszędzie na świecie i uczucie obcości, jakie opanowało Franklina od momentu wkroczenia na teren świątyni, zaczęło ustępować.

Maha Thero wstał na powitanie; był niskiego wzrostu — sięgał Franklinowi zaledwie do ramienia. Lśniąca, gładko wygolona czaszka jakoś go odczłowieczała, czyniąc go nieprzeniknionym i utrudniając zaliczenie go do jakiejś określonej kategorii. Pierwsze wrażenie nie było zbyt imponujące: potem Franklin przypomniał sobie, że nieraz już niscy ludzie trzęśli światem.

Mimo czterdziestu lat na obczyźnie Mahanayake Thero nie zatracił szkockiego akcentu. Początkowo brzmiał on dziwnie, a nawet nieco komicznie w tym otoczeniu, ale po kilku minutach Franklin całkowicie o tym zapomniał.

— To bardzo miło z twojej strony, że zechciałeś pofatygować się do mnie — powiedział Thero uprzejmie, podając mu dłoń na powitanie. — Muszę przyznać, że nie oczekiwałem tak szybkiej reakcji na moją prośbę. Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci kłopotu?

— Ależ skąd! — zełgał Franklin bez mrugnięcia okiem. — Prawdę mówiąc, jest to dla mnie coś nowego i cieszę się, że mogłem tu przyjechać — dodał już z większą dozą prawdy.

— To doskonale! — powiedział Thero, z wyrazem szczerego zadowolenia. — Podobnie myślę o mojej wycieczce do waszej bazy w Południowej Georgii, chociaż obawiam się, że tamtejszy klimat może

mi niezbyt odpowiadać.

Franklin przypomniał sobie otrzymane na. drogę instrukcje: „Staraj się go w miarę możności zniechęcić do wyprawy, ale rób to delikatnie". W porządku, ma teraz okazję.

— To jest sprawa, którą właśnie chciałem poruszyć, Wasza Wielebność — odpowiedział, mając nadzieję, że użył właściwego tytułu. — W Południowej Georgii jest teraz zima i baza będzie właściwie nieczynna aż do wiosny, to jest przez najbliższe pięć miesięcy.

— Tak, to głupio, że nie pomyślałem o tym, ale od dawna chciałem zobaczyć Antarktykę i zawsze coś mi przeszkadzało. W takim razie będziemy musieli wybrać którąś z baz na półkuli północnej. Co proponujesz — Grenlandię czy Islandię? Proszę powiedzieć, co jest dla was wygodniejsze. Nie chciałbym sprawiać wam zbyt wiele kłopotu.

To ostatnie zdanie pokonało Franklina, zanim rozpoczęła się właściwa bitwa. Teraz wiedział już, że ma do czynienia z przeciwnikiem, który nie pozwoli sobie zamydlić oczu i nie da się zawrócić z wybranej drogi. Będzie musiał po prostu towarzyszyć Thero, modląc się w duchu, żeby wszystko poszło dobrze.

XX

Rozległa zatoka upstrzona była pióropuszami pary, znaczącymi obecność wielkiego stada wielorybów, krążącego niepewnie w miejscu. Zwierzęta nie były wystraszone; po prostu nie rozumiały, po co sprowadzono je do tej zatoki wśród gór. Przez całe życie były posłuszne rozkazom mającym postać wibracji lub impulsów elektrycznych i pochodzącym od małych stworzeń, które wieloryby przywykły uważać za swoich panów. Rozkazy te nigdy nie wyrządzały im krzywdy, a wprost przeciwnie, najczęściej wskazywały drogę ku żyznym pastwiskom, których wieloryby same nie były w stanie odnaleźć, gdyż znajdowały się w okolicach, które jak je uczyło doświadczenie i pamięć milionów lat, zawsze były pustynią. Często też mali panowie bronili ich przed napastnikami, odpędzając w porę rozbójników.

Wieloryby nie miały wrogów i nie znały strachu. Od wielu pokoleń przemierzały spokojne oceany, tłuściejsze, gładsze i bardziej zadowolone z życia niż wszyscy ich przodkowie od początku świata. W ciągu ostatniego półwiecza dzięki troskliwym zabiegom swoich panów zwiększyły długość przeciętnie o dziesięć, wagę zaś o trzydzieści procent. W wodach Golfsztromu igrał teraz wraz z małżonką i nowo urodzonym cielęciem król wszystkich wielorybów, stupięćdziesięciostopowy płetwal błękitny numer B. 69322, znany powszechnie jako Lewiatan. Takich rozmiarów nie udałoby mu się osiągnąć w żadnych innych czasach i chociaż są to sprawy nie do udowodnienia, można go prawie na pewno uważać za największe zwierzę, jakie kiedykolwiek żyło na Ziemi.

W miarę jak impulsy elektryczne kierowały stado wzdłuż niewidzialnych kanałów, z chaosu wyłaniał się porządek. Potem bariery elektryczne przeszły w betonowe, wieloryby płynęły teraz jeden za drugim czterema równoległymi wąskimi kanałami. Automaty ważyły je i mierzyły, odrzucając mniejsze sztuki i kierując je z powrotem do morza, gdzie wracały nieco ogłupiałe, nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo zostały przerzedzone.

Wieloryby, które przeszły próbę, płynęły niczego nie podejrzewając dalej i wpływały do dużej laguny. Pewnych zadań nie można powierzać całkowicie automatom; pracowali tu ludzie, którzy oceniali stan zwierząt, sprawdzali, czy nie popełniono gdzie błędu, i notowali numery przeznaczonych na rzeź sztuk, kiedy przepływały one ostatni, krótki odcinek z laguny do rzeźni.

— To jest B. 52111wyjaśniał Franklin stojącemu obok niego Thero. — Siedemdziesięciostopowa samica, miała pięć cieląt, obecnie jest za stara do hodowli.

Wiedział, że za jego plecami pracowały kamery filmowe, obsługiwane przez mnichów w żółtych szatach, z wygolonymi głowami. Franklin był zdziwiony ich biegłością zawodową, dopóki nie dowiedział się, że wszyscy mają za sobą pracą w Hollywood.

Wieloryb do ostatniej chwili niczego nie podejrzewał, prawdopodobnie nie czuł nawet lekkiego dotknięcia giętkich miedzianych przewodów. Płynął spokojnie korytarzem, a w następnej sekundzie był już martwą górą mięsa, poruszającą się tylko siłą rozpędu. Prąd o natężeniu pięćdziesięciu tysięcy amperów uderzał jak piorun prosto w serce, nie dając nawet czasu na śmiertelne konwulsje.

Na końcu korytarza olbrzymie cielsko trafiało na taśmociąg, który wynosił je z wody i wolno transportował dalej, po nie kończących się obrotowych wałkach.

— To jest najdłuższy taśmociąg tego rodzaju na świecie — wyjaśnił Franklin z uzasadnioną dumą. — Może pomieścić jednocześnie dziesięć wielorybów, ważących około tysiąca ton. Wiąże się to z poważnymi kosztami i w znacznym stopniu ogranicza możliwości wyboru miejsca pod bazę, ale zawsze umieszczamy przetwórnię w odległości nie mniejszej niż pół mili od wody, aby zapach krwi nie odstraszał wielorybów. Chyba nie ulega wątpliwości, że śmierć następuje momentalnie, i zwierzęta do końca nie okazują najmniejszego niepokoju.

— To prawda — przyznał Thero. — Wszystko odbywa się bardzo humanitarnie. Myślę, że gdyby wieloryby były przestraszone, mielibyście z nimi nie lada kłopot. Ciekawe, czy zadalibyście sobie tyle trudu tylko po to, żeby zaoszczędzić im cierpień?

Było to kłopotliwe pytanie i już nie po raz pierwszy Franklin znalazł się w sytuacji, kiedy nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

— Przypuszczam — powiedział z namysłem — że zależałoby to od tego, czy dostalibyśmy fundusze. Ostateczna decyzja w takich sprawach należy do Zgromadzenia Światowego. Komisja budżetowa musiałaby ustalić, czy stać nas na humanitaryzm. Na szczęście jest to zagadnienie czysto teoretyczne.

— Oczywiście, ale inne zagadnienia nie są tak teoretyczne — odpowiedział Wielebny Boyce, wpatrując się w osiemdziesięciotonową górę kości i mięsa, niknącą w oddali. — Czy możemy wrócić do samochodu? Chciałbym zobaczyć, co się dzieje na drugim końcu taśmy.

A ja, pomyślał Franklin, ciekaw jestem, jak Wasza Wielebność i jego towarzysze zareagują na ten widok. Większość zwiedzających wychodzi z przetwórni wstrząśnięta i zielona na twarzy, a niejeden już tam zemdlał. W sekcji żartowano sobie, że taka lekcja poglądowa na temat produkcji żywności odbiera apetyt na wiele godzin.

Poczuli odór z odległości stu metrów. Kątem oka Franklin

zobaczył, że młody mnich niosący magnetofon zaczyna już zdradzać objawy przygnębienia, ale sam Maha Thero pozostawał niewzruszony. Nie stracił też spokoju i opanowania, kiedy w kilka minut później spoglądał z góry na cuchnące piekło, gdzie rozdzielano olbrzymie tusze na sterty mięsa, kości i wnętrzności.

— Proszę pomyśleć — mówił Franklin — że prawie przez dwieście lat pracę tę wykonywali ludzie, pracując często w burzliwą pogodę na rozkołysanym pokładzie. Niełatwo znieść sam widok, a proszę sobie wyobrazić, że się jest tam na dole, wywijając nożem na długim drągu.

— Myślę, że mógłbym to robić, gdybym musiał — powiedział Thero — ale wolałbym tego uniknąć.

Odwrócił się do swoich kamerzystów, wydając im jakieś polecenia, a potem oglądał z zainteresowaniem przybycie następnego wieloryba.

Wielkie cielsko zostało już zmierzone okiem komórki fotoelektrycznej i jego wymiary trafiły do komputera, kierującego całością pracy. Nawet jeśli się wiedziało, na czym to polega, ogarniało człowieka zdumienie na widok precyzji, z jaką noże i piły poruszały się na swoich wysięgnikach, wykonywały zaprogramowane cięcia i cofały się do swoich gniazd w ścianach. Potem wielkie chwytaki zdzierały grubą na stopę warstwę tłuszczu tak jak się obiera skórę z banana, i wielki, krwawy kadłub odjeżdżał na następne stanowisko, gdzie miał być ćwiartowany.

Wieloryb wędrował na taśmie z taką prędkością, że człowiek bez trudu mógł dotrzymać mu kroku, obserwując błyskawiczną erozję tej góry mięsa. Oddzielały się od niej połcie mięsa wielkości słonia i zjeżdżały po pochylniach; piły tarczowe w obłokach kostnego pyłu torowały sobie drogę przez rusztowanie żeber; podobne do plastykowych worków wnętrzności, wypełnione tonami raczków i planktonu, były odciągane na cuchnące stosy.

Trzeba było eksperta, aby w tych krwawych jatkach rozpoznał coś, co zaledwie dwie minuty temu było królem oceanu. Wykorzystywano wszystko, nawet kości; na końcu taśmy rozebrany szkielet wpadał do otworu, gdzie mielono go na nawóz.

— To jest koniec taśmy — mówił Franklin — lecz dla przetwórni to dopiero początek. Z tłuszczu, oddzielonego na pierwszym etapie, trzeba wydobyć tran, mięso należy pociąć na mniejsze porcje i poddać sterylizacji — używamy w tym celu strumienia szybkich neutronów — a około dziesięciu innych artykułów należy wydzielić i przygotować do wysyłki. Chętnie pokażę Waszej Wielebności któryś z działów przetwórni. Nie będzie tam już tak okropnych widoków jak tutaj.

Thero stał przez chwilę w pełnym skupienia milczeniu, przeglądając swoje drobniutkie maczkiem pisane notatki. Potem

obejrzał się na splamiony krwią przenośnik, na którym zbliżał się kolejny wieloryb.

— Jest jeden moment, na który chciałbym zwrócić uwagę — powiedział nagłe zdecydowanie. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym przejść jeszcze raz od początku.

Franklin schwycił magnetofon, który wypadł z rąk młodego mnicha.

— Nie martw się, synu — uspokoił go Franklin — pierwszy raz jest zawsze najgorzej. Po kilku dniach spędzonych tutaj byłbyś zdziwiony, dlaczego zwiedzający skarżą się na zapach.

Trudno było w to uwierzyć, ale stali pracownicy zapewniali go, że to prawda. Miał nadzieję, że wielebny Boyce nie będzie siedział tu tak długo, żeby przekonać się o tym na własnej skórze.

— Czy mógłbym się teraz dowiedzieć — spytał Franklin, kiedy niosący ich samolot wzbił się ponad pokryte śniegiem góry, biorąc kurs na Londyn i Cejlon — jak Wasza Wielebność ma zamiar wykorzystać zebrany materiał?

W czasie tych dwóch wspólnie spędzonych dni duchowny i urzędnik poczuli do siebie wzajemny szacunek i coś na kształt przyjaźni, co Franklin przyjął z zadowoleniem, ale i z pewnym zdziwieniem. Uważał się — tak jak wszyscy — za dobrego psychologa, ale Mahanayake Thero krył w sobie głębie wymykające się jego rozumieniu. Nie miało to znaczenia; instynkt podpowiadał mu, że ma do czynienia nie tylko z siłą, lecz także — nie sposób było uniknąć tego wytartego i mdłego określenia — z dobrocią. W jego umyśle zrodziło się nawet podejrzenie, stopniowo coraz bardziej skłaniające się ku pewności, że człowiek, któremu towarzyszy, może przejść do historii jako święty.

— Nie robię z tego żadnych tajemnic — powiedział Thero łagodnym głosem — a kłamstwo, jak zapewne wiesz, nauka Buddy potępia. Stanowisko nasze jest jednoznaczne. Wierzymy, że wszystkie stworzenia mają prawo do życia, a z tego wynika, że to, co wy robicie, jest złe. Chcielibyśmy, abyście tego zaprzestali.

Franklin spodziewał się podobnej odpowiedzi, lecz mimo to poczuł się rozczarowany; przecież Thero przy swojej inteligencji musi zdawać sobie sprawę, że podobne pociągnięcie jest zupełnie nierealne, ponieważ oznaczałoby zmniejszenie o jedną ósmą światowych zasobów żywności. A poza tym, dlaczego ograniczać się do wielorybów? A co z krowami, owcami, świniami — wszystkimi zwierzętami, którym człowiek zapewnia luksusowe warunki, a potem zabija?

— Wiem, o czym myślisz — odezwał się Thero, zanim Franklin zdążył wyrazić swoje obiekcje. — Zdajemy sobie sprawę ze złożoności

problemu i wiemy, że nie można tego zmienić z dnia na dzień. Trzeba jednak od czegoś zacząć, a Sekcja Wielorybów dostarcza nam najbardziej dramatycznego materiału.

— To miło — odpowiedział Franklin sucho. — Ale czy to jest sprawiedliwe? To samo, co tutaj, dzieje się w każdej rzeźni na planecie. Fakt, że u nas wszystko odbywa się na większą skalę, niczego nie zmienia.

— To prawda, ale my jesteśmy ludźmi praktycznymi, a nie fanatykami. Wiemy doskonale, że zanim zrezygnujemy z mięsa, musimy znaleźć zastępcze źródła pożywienia.

Franklin gwałtownie potrząsnął głową.

— Przykro mi, ale nawet jeśli uda wam się rozwiązać sprawę zaopatrzenia w żywność, nie możecie zmienić wszystkich mieszkańców planety w jaroszów — chyba że chcecie w ten sposób zwiększyć emigrację na Wenus i Marsa. Ja na przykład zastrzeliłbym się, gdybym wiedział, że nigdy już nie zjem baraniego kotleta albo soczystego befsztyka. Tak więc wasze plany są nierealne, ponieważ nie uwzględniają czynników psychologicznych oraz światowej sytuacji żywnościowej.

Maha Thero wyglądał na nieco urażonego

— Drogi dyrektorze — powiedział — nie sądzisz chyba, że nie braliśmy pod uwagę rzeczy tak oczywistych? Pozwól jednak, że najpierw wyjaśnię do końca nasz punkt widzenia, a dopiero potem powiem, w jaki sposób chcemy go zrealizować. Twoja reakcja będzie dla mnie szczególnie interesująca, jako że reprezentujesz… powiedzmy… skrajnie nastawionego konsumenta.

— Doskonale — uśmiechnął się Franklin. — Zobaczymy, czy dam się nawrócić.

— Od najdawniejszych czasów — zaczął Thero — człowiek przyjmował, że inne zwierzęta istnieją tylko dla niego. Tępił całe gatunki, czasami przez zwykłą chciwość, a czasem dlatego, że niszczyły jego zbiory lub przeszkadzały mu w inny sposób. Nie przeczę, że często było to usprawiedliwione, a w niektórych wypadkach nieuniknione. Faktem jest jednak, że w ciągu wieków człowiek obciążył swoją duszę zbrodniami przeciwko zwierzętom i nawiasem mówiąc jedne z najgorszych popełniali ludzie twojego zawodu zaledwie sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat temu. Czytałem o wypadkach, kiedy trafione harpunem wieloryby ginęły w takich męczarniach, że mięso było całkowicie zatrute toksynami ich agonii i nie nadawało się do użytku.

— Bardzo rzadkie przypadki — wtrącił Franklin. — A poza tym to już sprawa przeszłości.

— Słusznie, ale jest to część długu, jaki mamy do spłacenia.

— Svend Foym nie zgodziłby się z Waszą Wielebnością. Kiedy w

roku 1870 wynalazł harpun z wybuchową głowicą, zanotował w swoim pamiętniku, że zawdzięcza to boskiej pomocy.

— Interesujący punkt widzenia — odpowiedział sucho Thero. — Żałuję, że nie mogę podyskutować z nim na ten temat. Istnieje prosty sprawdzian, pozwalający podzielić ludzi na dwie grupy. Jeśli człowiek idzie ulicą i dostrzega w miejscu, gdzie ma postawić stopę, owada — to może albo ominąć go, albo rozdeptać na miazgę. Jak byś ty postąpił?

— To zależy od owada. Szkodnika rozdeptałbym bez wahania. Innego ominąłbym. Myślę, że tak postąpiłby każdy rozsądny człowiek.

— W takim razie my nie jesteśmy rozsądni. My wierzymy, że zabić można tylko w obronie życia istoty wyżej stojącej na szczeblu rozwoju — aż dziwne, jak rzadko zdarzają się takie sytuacje. Ale wracamy do naszego tematu.

Mniej więcej sto lat temu irlandzki poeta Lord Dunsany napisał sztukę pod tytułem „Pożytek z człowieka", którą wkrótce można będzie obejrzeć na ekranach naszej telewizji. Jest to historia o człowieku, który we śnie zostaje przeniesiony do innego układu gwiezdnego i tam staje przed trybunałem zwierząt. Jeśli nie znajdzie dwóch, które staną w jego obronie, zginie cały rodzaj ludzki. Jedynie pies przychodzi połasić się do swego pana, wszystkie pozostałe zwierzęta mają do niego pretensje i twierdzą, że żyłoby im się lepiej, gdyby człowiek nie istniał. W momencie, kiedy ma już zapaść wyrok skazujący, pojawia się drugi obrońca, ratując ludzkość przed zagładą. Tą drugą istotą, która uważa, że człowiek powinien żyć nadal, jest komar.

Możesz uważać, że to tylko zabawny pomysł; tak też zapewne sądził sam Dunsany, który, nawiasem mówiąc, był zapalonym myśliwym.. Jednak poeci często wyrażają ukryte prawdy, których sami nie zauważają, i moim zdaniem ta prawie zapomniana sztuka zawiera alegorię o wielkim dla ludzkości znaczeniu.

Za jakieś sto lat wyjdziemy poza granice Układu Słonecznego. Prędzej czy później spotkamy formy życia, znajdujące się na wyższym od nas szczeblu rozwoju i całkowicie odmienne od nas pod względem biologicznym. A kiedy to nastąpi, stosunek tych wyższych istot do człowieka może zależeć od tego, jak człowiek traktuje innych mieszkańców swojej planety.

Było to powiedziane spokojnie, ale z takim przekonaniem, że Franklin poczuł nagle chłód w sercu. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że jego przeciwnicy poza względami humanitarnymi mają inne jeszcze poważne argumenty. A poza tym, czy względy humanitarne nie są wystarczającym argumentem? Nigdy nie lubił tego ostatniego etapu, wieńczącego ich pracę, gdyż był autentycznie przywiązany do swoich gigantycznych podopiecznych, ale traktował to jako smutną

konieczność.

— Przyznaję, że wasze stanowisko nie jest bezpodstawne — powiedział — ale niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie, musimy liczyć się z rzeczywistością. Nie wiem, kto puścił w obieg wyrażenie „Kły i pazury przyrody", ale tak to wygląda. I kiedy świat będzie musiał wybierać między etyką a jedzeniem, wynik jest łatwy do przewidzenia.

Na twarzy Thero pojawił się tajemniczy, łagodny uśmiech, który świadomie czy nieświadomie powtarzał dobrotliwy uśmiech, jaki tyle już pokoleń artystów przedstawiało na obliczu Buddy.

— O to właśnie chodzi, mój drogi, że nie ma już potrzeby dokonywania wyboru. Po raz pierwszy w swojej historii ludzkość może przerwać pradawny cykl i jeść to, na co ma ochotę, nie przelewając krwi niewinnych stworzeń. Jestem ci niewymownie wdzięczny za to, że pokazałeś mi, jak można to osiągnąć.

— Kto? Ja? — wybuchnął Franklin.

— Oczywiście — powiedział Thero, uśmiechając się znacznie szerzej, niż to dopuszczają kanony buddyjskiej sztuki. — A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym się trochę zdrzemnąć.

XXI

— Więc to jest moja nagroda — skarżył się Franklin — za dwadzieścia lat pracy dla dobra społeczeństwa. Nawet moja własna rodzina patrzy na mnie jak na krwawego oprawcę.

— Czy to wszystko prawda? — spytała Anna wskazując na ekran telewizora, który jeszcze przed chwilą ociekał krwią.

— Prawda. Ale jednocześnie jest to przykład zręcznie spreparowanej propagandy. Potrafiłbym przedstawić równie przekonywające argumenty na rzecz przeciwstawnej tezy.

— Jesteś tego pewien? — spytała Indra. — Twoi przełożeni niewątpliwie zażądają tego, ale zadanie nie będzie łatwe.

Franklin prychnął z oburzeniem.

— Te ich liczby to czysta bzdura! Pomysł, żeby przestawić całą naszą hodowlę na produkcję mleka, a nie mięsa, to szaleństwo. Nie uzyskamy w ten sposób nawet czwartej części tłuszczu i białka, jakie otrzymujemy z naszych przetwórni.

— Nie udawaj, Walterze — powiedziała Indra. — Wiadomo, że najbardziej wyprowadziła cię z równowagi propozycja, aby nadrobić straty przez rozszerzenie upraw planktonu.

— No dobrze, ty sama jesteś biologiem. Czy można z tej ich grochówki zrobić żeberka albo kotlety schabowe?

— Okazuje się, że jest to możliwe. Danie szefowi kuchni z hotelu Waldorfa do spróbowania potrawy z produktów naturalnych i sztucznych, których on nie potrafi odróżnić, było bardzo sprytnym posunięciem. Nie ulega wątpliwości, że zapoczątkuje to wielką wojnę: sekcja uprawy planktonu przejdzie na stronę Thero i cały Departament Morski rozpadnie się na dwa obozy.

— On to chyba uwzględnił w swoich planach — powiedział Franklin, mimo woli odczuwając podziw dla przeciwnika. — Ma piekielnie dobre rozeznanie sytuacji. Żałuję teraz, że w swoim wywiadzie tak się rozwodziłem na temat możliwości produkcji mleka — w artykule położono na to zbyt duży akcent. Jestem pewien, że to stało się przyczyną całej awantury.

— To jest właśnie sprawa, na którą chciałam zwrócić twoją uwagę. Skąd on wziął liczby, na których oparł swoje obliczenia? O ile wiem, nie zostały one nigdy opublikowane.

— Masz rację — przyznał Franklin. — Powinienem o tym pomyśleć. Zaraz jutro rano pojadę na Wyspę Czapli porozmawiać z doktorem Lundquistem.

— Weźmiesz mnie z sobą, tatusiu? — poprosiła Anna.

— Nie tym razem, młoda damo. Nie chciałbym, aby moja córka słuchała słów, których będę tam musiał użyć.

— Doktor Lundquist jest w lagunie — powiedział kierownik laboratorium. — Nie można się z nim skontaktować, dopóki sam nie wróci.

— Czyżby? Mógłbym tam przecież popłynąć i stuknąć go w ramię.

— Nie radziłbym tego robić, dyrektorze. Attyla i Dżengischan niezbyt lubią obcych.

— Wielki Boże! Czy to znaczy, że on pływa razem z nimi?

— Ależ tak. One bardzo go lubią i zaprzyjaźniły się też z inspektorami, którzy z nimi pracują. Ale każdy inny mógłby zostać dość szybko zjedzony.

Franklin pomyślał, że dzieje się tu wiele rzeczy, o których on nie ma najmniejszego pojęcia. Postanowił przejść się nad lagunę. Było to niedaleko i jeśli nie niosło się bagażu, a upał zbytnio nie dokuczał, nie warto było brać samochodu.

Franklin pożałował swojej decyzji, zanim jeszcze doszedł do wschodniego mola. Jedno z dwojga: albo wyspa się powiększyła, albo on zaczynał odczuwać ciężar lat. Przysiadł na odwróconej do góry dnem łódce i spojrzał na morze. Mimo przypływu widać było wyraźną linię, wyznaczającą kontur rafy, zaś w ogrodzonej części laguny w nieregularnych odstępach czasu pojawiały się, niczym dwa mgliste pióropusze, fontanny orek. Znajdowała się tam mała łódeczka z jednym pasażerem, ale z tej odległości nie sposób było odgadnąć, czy to doktor Lundquist, czy też ktoś z jego pomocników.

Franklin odczekał kilka minut, a potem zatelefonował po łódkę. Stracił w ten sposób nieco więcej czasu na dotarcie do ogrodzonego basenu, ale za to po raz pierwszy mógł się dobrze przyjrzeć Attyli i Dżengischanowi.

Orki miały prawie po trzydzieści stóp długości i kiedy Franklin zbliżył się do nich w swojej łódce, obie jednocześnie wysunęły głowy z wody, wpatrując się w niego swoimi dużymi, inteligentnymi oczami. Ta ich niezwykła pozycja, ukazująca częściowo śnieżnobiałą skórę dolnej części ciała, sprawiała, że Franklin poczuł się jakoś niezręcznie, jakby znalazł się w obliczu istot wyższego rzędu. Wiedział oczywiście, że nie ma w tym cienia prawdy i że ma przed sobą najbardziej bezwzględnych zabójców oceanu.

Jeśli nie liczyć człowieka oczywiście…

Zaspokoiwszy swoją ciekawość wieloryby skryły się pod wodą. Wówczas dopiero Franklin dostrzegł na głębokości około trzydziestu stóp Lundquista, majstrującego coś przy torpedzie obwieszonej różnymi przyborami. Widocznie ruch na powierzchni przeszkodził mu w czymś, bo zaraz wypłynął. Poznając gościa, zsunął z twarzy maskę.

— Dzień dobry, dyrektorze. Nie spodziewałem się twojej wizyty.

Co sądzisz o moich uczniach?

— Jestem zaskoczony. Czy uczą się dobrze?

— Nie ulega wątpliwości, że są wybitnie zdolni. Orki są jeszcze inteligentniejsze od delfinów i aż dziwne, jak przywiązują się do ludzi. Mogę je teraz nauczyć wszystkiego. Gdybym chciał popełnić morderstwo doskonałe, wystarczyłoby powiedzieć im, że jesteś foką na krze lodowej, i po dwóch sekundach twoja łódka pływałaby do góry dnem.

— W takim razie wolałbym dokończyć rozmowy na lądzie. Czy skończyłeś już to, co miałeś zrobić?

— To nieważne, ta robota nigdy nie ma końca. Wrócę torpedą, żeby nie przeładowywać wszystkich przyrządów na łódkę.

Uczony zawrócił swoją metalową rybę w stronę wyspy i ruszył z szybkością, której łódka nie mogła dorównać. Orki natychmiast pomknęły za nim, a ich wielkie płetwy grzbietowe pozostawiały na powierzchni spieniony ślad. Była to niebezpieczna zabawa w berka, lecz zanim Franklin mógł zobaczyć, co się stanie, kiedy wieloryby dogonią torpedę, Lundquist przepłynął przez ogrodzenie z siatki drucianej i orki zatrzymały się gwałtownie, wznosząc fontannę bryzgów.

Franklin wracał zamyślony. Znał Lundquista od lat, ale miał takie uczucie, jakby dzisiaj zobaczył go po raz pierwszy. Nigdy nie wątpił, że doktor był umysłem oryginalnym, a nawet, wybitnym, tymczasem okazało się, że dysponował także niecodzienną odwagą i inicjatywą.; Co mu zresztą wcale nie pomoże, jeśli nie potrafi dać zadowalającej odpowiedzi na pewne pytania, pomyślał Franklin ponuro.

W normalnym ubraniu i w swoim normalnym otoczeniu Lundquist był znowu kimś dobrze znanym.

— John, myślę, że widziałeś ten program telewizyjny, skierowany przeciwko naszej sekcji — zaczął Franklin.

— Oczywiście. Tylko czy to było przeciwko nam?

— Program był niewątpliwie atakiem na naszą podstawową działalność, ale nie będziemy się o to sprzeczać. Chciałbym tylko wiedzieć, czy kontaktowałeś się z Maha Thero?

— Tak. Zwrócił się do mnie natychmiast po ukazaniu się tego artykułu w Earth Magazine.

— I przekazałeś mu poufne informacje?

Lundquist poczuł się dotknięty.

— Protestuję przeciwko takim określeniom. Przekazałem mu jedynie kopię mojego artykułu na temat produkcji mleka wielorybiego, który ukaże się w najbliższym numerze przeglądu Cetologicznego". Otrzymałem twoją zgodę na publikację tego artykułu.

Przygotowana mowa oskarżycielska rozpadła się Franklinowi jak

domek z kart i nagle poczuł się zawstydzony…

— Przepraszam cię, John — powiedział. — Cofam swoje słowa. Jestem tym wszystkim trochę podenerwowany i chciałbym uporządkować sobie pewne fakty, zanim centrala weźmie się do mnie. Czy nie sądzisz, że powinieneś powiadomić mnie o tym, że udzielałeś informacji Thero?

— Prawdę mówiąc nie widziałem powodu. Codziennie odpowiadamy na różne zapytania i nie miałem żadnych podstaw, żeby sądzić, że to właśnie różni się czymś od innych. Ucieszyłem się nawet, że ktoś szczególnie interesuje się moją pracą, i bardzo chętnie udzieliłem im wszelkich informacji.

— No dobrze — odpowiedział Franklin z rezygnacją. — Zapomnijmy o tym, ale odpowiedz mi na jedno pytanie: czy jako uczony rzeczywiście wierzysz, że stać nas na zaprzestanie uboju wielorybów i przejście na mleko i produkty syntetyczne?

— W ciągu dziesięciu lat można to przeprowadzić, jeśli zajdzie taka konieczność. Nie widzę żadnych przeszkód technicznych. Oczywiście nie mogę brać odpowiedzialności za dane dotyczące hodowli planktonu, ale gotów jestem dać głowę, że Thero ma i tam doskonałe źródła informacji.

— Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, co to oznacza! Zacznie się od wielorybów, a później pójdą po kolei wszystkie zwierzęta domowe.

— A dlaczego nie? Ta perspektywa nawet mi odpowiada. Jeśli nauka i religia mogą wspólnym wysiłkiem zmniejszyć nieco okrucieństwo na Ziemi, to bardzo dobrze.

— Mówisz teraz sam jak buddysta, a ja mam już dosyć wyjaśniania, że w tym, co robimy, nie ma żadnego okrucieństwa. A na razie, jeśli Thero zwróci się do ciebie z jakimiś pytaniami, bądź tak dobry i odeślij go do mnie.

— Tak jest, dyrektorze — odpowiedział Lundquist sucho. Zapanowało niezręczne milczenie, które przerwało na szczęście przybycie gońca.

— Pilny telefon, dyrektorze. Z centrali.

— Wiadomo — mruknął Franklin. Potem zauważył nieprzyjazny wyraz na twarzy Lundquista i nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

— Skoro potrafisz ćwiczyć orki na inspektorów, to rozejrzyj się też za jakimś ssakiem — najlepiej ziemnowodnym — który mógłby zostać dyrektorem.

Na planecie, objętej systemem powszechnej i natychmiastowej łączności, wieści rozchodziły się od bieguna po biegun szybciej niż kiedyś w obrębie jednej wioski. Zręcznie przygotowany i przedstawiony program, który za pierwszym razem zepsuł apetyt zaledwie dwudziestu milionom ludzi, został nadany powtórnie i trafił już do znacznie większej liczby odbiorców. Wkrótce stał się tematem

numer jeden wszystkich rozmów; pewną wadą życia w pokojowym i dobrze zorganizowanym świecie było to, że od czasu kiedy zniknęły wojny i kryzysy, gazetom brakowało pasjonujących tematów. Często słyszało się nawet skargi, że likwidując państwa narodowe zlikwidowano również historię. Tak więc spór, który teraz toczył się w klubach i w kuchniach, w Zgromadzeniu Światowym i na pokładzie samotnego transportowca w kosmosie, nie miał zbyt wielkiej konkurencji ze strony innych tematów.

Światowa Organizacja Zdrowia zachowywała na zewnątrz wyniosłe milczenie, ale za kulisami kipiała gorączkową działalnością. Nie ułatwiały sprawy naciski zwolenników planktonu, potwierdzające całkowicie przewidywania Indry. Szczególnie denerwowało Franklina dążenie konkurencyjnej sekcji do zbijania kapitału na jego trudnościach i kilkakrotnie interweniował u dyrektora farm planktonowych, kiedy rywalizacja wewnętrzna przybierała zbyt ostre formy.

— Do diabła, Ted — krzyczał kiedyś do wideofonu. — Jesteś takim samym rzeźnikiem jak ja. Każda przerabiana przez ciebie tona surowego planktonu zawiera pół miliarda raczków, które mają takie samo prawo do życia, wolności i pogoni za szczęściem jak moje wieloryby. Nie próbuj więc udawać niewiniątka. Prędzej czy później Thero dobierze się i do ciebie — wieloryby to tylko początek.

— Może i masz rację, Walter — przyznawał napastowany z niezmąconym spokojem — ale myślę, że nie nastąpi to za mojego życia. Niełatwo jest rozczulić ludzi losem krewetek, które przecież nie karmią piersią małych, milutkich, dziesięciotonowych niemowląt.

Była to prawda; bardzo trudno jest przeprowadzić granicę między racjonalnym humanitaryzmem a łzawym sentymentalizmem. Franklin przypomniał sobie niedawno widziany dowcip rysunkowy, na którym Thero załamywał ręce na widok brutalnie wyrywanej z ziemi, krzyczącej główki kapusty. Rysownik nie opowiadał się po żadnej ze stron — podsumował po prostu punkt widzenia tych wszystkich, którzy uważali, że robi się wiele hałasu o nic. Niewykluczone, że po kilku tygodniach publiczność znudzi się tym tematem i cała sprawa wygaśnie, ale było to mało prawdopodobne. Ten pierwszy program telewizyjny wykazał, że Thero był ekspertem w kształtowaniu opinii publicznej; można było mieć pewność, że nie pozwoli, aby jego kampania straciła na rozmachu.

W ciągu niespełna miesiąca Thero zebrał dziesięć procent głosów wymaganych przez konstytucję, aby powołać komisję do zbadania zagadnienia. Fakt, że dziesiąta część ludzkości była na tyle zainteresowana sprawą, aby zażądać przedstawienia jej szczegółów, nie oznaczał wcale, że wszyscy ci ludzie zgadzali się z Thero; zwykła ciekawość oraz przyjemna świadomość, że jeden z departamentów

światowego państwa zostanie przyparty do muru, były wystarczającym wyjaśnieniem liczby głosów. Sama komisja nie miała większego znaczenia. Liczyć się będzie końcowe referendum nad raportem komisji, a organizacja czegoś takiego wymaga całych miesięcy. Jednym z niespodziewanych wyników dwudziestowiecznej rewolucji elektronicznej było to, że po raz pierwszy w historii pojawiła się możliwość naprawdę demokratycznych rządów — w tym sensie, że każdy obywatel mógł wypowiedzieć swoje zdanie na temat polityki. To co Ateńczycy usiłowali ze zmiennym szczęściem osiągnąć w społeczeństwie liczącym kilka tysięcy wolnych obywateli, teraz stało się realne w społeczności światowej złożonej z pięciu miliardów ludzi. Automaty do badania opinii publicznej, początkowo służące ocenie programów telewizyjnych, później ogromnie zyskały na znaczeniu, gdyż pozwalały stosunkowo łatwo i niewielkim kosztem dowiedzieć się, jakie są poglądy szerokich mas na każdy temat. Oczywiście musiały działać pewne ograniczenia. Podobny system byłby klęską przed całkowitym upowszechnieniem oświaty — przed początkiem dwudziestego pierwszego stulecia. Nawet teraz mogło się zdarzyć, że przeważą względy emocjonalne i wynik głosowania będzie sprzeczny z interesem ogółu. Żaden rząd nie mógłby funkcjonować, gdyby nie miał prawa ostatecznie decyzji w czasie swojej kadencji i nawet jeśli dziewięćdziesiąt dziewięć procent obywateli domagało się czegoś, rząd mógł zignorować głos ludu — ale owoce tego zbierał przy najbliższych wyborach.

Franklina nie radowała perspektywa występowania w roli głównego świadka na przesłuchaniach komisji, ale wiedział, że nie uda mu się uniknąć tej ciężkiej próby. Spędzał teraz wiele czasu na zbieraniu danych, które obaliłyby argumenty przeciwników uboju wielorybów, co okazało się zadaniem znacznie trudniejszym, niż to sobie wyobrażał. Sprawy nie dało się przedstawić jasno i wyraźnie, mówiąc, że preparowane mięso wielorybie kosztuje tyle a tyle za funt, gdy tymczasem syntetyczne białko uzyskiwane z glonów i planktonu będzie kosztować więcej. Nikt tego nie potrafił określić, gdyż zbyt wiele było czynników zmiennych. Największą niewiadomą był koszt eksploatacji proponowanych pływających mleczarni, gdyby zdecydowano hodować wieloryby wyłącznie dla mleka.

Brakowało danych i uczciwość nakazywała powiedzieć o tym, ale z drugiej strony Franklin czuł. się zobowiązany do stwierdzenia wprost, że zaprzestanie uboju wielorybów nigdy nie będzie możliwe ze względów czysto ekonomicznych. Jego lojalność w stosunku do sekcji, nie mówiąc już o chęci utrzymania własnego stanowiska, skłaniały go ku temu samemu.

Jednak w grę wchodziła nie tylko ekonomika; dawały o sobie znać również czynniki emocjonalne, utrudniając Franklinowi zajęcie

jednoznacznej pozycji. Dni spędzone u boku Maha Thero oraz zetknięcie się ze sposobem myślenia i kulturą starszą niż jego własna, wywarły na niego wpływ głębszy, niż przypuszczał. Podobnie jak większość ludzi żyjących w tej materialistycznej epoce, Franklin pozostawał pod urokiem tryumfów nauki, które opromieniały pierwsze dziesięciolecia dwudziestego pierwszego wieku. Szczycił się swoim sceptycznym racjonalizmem i brakiem jakichkolwiek przesądów. Zasadnicze problemy filozoficzne nigdy go zbytnio nie trapiły; wiedział, że coś takiego istnieje, ale uważał, że to nie jego specjalność.

Teraz jednak, chciał czy nie chciał, musiał odpowiedzieć na wyzwanie rzucone z tak nieoczekiwanych pozycji, że czuł się prawie bezbronny. Zawsze dotąd uważał się za człowieka humanitarnego, lecz teraz przypomniano mu, że humanitaryzm może nie wystarczać. Bijąc się tak z myślami stawał się coraz bardziej drażliwy i wreszcie doszło do tego, że musiała wkroczyć do akcji Indra.

— Walter — powiedziała stanowczo, kiedy Anna poszła do łóżka z płaczem po kolejnej awanturze, w której obie strony były równie winne — zaoszczędzisz sobie masę kłopotów, jeśli nazwiesz rzeczy po imieniu i przestaniesz się oszukiwać.

— O co ci znów chodzi?

— Od tygodnia jesteś zły na wszystko i wszystkich, z jednym tylko wyjątkiem. Wściekałeś się na Lundquista — chociaż było to częściowo moją winą — na prasę, na wszystkie inne sekcje w Departamencie, na dzieci i w każdej chwili możesz się rozzłościć na mnie. Jest tylko jedna osoba, na którą się nie złościsz — to Maha Thero, sprawca wszystkich twoich kłopotów.

— Dlaczego miałbym złościć się na niego? Jest stuknięty, ale to święty człowiek, a w każdym razie najbardziej święty ze wszystkich ludzi, jakich znam.

— Nie twierdzę, że tak nie jest. Mówię tylko, że w głębi serca zgadzasz się z nim, ale nie chcesz się do tego przyznać przed samym sobą.

— To idiotyzm! — zaczął Franklin podniesionym głosem, ale nagle jego oburzenie gdzieś się ulotniło. Idiotyzm idiotyzmem, ale to była prawda.

Poczuł, że spływa na niego spokój; nie był już więcej zły na siebie i na cały świat. Jego dziecinne dąsy na to, że stanął przed dylematem stworzonym przez innych, ulotniły się bez śladu. Dlaczego właściwie miałby się wstydzić tego, że pokochał zwierzęta, które powierzono jego opiece; jeśli można uniknąć posyłania ich na rzeź, powinien się tylko cieszyć, niezależnie od tego, jakie wynikną stąd konsekwencje dla jego sekcji.

Nagle przypomniał sobie pożegnalny uśmiech Thero. Czyżby ten

niezwykły człowiek przewidział, że przeciągnie go na swoją stronę?

Jeśli jego łagodna perswazja — której nie wahał się poprzeć metodą wstrząsów w rodzaju tego krwawego programu w telewizji — podziałała na samego Franklina, to znaczy, że losy bitwy są już właściwie przesądzone.

XXII

— Dawniej życie było o wiele prostsze — westchnęła Indra. To prawda, że Peter i Anna byli teraz w internacie, ale wbrew oczekiwaniom nie przysporzyło jej to wolnego czasu. Odkąd Walter został ważną figurą w administracji, musieli brać udział w licznych przyjęciach i uroczystościach. No, z tą ważną figurą to może pewna przesada; dyrektora Sekcji Wielorybów dzieliła jeszcze spora odległość — przynajmniej sześć szczebli — od niebotycznych wysokości, na jakich żył prezydent i jego doradcy.

Pewne rzeczy były jednak niezależne od rangi służbowej. Nikt na przykład nie mógł zaprzeczyć, że stanowisko Walta otaczała aura romantyzmu i ogólnego zainteresowania, sprawiająca, że był on bardziej popularną osobistością niż inni dyrektorzy Departamentu, nawet przed artykułem w „Earth Magazine" i obecną dyskusją wokół uboju wielorybów. Ile ludzi znało nazwiska dyrektora Farm. Planktonowych albo Zasobów Wód Śródlądowych? Może co setny z tych, którzy słyszeli o Walterze. Indra była z tego dumna, chociaż z drugiej strony narażało to Waltera na zazdrość kolegów z innych sekcji.

Teraz jednak zagrażało mu coś gorszego. Jak na razie nikt z pracowników sekcji, ani tyra bardziej nikt z wyższych urzędników Światowej Organizacji do Spraw Wyżywienia, nawet przez chwilę nie podejrzewał, że Walter może mieć jakiekolwiek wątpliwości lub że nie jest zdeklarowanym zwolennikiem status quo.

Indra próbowała zająć się lekturą czasopism naukowych, ale przerwał jej sygnał specjalnego wideofonu, który mimo jej protestów został zainstalowany w dniu, kiedy Walter objął stanowisko dyrektora. Uznano widocznie, że normalna sieć łączności jest niewystarczająca i teraz mogli dzwonić do Waltera z pracy, o każdej porze dnia i nocy.

— Dzień dobry — odezwał się telefonista, który stał się już prawie przyjacielem domu. — Czy zastałem dyrektora?

— Niestety nie — odpowiedziała Indra z satysfakcją. — Mąż od miesiąca nie miał wolnego dnia i dzisiaj pojechał z Peterem na żagle. Jeśli chcecie go złapać, musicie wysłać samolot, bo radio na żaglówce znowu się popsuło.

— Oba aparaty? To dziwne. Na szczęście to nic pilnego. Kiedy wróci, proszę mu uprzejmie przekazać ten komunikat.

Rozległo się pstryknięcie i do wielkiego kosza na korespondencję wśliznął się arkusz papieru. Indra przeczytała go, nie patrząc w aparat pożegnała się z telefonistą i natychmiast połączyła się z Franklinem przez znakomicie funkcjonujące radio.

Skrzyp lin, łagodny plusk wody o kadłub łódki, krzyk mew —

wszystkie te dźwięki odezwały się w głośniku, przenosząc ją natychmiast do zatoki Moreton.

— Wydało mi się, że powinieneś o tym wiedzieć — powiedziała. — W najbliższą środę tutaj w Brisbane zbiera się na nadzwyczajne posiedzenie Rada Programowa. Masz więc trzy dni czasu, żeby się namyślić, co im powiesz.

Zapanowało krótkie milczenie; słychać było, jak Franklin odchodzi po coś, potem odezwał się znowu:

— Dziękuję ci, kochanie. Wiem, co mam powiedzieć, nie wiem jeszcze tylko, jak im to powiem. Jest coś, w czym mogłabyś mi pomóc. Znasz wszystkie żony inspektorów — może byś tak podzwoniła do nich i spróbowała dowiedzieć się, co ich mężowie sądzą na ten temat. Czy mogłabyś przeprowadzić to jakoś dyskretnie? Mnie teraz trudno byłoby dowiedzieć się, co myślą moi podwładni. Boję się, że mówiliby to, co uważają, że chciałbym od nich usłyszeć.

W głosie Franklina słychać było jakąś smutną nutę, co zdarzało się nieraz w ostatnich dniach. Indra zbyt dobrze znała swego męża, aby przypuszczać, że przyczyną tego może być żal, że przyjął swoje obecne stanowisko.

— Dobra myśl — powiedziała. — Jest co najmniej dziesięć osób, do których od dawna powinnam zadzwonić. Świetna okazja, pewnie jednak nie obejdzie się bez kolejnego przyjęcia.

— Nie mam nic przeciwko temu — dopóki jestem dyrektorem i stać mnie na to. Jeśli jednak za miesiąc wrócę do pensji inspektora, trzeba będzie ograniczyć życie towarzyskie.

— Nie myślisz chyba…

— O, nie będzie tak źle, ale mogą przesunąć mnie do jakiejś cichej, spokojnej pracy, chociaż nie wyobrażam sobie, co mógłbym teraz robić poza sekcją. Z drogi, idioto — gdzie się pchasz?! — Przepraszam, kochanie, pełno tutaj tych niedzielnych żeglarzy. Będziemy z powrotem za półtorej godziny, jeśli tylko nie staranuje nas któryś z tych idiotów. Pete mówi, że chciałby miód na podwieczorek. Pa, na razie.

Indra patrzyła chwilę w zamyśleniu na radio, które nagle przestało przekazywać odgłosy z dalekiej łodzi. Z jednej strony żałowała, że nie pojechała na wycieczkę z Walterem i Peterem, z drugiej jednak strony zdawała sobie sprawę, że syn bardziej potrzebuje teraz towarzystwa ojca. Chwilami buntowała się przeciwko temu, zdając sobie sprawę, że za kilka miesięcy stracą oboje tego chłopca, którego ciało i umysł były ich dziełem, a który teraz wymykał im się z ręki.

Było to oczywiście nieuniknione; więzy łączące ojca i syna teraz muszą ich rozłączyć. Wątpliwe, czy Peter uświadamiał sobie, dlaczego tak bardzo chciał zostać kosmonautą; ostatecznie było to dość

powszechne marzenie chłopców w jego wieku. On jednak należał do najmłodszych stypendystów trzech planet i nietrudno było zrozumieć dlaczego. Jego ambicją był podbój żywiołu, który kiedyś pokonał jego ojca.

Dość tych rozmyślań, powiedziała sobie Indrą. Rozłożyła swój spis numerów wideofonów i zaczęła wybierać nazwiska wszystkich inspektorów, których żony mogły teraz być w domu.

Rada Programowa zbierała się normalnie dwa razy do roku i zwykle niewiele miała do roboty, gdyż większość spraw załatwiały z powodzeniem komisje zajmujące się finansami, produkcją, personelem i postępem technicznym. Franklin wchodził w skład wszystkich tych komisji, ale tylko jako zwykły członek, gdyż przewodniczył zawsze ktoś z Departamentu Morskiego albo z Sekretariatu Światowego. Zdarzało mu się wracać z posiedzeń w stanie przygnębienia lub rezygnacji, nigdy jednak dotychczas nie wracał wściekły.

Indra zrozumiała, że coś poszło nie po jego myśli, w momencie, kiedy Franklin przekroczył próg domu.

— Jestem przygotowana na najgorsze — powiedziała z rezygnacją, widząc, jak Franklin bezwładnie opada w najwygodniejszy fotel. — Czy musisz szukać nowej pracy?

Żart był nieco wymuszony i Franklin odpowiedział jeszcze bardziej wymuszonym uśmiechem.

— Tak źle jeszcze nie jest, ale sprawy są bardziej skomplikowane, niż przypuszczałem. Stary Burrows przygotował się solidnie, zanim objął przewodnictwo; widocznie ktoś z Sekretariatu nafaszerował go danymi. Wszystko sprowadza się do tego: dopóki nie zostanie udowodnione, że produkcja żywności z mleka wielorybów i białka syntetycznego jest znacznie tańsza, ubój wielorybów będzie kontynuowany. Nawet dziesięcioprocentowa różnica nie będzie uznana za wystarczającą. Jak powiedział Burrows, obchodzą nas koszty, a nie mętne zasady etyczne, domagające się sprawiedliwości dla zwierząt.

Jest w tym, jak sądzę, pewna racja i nie miałem zamiaru oponować. Kłopoty zaczęły się podczas przerwy, kiedy Burrows przydybał mnie w kącie i spytał, co sądzą o tym inspektorzy. Powiedziałem mu więc, że osiemdziesiąt procent inspektorów jest za zamknięciem rzeźni, nawet gdyby miało to oznaczać podwyżkę cen żywności. Nie wiem, dlaczego zadał mi to właśnie pytanie. Może dotarły do niego słuchy o naszej małej ankiecie.

W każdym razie zbiłem go nieco z tropu i widziałem, że chce mi coś powiedzieć, ale nie wie, od czego zacząć. Wreszcie powiedział wprost, że mam występować przed komisją jako koronny świadek i że Departament Morski nie życzy sobie, żebym wobec milionów widzów

poparł Thero.

— A jeśli spytają mnie o moje prywatne zdanie? — powiedziałem. — Nikt bardziej ode mnie nie pracował nad zwiększeniem produkcji wielorybiego mięsa i tłuszczu, ale moim życzeniem jest, aby możliwie jak najszybciej przekształcić sekcję w organizację zajmującą się wyłącznie ochroną zwierząt.

Spytał mnie, czy to jest moja ostateczna opinia, i powiedziałem, że tak.

— Potem posprzeczaliśmy się trochę, chociaż bez gniewu, i uzgodniliśmy, że istnieje wyraźna różnica opinii pomiędzy ludźmi, którzy mają do czynienia z wielorybami, i tymi, którzy widzą je wyłącznie jako pozycje w zestawieniach statystycznych. Następnie Burrows wyszedł i telefonował do jakichś osobistości z Sekretariatu, a my czekaliśmy prawie pół godziny. Wreszcie wrócił z rozkazami dla mnie, chociaż starannie unikał tego określenia. W sumie chodzi o to, że mam przed komisją występować jako posłuszna marionetka Departamentu.

— A co będzie, jeśli druga strona spyta wprost o twój osobisty pogląd na sprawę?

— Nasz adwokat będzie próbował uchylić pytanie, a jeśli mu się to nie uda, mam nie mieć żadnych osobistych poglądów.

— Jaki jest cel tego wszystkiego?

— O to samo spytałem Burrowsa i wreszcie udało mi się wyciągnąć z niego wyjaśnienie. W grę wchodzą kwestie polityczne. Sekretariat obawia się, że w razie zwycięstwa Maha Thero zbyt urośnie w siłę, i dlatego za wszelką cenę nie chce do tego zwycięstwa dopuścić.

— Teraz rozumiem — powiedziała Indra. — Czy sądzisz, że Thero dąży do zdobycia władzy politycznej?

— Nie dla samej władzy, ale możliwe, że stara się zdobyć wpływy, aby wykorzystać je dla propagowania swojej religii i tego właśnie obawiają się w Sekretariacie.

— Co więc masz zamiar zrobić?

— Nie wiem — odpowiedział Franklin. — Naprawdę nie wiem.

* * *

Był nadal niezdecydowany, kiedy rozpoczęły się przesłuchania i Maha Thero osobiście wystąpił wobec widzów z całego świata. Patrząc na małą postać w żółtej szacie, Franklin nie mógł powstrzymać się od myśli, że Maha Thero na pierwszy rzut oka nie robił zbyt imponującego wrażenia. Było w nim nawet coś śmiesznego, lecz kiedy zaczynał mówić, człowiek natychmiast odczuwał, że ma do czynienia

z siłą i przekonaniem.

— Na wstępie chcę wyjaśnić jedno — zaczął Maha Thero, zwracając się nie tylko do przewodniczącego komisji, lecz również do niewidocznych milionów telewidzów oglądających to pierwsze przesłuchanie na ekranach. — Nie jest prawdą, jak utrzymują niektórzy z naszych oponentów, że usiłujemy narzucić światu wegetarianizm. Sam Budda jadał mięso, kiedy mu je ofiarowano, i my czynimy podobnie, gdyż gość powinien przyjmować z wdzięcznością wszystko, czym go częstują.

Nasza pozycja opiera się na poważniejszych i głębszych przesłankach niż przesądy pokarmowe, wynikające zazwyczaj z uwarunkowań historycznych. Co więcej, jesteśmy przekonani, że ludzie kierujący się rozsądkiem — niezależnie od tego, czy podzielają nasze poglądy religijne — zgodzą się z naszym punktem widzenia.

Można go streścić w krótkich słowach, mimo że jest wynikiem dwudziestu sześciu stuleci myśli ludzkiej. Uważamy, że nie należy zadawać cierpienia ani zabijać żadnej żywej istoty, ale nie jesteśmy tak nierozsądni, aby sądzić, że można tego całkowicie uniknąć. Tak więc uznajemy na przykład konieczność zabijania bakterii i pasożytów, choć żałujemy, że jest to konieczne.

Jednak powinniśmy zaprzestać zabijania, gdy tylko nie jest ono konieczne. Uważamy, że obecnie nadszedł moment, kiedy ta konieczność znikła w stosunku do większości zwierząt wyższych. Pojawiła się obecnie możliwość uzyskiwania różnych rodzajów syntetycznego białka z surowców czysto roślinnych. Za życia jednego pokolenia możemy pozbyć się ciężaru winy, która choć w różnym stopniu odczuwana przez poszczególnych ludzi, musi wstrząsać sumieniem każdego myślącego człowieka, gdy spogląda na świat istot żywych, które mieszkają z nami na tej samej planecie.

Nie chcemy nikomu narzucać tego stanowiska wbrew jego woli. Dobre uczynki tracą jakąkolwiek wartość, kiedy do nich zmuszamy siłą. Pozwólmy, aby fakty, jakie za chwilę przedstawimy, przemówiły same za siebie, a świat niech dokona wyboru.

Było to, pomyślał Franklin, proste, uczciwe przemówienie, bez cienia fanatyzmu, który musiałby ponieść porażkę w tym wieku racjonalizmu. A jednak cała sprawa wykraczała poza ramy zdrowego rozsądku. W — świecie rządzącym się czystą logiką nie byłoby miejsca dla podobnej kontrowersji, gdyż nikt nie wątpiłby, że człowiek ma prawo wykorzystywać królestwo zwierząt, jak mu się żywnie podoba. Jednak logikę nietrudno tu zdyskredytować; zbyt łatwo można bowiem uzasadnić logicznie korzyści z ludożerstwa.

Thero nie użył w swoim wystąpieniu argumentu, który kiedyś wywarł tak wielkie wrażenie na Franklinie. Nie wspomniał mianowicie o możliwości zetknięcia się z obcymi formami życia w

kosmosie, które mogą oceniać człowieka na podstawie jego stosunku do innych form życia na Ziemi. Czyżby uznał, że jest to myśl zbyt śmiała, aby szeroka publiczność przyjęła ją poważnie, i że grozi to ośmieszeniem całej jego kampanii? A może zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju argument powinien szczególnie przemówić do byłego astronauty? Trudno powiedzieć, w każdym jednak razie dowodziło to, że Thero nieomylnie przewidywał reakcje zarówno poszczególnych ludzi, jak i opinii publicznej.

Franklin wyłączył odbiornik; sceny, które teraz pokazywano, znał dobrze, ponieważ sam pomagał Thero w ich filmowaniu. Departament Morski będzie żałował, że dopuścił Jego Wielebność do wszystkich swoich urządzeń — pomyślał Franklin złośliwie — ale właściwie nie miał innego wyjścia.

Za dwa dni on będzie występował przed komisją; już teraz czuł się bardziej oskarżonym niż świadkiem. I rzeczywiście to on stawał przed sądem, a ściślej mówiąc jego sumienie. Dziwnie było pomyśleć, że on, który kiedyś usiłował zabić sam siebie, teraz był przeciwny zabijaniu innych stworzeń. Istniał tu jakiś związek, zbyt jednak skomplikowany, aby mógł go teraz rozwikłać. Zresztą nawet gdyby mu się to udało, w niczym nie ułatwiłoby to jego sytuacji.

Tymczasem rozwiązanie zbliżało się z zupełnie niespodziewanej strony.

XXIII

Franklin wsiadał właśnie do samolotu, który miał go zawieźć na posiedzenie komisji, kiedy rozległ się sygnał alarmu. Stojąc w drzwiach samolotu czytał czerwono oznakowaną depeszę, jaką mu błyskawicznie doręczono, i od tej chwili wszystkie inne problemy przestały się liczyć.

Sygnał SOS nadszedł z Sekcji Kopalń, największej w Departamencie Morskim. Jej nazwa była nieco myląca, gdyż nie zarządzała ona żadną kopalnią w ścisłym tego słowa znaczeniu. Dwadzieścia — trzydzieści lat temu istniały rzeczywiście kopalnie na dnie oceanu, lecz obecnie sam ocean był niewyczerpanym źródłem skarbów. Prawie wszystkie znane w przyrodzie pierwiastki można było uzyskiwać bezpośrednio z wody morskiej, której każdy kilometr sześcienny zawiera tony rozpuszczalnych związków mineralnych. Wraz z udoskonaleniem selektywnych filtrów jonowych zmora braku metali zniknęła na zawsze.

Sekcji Kopalń podlegały również setki szybów naftowych, wyrastających z dna mórz i przesyłających rurociągami cenny płyn, który stanowił surowiec dla połowy wszystkich zakładów chemicznych na Ziemi, a który poprzednie pokolenia z karygodną krótkowzrocznością spalały. W obejmującym cały świat gospodarstwie sekcji zdarzały się różne wypadki; na przykład w zeszłym roku Franklin wypożyczał im łódź podwodną, która brała udział w, nieudanej zresztą, próbie wydobycia zbiornika z koncentratem złota. Tym razem jednak sprawa była o wiele poważniejsza, jak się przekonał po kilku rozmowach telefonicznych.

Po półgodzinie znajdował się z powrotem w samolocie, tyle że teraz leciał w zupełnie innym kierunku. Upłynęła prawie godzina lotu, zanim zdołał wydać wszystkie niezbędne polecenia i mógł wreszcie połączyć się z Indrą.

Zdziwiła się, ujrzawszy jego twarz na ekranie, ale zaraz zdziwienie zmieniło się w strach.

— Posłuchaj, kochanie — zaczął Franklin — okazało się, że nie lecę do Berna. Kopalnie mają poważny wypadek i zwróciły się do nas o pomoc. Jedna z ich wielkich łodzi podwodnych uwięzła na dnie podczas wiercenia otworu trafiła na złoże gazu pod wąskim ciśnieniem. Wskutek wybuchu przewróciła się wieża wiertnicza, przygniatając łódź. Mamy tu w samolocie cały transport bardzo ważnych osobistości, włącznie z senatorem i dyrektorem kopalń. Nie wiem jeszcze, jak będziemy wydobywać tę łódź, ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Zadzwonię do ciebie, jak tylko znów będę miał chwilkę czasu.

— Czy będziesz musiał sam schodzić pod wodę? — spytała Indra z niepokojem.

— Prawdopodobnie. Nie miej takiej przerażonej miny! Robię to przecież od lat!

— Wcale nie mam przerażonej miny — odpowiedziała Indra i Franklin wiedział, że lepiej z nią nie dyskutować.

— Do widzenia, kochanie — powiedział na zakończenie. — Ucałuj Annę i nie martw się o mnie.

Indra patrzyła, jak jego twarz znika na ekranie wideofonu. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że Franklin wyglądał na szczęśliwego, co mu się nie zdarzało już od kilku tygodni. Może nie było to odpowiednie słowo tam, gdzie w grę wchodziło zagrożenie ludzkiego życia; należało raczej powiedzieć, że był pełen energii i entuzjazmu. Uśmiechnęła się, wiedząc doskonale, co było tego przyczyną.

Walter mógł nareszcie uciec od problemów swego stanowiska i zatracić się znowu, choćby na krótko, w pierwotnej prostocie morza.

— To tutaj — powiedział pilot łodzi podwodnej, wskazując punkt na ekranie hydrolokatora. — Na litej skale, jedenaście tysięcy stóp pod nami. Za kilka minut zobaczymy szczegóły.

— Jaka jest przejrzystość wody — czy można będzie skorzystać z telewizji?

— Nie sądzę. Wybuch gazu zmącił wodę w promieniu wielu mil. Gejzer gazowy tryska nadal — o tutaj, widzisz to słabe echo?

Franklin wpatrywał się w ekran, porównując widoczny na nim obraz z planami i szkicami, jakie miał przed sobą. Gładki, owalny zarys wielkiej łodzi podwodnej przesłaniały częściowo szczątki wieży wiertniczej — co najmniej tysiąc ton stali, przygniatającej łódź do dna. Nic dziwnego, że mimo opróżnienia zbiorników balastowych i włączenia silników na pełną moc, łódź nie mogła ruszyć z miejsca.

— Ładna sprawa — powiedział Franklin w zamyśleniu. — Ile czasu trzeba, żeby ściągnąć tu wielkie holowniki?

— Przynajmniej cztery dni. „Herkules” może podnieść pięć tysięcy ton, ale stoi teraz w Singapurze i jest za duży, żeby go tu przetransportować drogą lotniczą; musiałby płynąć własnym napędem. Tylko wasza sekcja rozporządza małymi łodziami, które można przerzucać samolotem.

To prawda, pomyślał Franklin, ale oznacza to jednocześnie, że są one za małe do cięższych prac. Jedyna nadzieja, że zdążą pociąć wieżę palnikami.

Druga łódź sekcji przystąpiła już do pracy; ktoś zasłużył na wyróżnienie za szybkość, z jaką wyposażył w palnik łódź, która nie była do tego celu przystosowana. Chyba nawet słynny ze swej

sprawności Departament Kosmonautyki nie potrafiłby zrobić tego szybciej.

— Tu kapitan Jacobson — odezwał się głośnik. — To dobrze, że jesteś z nami, Franklin. Twoi chłopcy spisują się dzielnie, ale wygląda na to, że sprawa wymaga czasu.

— A co tam u was?

— Nie najgorzej. Martwi mnie tylko pancerz pomiędzy trzecią i czwartą grodzią. Tam uderzyła wieża i powstały jakieś odkształcenia.

— Czy można zamknąć ten przedział w razie przecieku?

— Nie bardzo — powiedział Jacobson. — Tak się składa, że to jest centrala dowodzenia. W razie ewakuacji tego pomieszczenia będziemy zupełnie bezradni.

— A jak się mają twoi pasażerowie?

— Hm… doskonale — odpowiedział kapitan, dając do zrozumienia, że w stosunku do niektórych ma poważne wątpliwości. — Senator Chamberlain chciałby zamienić z tobą kilka słów.

— Cześć, Franklin — zaczął senator. — Nie przypuszczałem, że spotkamy się znowu w podobnej sytuacji. Jak sądzisz, ile czasu trzeba, żeby nas stąd wyciągnąć?

Senator miał dobrą pamięć albo dobrego sekretarza. Z Franklinem spotkał się nie więcej niż trzy razy, ostatnio w Canberze na posiedzeniu Komitetu Ochrony Bogactw Naturalnych. Franklin występował tam przez dziesięć minut jako świadek i byłoby dziwne, gdyby przewodniczący zapamiętał go sobie.

— Nie mogę niczego obiecać, senatorze — powiedział ostrożnie. — Uprzątnięcie tego całego rumowiska musi zająć trochę czasu, ale damy sobie radę, nie ma powodu do niepokoju.

Kiedy łódź podwodna zbliżyła się do miejsca wypadku, Franklin stracił nieco na pewności siebie. Wieża miała przeszło dwieście stóp długości i pocięcie jej na fragmenty, z którymi dałyby sobie radę małe łodzie, wyglądało na bardzo pracochłonne zajęcie.

W ciągu następnych dziesięciu minut odbyła się trójstronna konferencja z udziałem Franklina, kapitana Jacobsona i głównego inspektora Barlowa, pilotującego drugą łódź zwiadowczą. Uzgodniono, że najlepiej będzie kontynuować cięcie wieży; nawet przyjmując najbardziej pesymistyczne obliczenie, powinni skończyć na dwa dni wcześniej, niż zajęłoby sprowadzenie Herkulesa. Pod warunkiem oczywiście, że nie wynikną jakieś niespodziewane kłopoty. Źródłem niepokoju mogła być tylko wspomniana przez kapitana Jacobsona możliwość przecieku.

Podobnie jak wszystkie większe jednostki podwodne, jego statek miał aparaturę do regeneracji powietrza, która zapewniała dopływ świeżego powietrza na kilka tygodni, w razie jednak uszkodzenia

kadłuba w rejonie centrali dowodzenia zostałoby naruszone działanie wszystkich ważniejszych układów. Załoga mogła się wycofać za wodoszczelne grodzie, ale zyskaliby w ten sposób niewiele, gdyż wkrótce odczuliby skutki zatrucia powietrza. Na dodatek, gdyby jakaś część łodzi została zalana wodą, nawet Herkules miałby trudności z wydobyciem jej na powierzchnię.

Franklin, zanim zaczął pomagać Barlowowi w ataku na wieżę, połączył się drogą radiową z bazą i zażądał dodatkowego sprzętu. Prosił o natychmiastowe przysłanie drogą lotniczą dwóch łodzi podwodnych i polecił przystąpić do masowej produkcji pływaków z beczek po benzynie. Jeśli wystarczająco dużo takich beczek przywiąże się do wieży, można będzie ją podnieść bez pomocy statków ratowniczych.

Był jeszcze jeden rodzaj sprzętu, który zamówił po chwili wahania.

— Od przybytku głowa nie boli — mruknął wreszcie pod nosem i włączył go do listy zamówień, chociaż podejrzewał, że w magazynie uznają go za pomylonego.

Cięcie kratownic obalonej wieży było zajęciem pracochłonnym, ale stosunkowo prostym. Dwie łodzie pracowały wspólnie: jedna cięła palnikiem, a druga natychmiast odciągała na bok odcięty fragment konstrukcji. Wkrótce Franklin całkowicie stracił poczucie czasu, nie istniało dla niego nic poza kawałem metalu, nad którym pracował w danej chwili. Odbierał komunikaty i wydawał instrukcje, ale zajmowała się tym jakaś inna część jego świadomości. Ręce i mózg pracowały jako dwa niezależne instrumenty.

Woda, która była zupełnie zmącona, kiedy przybyli, teraz z każdą chwilą stawała się czystsza. Widocznie ryczący gejzer gazu, bijący z dna w odległości zaledwie kilkuset jardów, prądem czystej wody zmywał teraz wzniecony przez siebie osad. Niezależnie od przyczyn tego zjawiska ułatwiało to poważnie pracę ratowników, którzy mogli korzystać z oczu kamer telewizyjnych.

Franklin był zaskoczony, kiedy usłyszał, że przybyły posiłki. Nie mógł uwierzyć, że jest tutaj już od sześciu przeszło godzin, nie czuł głodu ani zmęczenia. Dwie nowe łodzie podwodne przyholowały pierwszy transport zamówionych przez niego pływaków, które wyglądały jak długi sznur puszek od konserw.

Plan kampanii uległ teraz zmianie. Kolejno przywiązywano blaszane beczki do zwalonej wieży, podłączono do nich przewody i pompowano powietrze, aż zaczynały rwać się ku górze jak balony na uwięzi. Każda z nich miała siłę ciągu dwóch do trzech ton; Franklin obliczył, że kiedy zbierze się ich setka, uwięziona łódź podwodna będzie mogła wydostać się beż dodatkowej pomocy.

Zdalnie sterowane narzędzia, umocowane na zewnątrz łodzi, tak

rzadko używane w normalnej pracy, teraz stały się jakby przedłużeniem jego własnych ramion. Minęły przeszło cztery lata od czasu, gdy po raz ostatni posługiwał się zmyślnymi metalowymi rękami, które pozwalały pracować w miejscach zbyt niebezpiecznych dla człowieka. Przypomniał sobie, jak kiedyś, wiele lat temu, próbował po raz pierwszy za ich pomocą zawiązać węzeł i jak wszystko beznadziejnie poplątał. Była to jedna z tych umiejętności, z których nigdy właściwie nie korzystał; kto mógł pomyśleć, że przyda mu się teraz, kiedy porzucił morze i przestał być inspektorem?

Przystępowali właśnie do pompowania drugiej serii beczek, kiedy odezwał się kapitan Jacobson.

— Wiadomości są chyba niepomyślne — powiedział głosem nabrzmiałym niepokojem. — Mamy wodę i przeciek jest coraz większy. Jak tak dalej pójdzie, będziemy zmuszeni za kilka godzin ewakuować przedział dowodzenia.

Była to wiadomość, której Franklin się obawiał. Zmieniała ona normalną pracę ratowników w wyścig z czasem — wyścig o nierównych szansach, gdyż potrzeba było jeszcze całego dnia na pocięcie reszty wieży.

— Jakie macie ciśnienie powietrza w łodzi? — spytał kapitana Jacobsona.

— Zwiększyłem już ciśnienie do pięciu atmosfer. Dalsze podnoszenie ciśnienia nie jest wskazane ze względów bezpieczeństwa.

— Daj osiem atmosfer, jeśli możesz. Nawet jeśli połowa z was straci przytomność, to nie będzie nieszczęścia, dopóki ktoś pozostanie przy pulpicie sterowniczym. Najważniejsze, żeby zlokalizować przeciek.

— Zrobię, jak radzisz — tylko jeśli większość ludzi straci przytomność, ewakuacja przedziału dowodzenia może być bardzo trudna.

Zbyt wielu było słuchaczy, aby udzielić narzucającej się odpowiedzi — że jeśli zajdzie konieczność opuszczenia przedziału dowodzenia, to i tak wszystko będzie stracone. Kapitan Jacobson wiedział o tym równie dobrze jak Franklin, ale część pasażerów mogła nie zdawać sobie sprawy, że podobne posunięcie oznaczało koniec wszelkich szans na ratunek.

Franklin stanął teraz przed koniecznością podjęcia decyzji, której miał nadzieję uniknąć. Stopniowy demontaż wieży wymagał zbyt wiele czasu; należało użyć środków wybuchowych i rozerwać wieżę pośrodku, tak by nie podparta jej część zsunęła się z łodzi.

Plan ten, nasuwający się od samego początku, miał jednak dwie wady: jedną było niebezpieczeństwo użycia środków wybuchowych w pobliżu i tak nadwerężonego kadłuba łodzi, drugą były trudności związane z umieszczeniem ładunków w odpowiednich miejscach. Z

czterech głównych dźwigarów wieży dwa górne były łatwo dostępne, jednak dwa dolne były nieosiągalne dla mechanicznych rąk łodzi podwodnych. Była to praca, jaką mógł wykonać wyłącznie płetwonurek, i w płytkiej wodzie wystarczyłoby na to zaledwie kilka minut. Tu jednak nie było płytko. Znajdowali się na głębokości tysiąca stu stóp, gdzie ciśnienie przekraczało trzydzieści atmosfer.

XXIV

— Nie zgadzam się, Franklin. To zbyt wielkie ryzyko.

Nieczęsto ma się okazję do sporu z senatorem, pomyślał Franklin. Ale jeśli będzie trzeba, to i tak wbrew niemu postawię na swoim.

— Wiem, „że istnieje niebezpieczeństwo — przyznał — ale nie ma innego wyjścia. Opłaca się zaryzykować jedno życie dla ratowania dwudziestu trzech.

— Zawsze sądziłem, że nurkowanie na głębokości większej niż kilkaset stóp to czyste samobójstwo.

— Tak, jeśli oddycha się sprężonym powietrzem. Najpierw zwala człowieka z nóg azot, a potem dołącza się zatrucie tlenowe. Jednak przy zastosowaniu odpowiedniej mieszanki jest to możliwe. Z tym wyposażeniem, jakie tu mam, schodzono na głębokość tysiąca pięciuset stóp.

— Nie chcę się z tobą sprzeczać, Franklin — odezwał się cichy głos kapitana Jacobsona — ale o ile wiem, tylko raz osiągnięto tysiąc pięćset stóp, i to przy szczególnej asekuracji. I nie było mowy o żadnej pracy.

— To żadna praca. Mam tylko umocować dwa ładunki.

— Ale ciśnienie!

— Ciśnienie nie ma żadnego znaczenia, jeśli jest zrównoważone, senatorze. Na moje płuca może cisnąć i sto ton — a ja nie będę czuł nic, jeśli w płucach będę miał takie samo ciśnienie.

— Wybacz, ale czy nie lepiej byłoby posłać kogoś młodszego?

— Nie zlecę nikomu tej pracy, a wiek nie ma wpływu na zdolność do nurkowania. Jestem zdrowy i to jest jedyna rzecz, jaka się liczy.

Wypływamy! — powiedział do pilota łodzi. — Nie możemy spierać się tu przez cały dzień. Muszę włożyć na siebie cały ten ekwipunek, zanim się rozmyślę.

Przez całą drogę ku powierzchni Franklin bił się z myślami. Czy był głupcem, podejmując ryzyko, jakiego człowiek na jego stanowisku, mający żonę i dzieci, nie powinien podejmować? A może wciąż jeszcze, mimo upływu tylu lat, chciał udowodnić, że nie jest tchórzem, i dlatego rozmyślnie narażał się na niebezpieczeństwo, od którego raz już został cudem uratowany?

Zdawał sobie też sprawę z innych, mniej dla niego pochlebnych motywów. W pewnym sensie była to też próba ucieczki przed odpowiedzialnością. Niezależnie od tego, czy jego misja zakończy się powodzeniem, zostanie niewątpliwie ogłoszony bohaterem — a wtedy Sekretariat Światowy będzie musiał się z nim bardziej liczyć. Swoją drogą był to ciekawy problem: czy można zrekompensować brak odwagi moralnej czysto fizyczną brawurą?

Kiedy łódź wypłynęła na powierzchnię, wszystkie pytania poszły w kąt. W każdym z tych oskarżeń, jakie wysuwał pod swoim adresem, mogła być część prawdy, ale teraz nie miało to znaczenia. W głębi serca był przekonany, że postępuje słusznie. Była to jedyna możliwość uratowania ludzi, znajdujących się prawie ćwierć mili pod nim, i wobec tego faktu wszystkie inne względy przestawały się liczyć.

Morze, pokryte warstwą nafty wydobywającej się z otworu, było tak gładkie, że pilot samolotu transportowego zdecydował się na wodowanie, chociaż jego maszyna nie była hydroplanem. Jedna z łodzi podwodnych pływała na powierzchni i jej załoga mocowała się z następną porcją beczek. Pomagali jej w tym lotnicy, pracujący w gumowych łódkach, które po zrzuceniu na wodę automatycznie napełniały się powietrzem.

Komandor Henson, szef nurków Departamentu Morskiego, czekał w samolocie ze sprzętem. Wywiązała się między nimi kolejna dyskusja, ale komandor ustąpił dość łatwo i jak się wydało Franklinowi, nawet z pewną ulgą. Gdyby ktokolwiek inny miał podjąć się tego zadania, nie ulegało wątpliwości, że Henson ze swoim niezrównanym doświadczeniem byłby kandydatem numer jeden. Franklin zastanawiał się nawet przez chwilę, czy upierając się przy osobistym wykonaniu tego zadania nie zmniejsza szans na sukces misji. Był już jednak na dnie i miał rozeznanie w sytuacji; gdyby Henson musiał teraz płynąć na rekonesans, oznaczałoby to stratę cennego czasu.

Franklin zażył pigułki pH, dostał zastrzyk i włożył gumowy kostium, mający chronić go przed bliską zera temperaturą, panującą na dnie morza. Nie lubił tych kostiumów, gdyż krępowały ruchy i utrudniały wyważenie ciężaru ciała w wodzie, ale w tym wypadku nie miał innego wyjścia. Potem umocowano mu na plecach skomplikowaną aparaturę do oddychania z trzema butlami — z których jedna, pomalowana ostrzegawczo czerwonym kolorem, zawierała sprężony wodór — i spuszczono go do wody.

Komandor Henson pływał wokół niego przez kilka minut sprawdzając szczelność maski, działanie nadajnika ultradźwięków i ustalając ilość balastu. Franklin oddychał teraz normalnym powietrzem i dopiero na głębokości trzystu stóp miał przejść na specjalna mieszankę. Zmiana dokonywała się automatycznie. Specjalny regulator dozował tlen tak, aby mieszanka była odpowiednia dla danej głębokości — o ile jest to w ogóle możliwe w regionach, do których organizm człowieka nie jest zupełnie przystosowany…

Wreszcie wszystko było gotowe. Z ładunkami wybuchowymi bezpiecznie umocowanymi u pasa, chwycił się barierki, otaczającej właz do wieżyczki łodzi podwodnej.

— Jedziemy na dół — powiedział do pilota łodzi. — Pięćdziesiąt stóp na minutę. Utrzymuj szybkość poziomą poniżej dwóch węzłów.

— Jest pięćdziesiąt stóp na minutę. A jeśli zaczniemy nabierać szybkości, włączę hamowanie.

Prawie natychmiast światło dzienne ustąpiło miejsca ponuremu, zielonemu mrokowi. Górna warstwa wody była prawie zupełnie nieprzezroczysta z powodu osadu wyrzucanego przez fontannę nafty i gazu. Franklin nie widział nawet całej wieżyczki łodzi; na blisko dwie stopy od jego oczu metalowa barierka rozpływała się w mroku. Nie przejmował się tym zbytnio; jeśli trzeba, potrafi kierować się wyłącznie dotykiem, a poza tym wiedział, że przy dnie woda będzie czystsza.

Zaledwie na głębokości trzydziestu stóp musiał zatrzymać się prawie na minutę dla wyrównania ciśnienia. Zapamiętale dmuchał i przełykał ślinę, dopóki charakterystyczne pstryknięcie w głowie nie dało znać, że wszystko jest w porządku; co za wstyd, gdyby musiał wracać na powierzchnię z powodu zatkania trąbki Eustachiusza! Oczywiście nikt nie miałby do niego pretensji, nawet zwykłe przeziębienie może wyeliminować najlepszego nurka — ale trudno byłoby pogodzić się z tak nieoczekiwanym zakończeniem bohaterskiej wyprawy.

Robiło się coraz ciemniej w miarę tego, jak promienie słońca przegrywały walkę z zanieczyszczoną wodą. Na głębokości stu stóp Franklin znalazł się wśród mglistej księżycowej poświaty, w świecie pozbawionym całkowicie ciepła i barw. Uszy nie sprawiały mu już teraz kłopotów i oddychał bez wysiłku, ale zaczynał odczuwać jakieś nieokreślone przygnębienie. Był pewien, że jest to wyłącznie efekt gęstniejącego mroku, a nie lęk przed tysiącem stóp głębi, czekającej go w dole.

Aby zająć czymś umysł, wywołał pilota i zażądał sprawozdania ze stanu prac. Do zwalonej wieży przyczepiono już pięćdziesiąt beczek, co dawało siłę ciągu ponad stu ton. Sześciu spośród pasażerów uwięzionej łodzi straciło przytomność, ale ich zdrowiu nic nie zagrażało; pozostałe siedemnaście osób czuło się niezbyt dobrze, ale przystosowało się do zwiększonego ciśnienia. Przeciek nie powiększał się, ale mimo to w przedziale dowodzenia zebrało się już trzy cale wody, grożąc krótkim spięciem.

— Głębokość trzysta stóp — odezwał się komandor Henson. — Spójrz na wskaźnik dopływu wodoru, powinno zacząć się przechodzenie na mieszankę.

Franklin zerknął w dół, na miniaturową tablicę kontrolną. Tak, automat działał. Nie czul żadnej różnicy w powietrzu, którym oddychał, ale na przestrzeni następnych kilkuset stóp zostanie z niego całkowicie wyeliminowany niebezpieczny azot. Mogło się wydawać

dziwne zastępowanie go wodorem, gazem znacznie bardziej aktywnym, a nawet wybuchowym, ale wodór nie powodował zatrucia i nie zatrzymywał się w tkankach organizmu tak łatwo jak azot.

Przy dalszym opuszczaniu się nie zauważył, aby się ściemniało; jego wzrok przystosował się do półmroku i woda też była nieco czystsza. Widział teraz przed sobą dwa do trzech metrów gładkiego kadłuba łodzi, na której opuszczał się w głębiny, w jakie przed nim odważyło się zapuścić zaledwie kilku ludzi w kostiumach płetwonurków — i nie wszyscy z nich powrócili, aby opowiedzieć o swoich przeżyciach.

Znowu odezwał się komandor Henson:

— Powinieneś teraz oddychać w pięćdziesięciu procentach wodorem. Czy czujesz różnicę?

— Coś jakby metaliczny dosmak na języku, ale to nic przykrego.

— Mów najwolniej, jak możesz. Masz teraz tak wysoki głos, że trudno cię zrozumieć. Czy czujesz się zupełnie dobrze?

— Tak — odpowiedział Franklin, spoglądając na wskaźnik głębokości. — Myślą, że można zwiększyć tempo opuszczania się do stu stóp na minutę. Nie mamy czasu do stracenia.

Natychmiast poczuł, że łódź pod nim zapada się szybciej, i po raz pierwszy zaczął namacalnie odczuwać ciśnienie wody. Schodził teraz w dół tak szybko, że izolacyjna warstwa powietrza w jego skafandrze z pewnym opóźnieniem dostosowywała się do ciśnienia zewnętrznego, i w rezultacie jego ręce i nogi znalazły się jakby w potężnym choć łagodnym uścisku, który hamował jego ruchy, nie ograniczając ich przy tym.

Zrobiło się prawie zupełnie ciemno i pilot łodzi, uprzedzając jego rozkaz, włączył swoje reflektory. Nie oświetlały niczego tutaj, w połowie drogi między dnem i powierzchnią, ale widok podwójnego stożka światła przecinającego mrok niewątpliwie działał pokrzepiająco. Specjalnie dla niego usunięto fioletowe filtry i teraz, kiedy miał na czym skupić wzrok, nie odczuwał już tak dotkliwie nacisku ciemności.

Głębokość osiemset stóp — przeszło trzy czwarte drogi ma za sobą.

— Radzę ci zatrzymać się teraz na trzy minuty — powiedział komandor Henson. — Właściwie powinieneś posiedzieć tam z pół godziny, ale będziemy musieli odłożyć to na drogę powrotną.

Franklin chcąc nie chcąc, zgodził się na tę zwłokę. Zdawała się ciągnąć bez końca: możliwe, że jego poczucie czasu uległo zniekształceniu i minuty wydłużyły się dziesięciokrotnie. Miał już zamiar spytać komandora, czy czasem nie stanął mu zegarek, kiedy nagle przypomniał sobie, że ma przecież zegarek na ręku. Fakt, że mógł zapomnieć o czymś tak oczywistym, był objawem niepokojącym.

Świadczyło to, że zaczyna głupieć. Choć z drugiej strony, jeśli jest na tyle przytomny, żeby zdawać sobie z tego sprawę, to jeszcze nie tak źle… Na szczęście łódź ruszyła znowu, nie pozwalając mu zaplątać się do reszty w podobnych rozważaniach.

Słyszał teraz narastający z każdą chwilą, nieustanny ryk wielkiego słupa gazu, który tryskał z otworu wywierconego w dnie oceanu przez niespokojnego, naruszającego równowagę przyrody człowieka. Hałas utrudniał Franklinowi słuchanie rad i komentarzy jego pomocników. Gejzer stwarzał nie mniejsze niebezpieczeństwo niż ciśnienie wody; porwany strumieniem gazu na kilkaset stóp w górę w ciągu kilku zaledwie sekund, zostałby rozsadzony ciśnieniem wewnętrznym jak ryba głębinowa gwałtownie wydobyta na powierzchnię.

— Jesteśmy prawie na miejscu — odezwał się pilot na zakończenie tej wieki trwającej jazdy w dół. — Za chwilę powinno być widać wieżę. Włączam dolne światła.

Franklin przewiesił się przez skraj wolno teraz płynącej łodzi i pobiegł wzrokiem w dół, za mglistymi kolumnami światła. Początkowo nie widział nic; potem w trudnej do określenia odległości dojrzał tajemnicze prostokąty i kółka. Przez chwilę nie bardzo wiedział, co to jest; dopiero po chwili zrozumiał, że patrzy na beczki po benzynie przywiązane do zwalonej wieży.

Prawie natychmiast dostrzegł też pod nimi poskręcaną konstrukcję wieży, zaś poza stożkiem świateł rozbłysła jasna gwiazda, dziwnie jakoś nie pasująca do tego ponurego świata. Był to palnik acetylenowy, kierowany mechanicznymi rękami z niewidocznej w ciemnościach łodzi podwodnej.

Jego łódź z wielką ostrożnością zbliżała się do wieży i dopiero teraz Franklin uświadomił sobie, jak beznadziejne byłoby jego zadanie, gdyby musiał wykonywać je po omacku. Widział dwa dźwigary, na których musiał umieścić ładunki; musiał dotrzeć do nich poprzez plątaninę mniejszych prętów, poprzeczek i kabli.

Franklin oderwał się od łodzi, która tak bez wysiłku przyholowała go w te głębiny, i wolno podpłynął do wieży. Po raz pierwszy zobaczył potężny cień uwięzionej łodzi i opanowało go zwątpienie na myśl o tym, ile jeszcze problemów należy rozwiązać, aby ją uwolnić. Pod wpływem nagłego impulsu podpłynął do unieruchomionej łodzi i postukał w kadłub nożycami do cięcia drutu. Ludzie w łodzi wiedzieli oczywiście o jego obecności, ale taki bezpośredni sygnał mógł mieć wielkie znaczenie dla podtrzymania ich morale.

Potem przystąpił do pracy. Próbując me zwracać uwagi na nieustanną wibrację utrudniającą myślenie, zaczął rozglądać się uważnie po tym gąszczu metalowych prętów, w jaki miał się zapuścić.

Z umieszczeniem ładunku na najbliższym dźwigarze nie powinno być trudności. Dostęp do wolnej przestrzeni pomiędzy trzema prętami

zasłaniała wyłącznie pętla kabla, którą można było bez truciu odsunąć (trzeba tylko uważać, żeby nie zaplątać się, kiedy będzie obok niej przepływać). Co więcej, było tam dość miejsca na obrót, będzie więc mógł uniknąć przykrej konieczności cofnięcia się rakiem.

Sprawdził jeszcze raz, czy nie ma żadnych innych przeszkód. Dla pewności porozumiał się jeszcze z komandorem Hensonem, który na ekranie telewizyjnym w swojej łodzi widział wszystko prawie równie dobrze jak on. Potem wpłynął pomiędzy belki, odpychając się dłońmi w rękawiczkach od metalowej konstrukcji. Z niemałym zdziwieniem stwierdził, że nawet na tej głębokości nie brakowało małży i innych żyjątek obrastających każdy przedmiot, który przez kilka miesięcy znajdował się pod wodą.

Stalowa konstrukcja drgała niczym gigantyczny kamerton. Odczuwał rwącą potęgę strumienia nafty zarówno za pośrednictwem otaczającej go zewsząd wody, jak i przez metal pod własnymi dłońmi. Był jakby uwięziony w olbrzymiej wibrującej klatce; pod wpływem hałasu i ciśnienia zaczynał odczuwać senność i apatię. Musiał się dosłownie zmuszać do wykonania każdego ruchu i przypominać sobie nieustannie, że od tego, co robi, zależy życie nie tylko jego, ale i wielu innych ludzi.

Dotarł do dźwigara i powoli przymocował taśmą płaską paczuszkę do belki. Upłynęło wiele czasu, zanim uznał, że praca jest skończona, ale za to miał pewność, że ładunek znalazł się we właściwym miejscu i nie odpadnie na skutek wibracji. Teraz rozejrzał się za następnym celem — za drugim z głównych dźwigarów wieży.

Franklin zmącił wodę i nie widział już tak wyraźnie jak na początku, ale wydawało mu się, że nic nie przeszkodzi mu przedostać się przez wnętrze wieży na jej drugą stronę. Mógł też wrócić tą samą drogą, jaką się tu dostał, i opłynąć wieżę dookoła. W normalnych warunkach nie byłoby z tym żadnego kłopotu, teraz jednak należało starannie rozważać każdy ruch, decydując się na wydatek energii dopiero po ustaleniu, że jest on absolutnie niezbędny.

Z niezwykłą ostrożnością zaczął posuwać się przez wibrującą mgłę. Blask reflektorów z łodzi oślepiał do bólu. Nie przyszło mu do głowy, że wystarczy powiedzieć kilka słów da mikrofonu, aby zmniejszyć oświetlenie do wygodnego dla siebie poziomu. Zamiast tego usiłował chować się w cień, szukając go wśród bezładnej plątaniny żelastwa.

Dotarł do dźwigara i przywarł do niego na dłuższą chwilę, usiłując sobie przypomnieć, po co się tu znalazł. Dopiero głos komandora Hensona, odzywający się w uszach jak odległe echo, przywołał go do rzeczywistości. Powoli i bardzo starannie przytwierdził cenną kostkę do belki, a potem unosił się w wodzie, podziwiając swoje niezrozumiałe dzieło, podczas gdy denerwujący

głos w uszach przemawiał coraz to ostrzej. Pomyślał, że może go uciszyć, zdzierając z twarzy maskę wraz z irytującym głośnikiem. Spodobał mu się ten pomysł, ale okazało się, że nie ma dość siły, aby odpiąć taśmy maski. No cóż, szkoda; może w takim razie głos ucichnie, jeśli Franklin zrobi to, czego on żąda.

Niestety zupełnie nie miał pojęcia, jak wydostać się z tego labiryntu, w którym, czuł się tak przytulnie. Światło i hałas utrudniały skupienie myśli; ilekroć popłynął w jakąś stronę, wpadał na coś i musiał zawracać. Drażniło go to, ale nie wywoływało lęku, gdyż było mu zupełnie dobrze tu, gdzie był.

Jednak głos nie dawał mu chwili spokoju. Nie brzmiał już przyjaźnie ani opiekuńczo; Franklin mgliście uświadomił sobie, że głos jest teraz wręcz niegrzeczny i rozkazuje mu w sposób, w jaki — nie pamiętał dlaczego — nikt z nim nie rozmawia. Dawano mu wyraźne i szczegółowe polecenia, powtarzając je wciąż na nowo z coraz większym naciskiem, aż wreszcie podporządkował im się z niechęcią. Byt zbyt zmęczony, aby odpowiedzieć; popłakiwał tylko trochę na myśl o tym, jak go traktują. Nigdy w życiu nie obrzucano go takimi wyzwiskami i w ogóle rzadko kiedy zdarzało mu się słyszeć taki plugawy język, jakim teraz przemawiano do niego przez mikrofon. Któż u licha ośmiela się tak na niego wrzeszczeć?

— Nie tędy, ty cholerny idioto! W lewo… w lewo! Bardzo dobrze… teraz trochę do przodu… nie zatrzymuj się tam! Chryste, znowu zasnął. Obudź się, bo ci rozwalę ten głupi łeb! Grzeczny chłopiec… już niedaleko… jeszcze kawałek…

I tak bez końca, a wszystko to przeplatane potwornymi wiązankami.

A potem nagle nie było już poskręcanego żelastwa ze wszystkich stron. Płynął powoli przed siebie, ale nie trwało to długo. Schwyciły go niezbyt delikatne stalowe palce i uniosły w pulsującą hałasem ciemność.

Z daleka dobiegły go cztery przytłumione wybuchy i jakaś część jego mózgu powiedziała mu, że dwa z nich są jego dziełem. Nie widział tego, co rozegrało się o sto stóp poniżej, kiedy wybuchły zdalnie detonowane ładunki i wielka wieża złamała się na dwoje. Część opierająca się na łodzi była jeszcze zbyt ciężka, aby pływaki z beczek mogły ją unieść, więc tylko kiwnęła się jak gigantyczna huśtawka i ześliznęła z łodzi na dno oceanu.

Uwolniona od ciężaru wielka łódź podwodna popłynęła w górę ze wzrastającą szybkością; Franklin poczuł prąd wody, kiedy go mijała, ale był zbyt oszołomiony, żeby rozumieć, co to znaczy. Nadal z największym wysiłkiem utrzymywał wątły ognik świadomości; na głębokości ośmiuset stóp zaczął nagle reagować na brutalne pouczenia Hensona i ku jego wielkiej radości zaczął mu odpowiadać pięknym za

nadobne. Klął dziko na przestrzeni następnych stu stóp i dopiero po ich przebyciu zdał sobie w pełni sprawę z tego, gdzie się znajduje, i umilkł zawstydzony. Dopiero teraz zrozumiał, że jego wyprawa zakończyła się powodzeniem i że ludzie, których uratował, są już znacznie bliżej powierzchni niż on.

Franklin nie mógł ścigać się z nimi. Na głębokości trzystu stóp czekała na niego komora dekompresyjna, w której poleci do Brisbane. W jej ciasnym wnętrzu miał spędzić osiemnaście nudnych godzin, w oczekiwaniu, aż cały gaz zawarty w tkankach jego ciała zostanie wydalony. A kiedy wreszcie wyrwał się z rąk lekarzy, było już za późno, aby przechwycić taśmę magnetofonową, jaka obiegła całą sekcję. Był bohaterem w oczach świata, ale gdyby kiedykolwiek sława uderzyła mu do głowy, wystarczyło przypomnieć sobie, że wszyscy jego podwładni wysłuchali z radością, jak komandor Henson płynnie i ze znawstwem sztorcuje ich dyrektora.

XXV

Peter nie oglądając się za siebie wszedł po schodkach do statku, z którego za niecałe pół godziny miał zobaczyć po raz pierwszy oddalającą się Ziemię. Franklin doskonale rozumiał, dlaczego jego syn odwraca głowę: osiemnastoletni mężczyźni nie płaczą przy ludziach. Podobnie zresztą — powiedział sobie surowo — jak wyżsi urzędnicy w średnim wieku.

Anna nie miała takich zahamowań; mimo pocieszeń Indry płakała na cały głos. Dopiero kiedy właz statku kosmicznego został hermetycznie zamknięty i wszystkie dźwięki zagłuszyła syrena sygnalizująca, że do startu pozostało pół godziny, Anna uspokoiła się nieco, pochlipując już tylko cicho.

Tłum widzów, przyjaciół, krewnych, przedstawicieli telewizji i Departamentu Kosmonautyki zaczął ustępować przed ruchomymi barierami. Trzymając żonę i córkę za ręce Franklin pozwolił unieść się ludzkiej fali. Ileż nadziei i lęków, smutków i radości kłębiło się teraz NV jego sercu! Próbował przypomnieć sobie swoje wrażenia z pierwszego startu; musiała to być jedna z najpiękniejszych chwil w jego życiu, ale wszelkie wspomnienia o niej zostały zatarte przez trzydzieści lat późniejszych doświadczeń.

Teraz Peter wstępował na drogę, którą jego ojciec rozpoczynał pół życia temu. Obyś miał więcej szczęścia wśród gwiazd niż ja, pomyślał Franklin. Żałował, że nie będzie go w Port Lowell, kiedy Irena wyjdzie powitać chłopca, który mógłby być jej synem, i zastanawiał się, jak Roy i Rupert przyjmą swego przyrodniego brata. Był pewien, że chłopcy ucieszą się z tego spotkania; Peter nie będzie czuł się na Marsie tak samotny jak kiedyś podchorąży Walter Franklin.

Minuty oczekiwania dłużyły się w nieskończoność. Peter jest już teraz na pewno tak pochłonięty dziwnym i podniecającym otoczeniem, które stanie się jego domem przez najbliższy tydzień, że zapomniał o bólu rozłąki. Trudno go winić za to, że jego oczy zwrócone są w przyszłość, ku nowemu życiu, które odkrywało przed nim nie znane horyzonty.

A co z jego własnym życiem? — zadał sobie pytanie Franklin. Czy teraz, kiedy wyprawił z domu syna, może uznać, że było ono udane? Stwierdził, że jest mu bardzo trudno dać obiektywną odpowiedź na to pytanie. Tak wiele z jego przedsięwzięć zakończyło się niepowodzeniem, a nawet klęską. Wiedział już, że nie będzie dalej awansował w służbie państwowej; cóż z tego, że był bohaterem, skoro naraził się zbyt wielu ludziom wówczas, kiedy to niespodziewanie nawet dla samego siebie, stał się sojusznikiem Maha Thero. W każdym razie nie miał nadziei — ani ochoty — na awans w ciągu pięciu czy

dziesięciu lat, jakie będą potrzebne na całkowitą reorganizację Sekcji Wielorybów. Powtarzano mu niejednokrotnie, że sam powinien wypić to piwo, którego pomógł nawarzyć.

Jednej rzeczy nigdy się nie dowie. Czy miałby odwagę bronić swoich nowych przekonań, gdyby los nie uczynił go ulubieńcem publiczności i nie obdarzył czymś jeszcze cenniejszym, bo mniej kapryśnym — przyjaźnią senatora Chamberlaina? Łatwo jest wystąpić w roli świadka i wyłożyć publicznie swoje poglądy, kiedy się jest — choćby na krótko — bożyszczem światowej opinii publicznej. Jego przełożeni mogli złościć się i zżymać, ale musieli znieść jego zdradę, robiąc dobrą minę do złej gry. Chwilami niemal żałował, że ta przypadkowa sława wybawiła go z opresji. Czy rzeczywiście jego wystąpienie przeważyło szalę? Podejrzewał, że tak. Głosy w referendum były podzielone i kto wie, czy bez jego pomocy Maha Thero mógłby odnieść zwycięstwo.

Jego rozmyślania przerwały trzy ostre ryki syreny. W ciszy, która tak zadziwiała ludzi pamiętających, jeszcze czasy pojazdów rakietowych, olbrzymi statek jakby pozbył się setek tysięcy ton swego ciężaru i wzniósł się w górę. Na wysokości pół mili przestawił się całkowicie na własne pole grawitacyjne, uniezależniając się bez reszty od ziemskich pojęć „góry" i „dołu". Skierował dziób ku zenitowi i zastygł na moment w powietrzu jak metalowy obelisk cudem zawieszony wśród chmur. Potem, nadal wśród budzącej grozę ciszy, rozciągnął się w linię i… niebo było puste.

Napięcie spadło. Tu i ówdzie słyszało się jeszcze tłumiony szloch, ale przeważały żarty i śmiechy, może nieco zbyt głośne, aby uznać je za naturalne. Franklin objął Indrę i Annę i poprowadził je do wyjścia.

Chętnie przekazywał synowi bezbrzeżny ocean kosmosu. Jemu wystarczały morza Ziemi. Tutaj mieszkali jego podopieczni, od żywej góry Lewiatana do nowo narodzonego delfina, który nie nauczył się jeszcze ssać pod wodą.

Będzie ich strzegł najlepiej jak tylko potrafi. Miał jasny obraz roli sekcji w przyszłości, kiedy to inspektorzy będą rzeczywistymi obrońcami wszystkich mieszkańców morza. Czy wszystkich? Nie, to oczywiście byłby absurd; nic nie może skończyć ani nawet osłabić nieustannej, okrutnej walki o byt, jaka toczy się w wodach całego świata. Ale człowiek może zrobić dobry początek, zawierając pokój z wielkimi ssakami, swoimi krewniakami.

Nikt nie potrafi przewidzieć, co wyłoni się z tego w następnych stuleciach. Nawet śmiałe — wciąż jeszcze znajdujące się w fazie eksperymentu plany Lundquista oswojenia orek były zaledwie zwiastunem tego, co mogą przynieść najbliższe dziesięciolecia. Mogą one przynieść nawet rozwiązanie zagadki, którego nadal poszukiwał i którego był tak bliski, gdy podmorskie trzęsienie ziemi pozbawiło go

najlepszego przyjaciela.

Pewien rozdział — prawdopodobnie najlepszy rozdział jego życia — dobiegał końca. Przyszłość niosła wiele problemów, ale nie sadził, aby kiedykolwiek jeszcze musiał stawić czoło takim niebezpieczeństwom, jak dotychczas. W pewnym sensie jego misja była spełniona, choć praca dopiero miała się rozpocząć.

Spojrzał jeszcze raz w puste niebo i w jego pamięci ożyły słowa, które wypowiedział Maha Thero, kiedy wracali samolotem z Grenlandii. Nigdy nie zapomni, jakim przejęły go wtedy chłodem: „Nadejdzie czas, kiedy stosunek wyższych istot do człowieka może być uzależniony od tego, jak człowiek traktuje innych mieszkańców swojej planety".

Może to głupie, że takie rojenia na temat odległej i nie znanej przyszłości mają wpływ na jego myśli i czyny, ale nie żałował tego, co zrobił. Kiedy tak wpatrywał się w bezmiar błękitu, który pochłonął jego syna, nagle odczuł bliskość gwiazd.

— Dajcie nam jeszcze sto lat — szepnął sam do siebie — a powitamy was z czystymi rękami i sercem, niezależnie od tego, jak będziecie wyglądać.

— Chodź już, kochanie — powiedziała Indra, wciąż jeszcze nieco niepewnym głosem. — Nie masz zbyt wiele czasu. Z biura prosili, żeby ci przypomnieć, że za pół godziny zbiera się Komisja Standaryzacji Międzywydziałowej.

— Wiem — powiedział Franklin, wycierając nos z determinacją. — Nie ma obawy, nie spóźnię się.